RZĄDOWY SPOSÓB WALKI Z COVID-19

Poseł Siarkowska: PiS sam się osłabia

Polska na zawsze w Unii? – Ziemkiewicz odsłania karty Tuska

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 42/447 18–24 PAŹDZIERNIKA 2021

WOJCIECH CEJROWSKI O TYM, JAK NA ŚWIECIE REALIZUJE SIĘ ZAPISY „MANIFESTU KOMUNISTYCZNEGO"

Ambasador Magierowski – z Izraela do USA

KINO NIENAWIŚCI

„Wesele" Smarzowskiego utrwala wzorce antypolskiej propagandy

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829

9 772299 850000 42 >

Nakład: 55 600 egzemplarzy

www.eprasa.pl 4d36b1cd49

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

DO RZECZY | HISTORIA DO RZECZY

STRAŻNIK PAMIĘCI

2021

NAGRODY

STRAŻNIK PAMIĘCI

W KATEGORIACH:

MECENAS | INSTYTUCJA | TWÓRCA

LAUREATÓW POZNAMY
NA GALI 16 LISTOPADA 2021 r.

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNE STRATEGICZNY

ORLEN

PARTNERZY GŁÓWNI

PZU | KGHM POLSKA MIEDŹ | PGNiG

PARTNER

GRUPA HM Inwest S.A.

PARTNER HONOROWY

NIKiDW NARODOWY INSTYTUT KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO

eprasa.pl 4d36b1cd49

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Od liberała do żandarma

Kiedy tydzień temu napisałem o tekście curiosum niejakiego Stanisława Skarżyńskiego z „Gazety Wyborczej", który to wyrażał nadzieję na wsadzenie do więzienia osobników pokroju Rafała A. Ziemkiewicza za poglądy, a więc całkiem pokaźnej, mniemam, grupy polskich publicystów, uznałem, że sprawa jest zakończona. Był to, sądziłem, przykład skrajnej głupoty i na tyle jawnego zamordyzmu, że trudno mi było sobie wyobrazić, by znalazł on naśladowców. Pomyliłem się. W poniedziałek przeczytałem bowiem komentarz redaktora naczelnego „Newsweeka", Tomasza Lisa, i zdrętwiałem. On, wieloletni liberał i obrońca amerykańskiego podejścia do wolności słowa, a takim się przedstawiał i na takiego kreował, wystąpił tak jak Skarżyński w roli żandarma.

Żeby nie było, że zmyślam: „Rafał A. Ziemkiewicz powinien się cieszyć, że jest Polakiem. Gdyby był obywatelem Wielkiej Brytanii, to za swoje wypowiedzi miałby pewnie problemy nie z przekroczeniem bramki kontroli granicznej na londyńskim Heathrow, ale za bramą więzienia odsiadywałby zasłużoną karę.

Nie jest problemem, że Wielka Brytania zwalcza pewne słowa i wypowiedzi. Problemem jest to, że nie zwalcza ich Polska. Więcej, że takie słowa toleruje, a często pomaga propagować. […] Wielka Brytania broni się przed złem. Państwo polskie je wspiera, przytula i poklepuje po ramieniu".

W tych kilku zdaniach widać, jak dawny liberał – będę walczył o wolność słowa i opinii, nawet jeśli się z nimi nie zgadzam i je odrzucam – przedzierzgnął się w neomarksistę. Jak tradycja liberalna, nawiązująca do Johna Stuarta Milla, została zastąpiona ideologią marskistowską, nawiązującą do Herberta Marcuse'a. Lis pisze dokładnie to, czego domagał się guru lewackich bojowników z 1968 r. W napisanym trzy lata wcześniej eseju o „Tolerancji represywnej" piewca Mao Tse-tunga dowodził, że „wyzwalająca tolerancja (tolerancja represywna) oznaczałaby zatem nietolerancję wobec prawicy i tolerancję dla ruchów lewicowych. Jeśli chodzi o zakres tej tolerancji i nietolerancji, musiałaby się ona rozciągnąć zarówno na płaszczyznę działania, jak i też dyskusji i propagandy, na słowa i czyny [...]. Brak tolerancji dla ruchów reakcyjnych, zanim jeszcze staną się one aktywne, nietolerancja skierowana również przeciw myśleniu, poglądom i słowom (przede wszystkim nietolerancja wobec konserwatystów i politycznej prawicy) – te antydemokratyczne wyobrażenia odpowiadają faktycznemu rozwojowi demokratycznego społeczeństwa, które zniszczyło podstawy dla powszechnej tolerancji". Piękne, nieprawdaż?

To jest właśnie ten pogląd, który spotkał się przed laty z tak słuszną krytyką Leszka Kołakowskiego, który zauważył niebezpieczną bliskość lewicowej tolerancji represywnej i przyzwolenia dla przemocy. W istocie, zauważał Kołakowski, zgoda na „pozornie niedemokratyczne środki" prowadzi do terroru, który zostaje usprawiedliwiony słusznym celem: wyzwoleniem ludzkości, obroną przed szowinizmem, agresją itd., itp. Strasznie to niebezpieczne myślenie i cały wiek XX usiany jest przykładami pokazującymi, do czego prowadzi przyznanie państwu prawa do stosowania „tolerancji represywnej".

Nie zamierzam zgłębiać meandrów rozwoju świadomości redaktora „Newsweeka" i pytać o to, w jaki sposób odbył drogę od piewcy wolności słowa do obrońcy pałkarstwa. Uderza mnie jednak pewna niekonsekwencja, która zawarta jest w tym, co piszą on i jemu podobni zwolennicy karania za poglądy. Jeśli Wielka Brytania zasłużenie może wsadzać do więzienia za opinie, które są sprzeczne z jej wartościami, to logiczne jest, że takie prawo przyznają też Polsce. Wprawdzie oni wyobrażają sobie, że takie środki represyjne mogłyby zostać użyte słusznie tylko w przyszłości przeciw konserwatystom, i liczą, że kiedy już będą mieli dość władzy, tak się stanie. Jednak podejście to świadczy jedynie o ograniczeniu horyzontów. W istocie podpisują się oni pod tezą, że skoro ich opinie i poglądy pozostają w sprzeczności z wartościami obecnego polskiego państwa, to zasługują za ich głoszenie na karę. Jest to teza, której nigdy sam nie ośmieliłbym się postawić, i – szczerze mówiąc – nie słyszałem, żeby ktokolwiek z prawicowych polskich publicystów domagał się takiej formy działania ze strony państwa wobec zaprzysięgłych i zajadłych wrogów prawicy z „Newsweeka" czy „GW".

Dodatkowo zaskakuje mnie, że taki pogląd – wsadzajmy do więzienia przeciwników ideowych – przyjmowany jest bez mrugnięcia okiem przez ogół dziennikarzy i wydawców „Newsweeka" i „Gazety Wyborczej". Ośmiesza to przecież całą ich wcześniejszą kampanię, w której to starano się przedstawić przygotowane przez rząd zmiany podatkowe jako formę napaści na wolne media. Czy ktoś, kto wzywa do nałożenia kary więzienia na przeciwnika ideowego za to, jakie ten głosi poglądy, ma moralne prawo do występowania w obronie wolności? Pytanie to zostawiam bez odpowiedzi. ©℗

eprasa.pl 4d36b1cd49

TEMAT TYGODNIA

18 DARIUSZ WIEROMIEJCZYK
POLAK TO PIJAK, ANTYSEMITA I HOMOFOB
Smarzowski przyprawił nam gębę

22 KRZYSZTOF MASŁOŃ
TĘPA SIEKIERA SMARZOWSKIEGO

KRAJ

26 ROZMOWA Z ANNĄ MARIĄ SIARKOWSKĄ
WOLNOŚĆ JEST W NAS
PiS sam się osłabia

30 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
NOWY EUROPEJSKI PATRIOTYZM

32 KAMILA BARANOWSKA
WIELKIE ŻEROWANIE

34 PIOTR SEMKA
PODEJRZANY PILECKI

36 MACIEJ PIECZYŃSKI
NA KŁOPOTY MAGIEROWSKI

38 ŁUKASZ ZBORALSKI
MANDATY W GÓRĘ. ALE O ILE?

40 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
JAK ZOSTAĆ RAZEM?

KULTURA

42 MAREK DREWNOWSKI
NASZ CHOPIN
Konkursy muzyczne są zaprzeczeniem idei Chopina

44 PIOTR GOCIEK
PUSTYNNA OPERA

NIE PRZEGAP

48 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

54 PAWEŁ CHMIELEWSKI
SYNODALNA DROGA DO PROTESTANTYZACJI KOŚCIOŁA
Dokąd prowadzi nas papież

56 TOMASZ ROWIŃSKI
RAPORT HAŃBY CZY ATAK NA KOŚCIÓŁ?

HISTORIA

58 MONIKA ODROBIŃSKA
ZAPOMNIANY OBÓZ
Piekło drewnianych baraków

ŚWIAT

64 MACIEJ SZYMANOWSKI
PREMIER FIALA?
Zmiana władzy w Czechach

68 ROZMOWA Z MARION MARÉCHAL
FRANCJA POTRZEBUJE POLSKI DO OBRONY CYWILIZACJI EUROPEJSKIEJ

72 PIOTR WŁOCZYK
BOMBA I PÓŁKSIĘŻYC

EKONOMIA

74 ŁUKASZ WARZECHA
INFLACJA KONTRA POLSKA
Co dalej z gospodarką?

SPORT

78 ŁUKASZ MAJCHRZYK
NIESAMOWICIE SPOKOJNY CZŁOWIEK
Fabiański pożegnał się z kadrą

O ZDROWIU

80 KATARZYNA PINKOSZ
DOBRZE LECZMY CHOROBY PRZEWLEKŁE
Rekomendacje na czwartą falę

82 ROZMOWA Z PROF. DR. HAB. N. MED. GRZEGORZEM DZIDĄ
CHROŃMY CHORYCH NA CUKRZYCĘ

FELIETONY:
SEMKA (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), GMYZ, GOCIEK (9), KOWALCZUK (10), ZYCHOWICZ, KOPER (62), PRZYBYLSKI (70), GABRYEL, WARZECHA (76), KOMUDA (84), KARWELIS, POSPIESZALSKI (87), JASTRZĘBOWSKI, WOŁCZYK (88), NOWAK (89), CEJROWSKI (90)

eprasa.pl 4d36b1cd49

Z Facebookiem nowe europejskie firmy mogą się rozwijać.

Holenderska firma Hart voor Wijn, specjalizująca się w degustacji win, powstała online podczas pandemii. Jej właścicielka Kirsten van Harten wykorzystała Facebooka i Instagrama, aby docierać do odbiorców docelowych. „Z Facebookiem udało mi się dotrzeć do nowych klientów" – relacjonuje Kirsten. „Facebook był kluczowy dla rozwoju mojej marki podczas pandemii".

Kirsten nie jest jedyna. Niedawne badanie wykazało, że 73% ankietowanych małych firm z UE korzystało z Facebooka i Instagrama do rozwoju działalności*.

Wiele innych małych europejskich firm zmieniło model biznesowy i przeniosło działalność online oraz nasiliło działania w mediach społecznościowych, aby generować sprzedaż. Wiele z tych firm wybrało Facebooka. Z tego samego badania wynika, że ponad połowa małych ankietowanych firm z UE, które używają aplikacji Facebooka, uznaje je za skuteczne źródło nowych klientów w dobie pandemii.

Z Facebookiem nowe firmy z całej Europy mogą się rozwijać.

Dowiedz się więcej na stronie about.fb.com/pl/europe

FACEBOOK

*Badanie firmy Ipsos MORI. W globalnej ankiecie przeprowadzonej w lutym i marcu 2021 r. udział wzięło 7500 małych i średnich firm z UE.

eprasa.pl 4d36b1cd49

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Styliński, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wołczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Paweł Zdziarski**

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (kierownik), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Marzena Dobosz**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Arkadiusz Wojtasiewicz/Polska Press/East News**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Monika Doroś,** tel.: 508 040 664

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288 829
Nakład 55 600 egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

W sprawie doniesień z Albionu

Szanowni Państwo,
w nawiązaniu do wydarzeń, które dotyczyły Rafała A. Ziemkiewicza, uważam, że fakt, iż pan redaktor nie został wpuszczony do Wielkiej Brytanii, jest skandaliczny. Z wielkim niepokojem przeczytałem artykuły dotyczące tego haniebnego zdarzenia, opublikowane w ostatnim numerze „Do Rzeczy". I cieszy mnie to, że sprawie nadany został rozgłos oraz planowane są działania wyjaśniające. Ważne jest, aby rzeczowo opisywać niesprawiedliwość, manipulacje, oszczerstwa itp., które narzucane są z pozycji siły.

Przy okazji ożyły moje wspomnienia związane z podróżą, którą odbyłem po Europie w 1996 r. Zostałem wtedy z kolegą w podobny sposób potraktowany przez urzędnika na przejściu granicznym w Dover. […] Oczywiście jest to inny ciężar gatunkowy, my byliśmy jedynie prostymi studentami z dalekiego kraju, których można było potraktować uznaniowo bez większych komplikacji. Do dzisiaj pamiętam rozgoryczenie i bezsilność, które mną wtedy zawładnęły.

Gdy Polska weszła do UE, bardzo ucieszyłem się, że między innymi problemy z podróżowaniem znikną. A pan w turbanie na granicy nie będzie mnie już traktował według kaprysu...

Pozdrawiam serdecznie i życzę sukcesów w obronie wartości oraz rzetelnym opisywaniu rzeczywistości.

Z poważaniem
Jerzy Marcinkowski

Do red. Piotra Gabryela

Panie Redaktorze, jestem Państwa stałym czytelnikiem i po prawdzie czas mi pozwala na regularne czytanie tylko Waszego pisma. Wcześniej było to „Uważam Rze" przed hucpą Hajdarowicza. To tak tytułem krótkiego przedstawienia się.
Generalnie rozumiem i zgadzam się z Pana opiniami zamieszczonymi w tygodniku, ale ewidentny lobbing za podniesieniem stóp procentowych przez RPP jest dla mnie kompletnie niezrozumiały. Ciało to ma twarde narzędzie do rozgrzewania bądź schładzania gospodarki poprzez regulowanie ilości pieniądza na rynku. Na inflację RPP ma wpływ tylko wtedy, gdy wynika ona właśnie z ilości tegoż pieniądza na rynku, a nie wtedy, gdy wynika ona np. z urzędowych podwyżek kosztów produkcji (nośników energii) itp. Żaden przedsiębiorca nie będzie sprzedawał swoich towarów poniżej poziomu opłacalności niezależnie od tego, ile pieniądza jest na rynku. Obecna inflacja, moim zdaniem, ma właśnie taką genezę w podwyżkach regulowanych, a nie z napływu nadmiaru gotówki na rynek, a jeżeli Pan twierdzi inaczej, to chętnie dowiedziałbym się dlaczego. W takiej sytuacji Pana i innych osób opiniotwórczych działanie nakierowane na to, aby skusić RPP do podwyższania stóp procentowych, może dać efekt schłodzenia gospodarki przy braku zauważalnego zahamowania inflacji. Pragnę przypomnieć, że panaceum na wszelkie zło świata w postaci wypompowywania z gospodarki pieniądza to był koncept prof. Leszka Balcerowicza, który nie do końca jest idolem Państwa czytelników.

Pozdrawiam serdecznie
Piotr Olszewski

Od autora:

Szanowny Panie!
Tak się składa, że przy wszystkich powszechnie znanych zastrzeżeniach, które Pan w swoim liście przywołał, w poważnie traktujących swą walutę państwach, instytucje konstytucyjnie odpowiadające za jej stan próbują walczyć z nadmierną inflacją – m.in. poprzez dostosowanie wysokości stóp procentowych; tak jak to wreszcie – niestety, za późno – zaczęła robić polska Rada Polityki Pieniężnej.

Rzecz jasna, jak słusznie Pan zauważa, zawsze w takim przypadku istnieje m.in. ryzyko stagflacji.

Pozdrawiam serdecznie
Piotr Gabryel

Wyjaśnienie

W tekście „Kalksteinowie-Stolińscy – bohaterowie i zdrajcy" wdał się poważny błąd. Otóż renegat Ludwik Kalkstein vel Kalkstein-Stoliński, urodzony w Warszawie w 1920 r., zmarł nie w 2006 r., jak błędnie napisałem, ale w 1994 r. w Monachium, dokładnie 26 października, jako syn Edwarda i Ludwiki z Kucińskich, wnuk Teodora i Teodozji z Zakrzewskich, prawnuk Franciszka i Urszuli z Zawadzkich etc., etc. Za tak znaczną pomyłkę wszystkich czytelników przepraszam.

Tomasz Lenczewski

eprasa.pl 4d36b1cd49

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Czerwony król życia

Włodzimierz Czarzasty może już zrobić sobie wakacje. Zjednoczeniowy zjazd Lewicy odfajkowany. Wyrzucił lub zawiesił w członkostwie wszystkich swoich rywali z SLD, takich jak np. Andrzej Rozenek. Doprowadził do fuzji Sojuszu z partią Wiosna, a Roberta Biedronia uczynił współprzewodniczącym zjednoczonej partii.

Tym bardziej trzeba dziś pompować jego status i głaskać biedroniowe ego.

Zjazd zjednoczeniowy Lewicy 9 października był idealnym uwieńczeniem inżynierii partyjnej Czarzastego. Aleksander Kwaśniewski, mimo że wcześniej kręcił nosem na dyktatorskie rządy Czarzastego, koniec końców dał się namówić do przybycia na zjazd i do odegrania roli patriarchy czerwonego obozu błogosławiącego nową zjednoczoną Lewicę. Czarzasty też bez oporów przeforsował sprytny pomysł, by obie partie wyznaczyły po siedmiu wiceprzewodniczących. W ten sposób uładzono hojnie rozdzielanymi stanowiskami grupę ambitnych działaczek od Biedronia. Dla każdego, kto zna mechanizmy polityki, jest jasne, że stworzenie 14 stanowisk wiceprzewodniczących oznacza, iż takie nominacje niewiele są warte. Dwa dni po zjeździe rzeczniczka SLD poproszona o wymienienie wszystkich nazwisk zastępców i zastępczyń Czarzastego – poległa na całej linii. A w atmosferze ogólnego entuzjazmu w stylu „Jest moc" nikt nie pytał Biedronia, dlaczego w ostatnich wyborach prezydenckich dostał mniej głosów niż Magdalena Ogórek cztery lata wcześniej.

Zjazd zjednoczeniowy Lewicy 9 października był idealnym uwieńczeniem inżynierii partyjnej Czarzastego. Kwaśniewski dał się namówić do odegrania roli patriarchy czerwonego obozu

Czarzasty trafnie się zorientował, że Biedroń to tak naprawdę duże dziecko. Lider Wiosny wywalczył sobie miejsce w europarlamencie, potem załatwił fotel sejmowy dla swojego partnera, a teraz będzie się pysznił statusem współlidera Lewicy. Mieć takiego współlidera to marzenie.

Nikt też nie wypomniał Czarzastemu, że w rankingu zaufania społecznego zajmuje jedno z ostatnich miejsc. Czarzasty sprytnie skierował energię młodych ku hasłom ograniczenia przywilejów Kościoła i adopcji dzieci dla par tej samej płci. Okazuje się, że młodych gniewnych też można bajerować. Teraz młoda Lewica szykuje się do kampanii przeciwko budowie muru na granicy z Białorusią. Włodek bajerant może spać spokojnie. ©℗

FOT. RAFAŁ GUZ/PAP

SAMORZĄD KONTRA POLSKI ŁAD

Samorządowcy protestowali w ubiegłym tygodniu w Warszawie przeciw rządowemu programowi – Polski Ład. W proteście wzięli udział przedstawiciele największych organizacji samorządowych (m.in. Związku Miast Polskich, Związku Powiatów Polskich i Unii Metropolii Polskich). Lokalne władze uważają, że rządowy projekt odbierze im w ciągu najbliższych lat aż 145 mld zł dochodów. Nazwali to „niszczeniem samorządu". Rzecznik rządu Piotr Müller nazwał wypowiedzi samorządowców manipulacją i dowodził, że pomijają rozwiązania Polskiego Ładu, które zwiększą środki dla samorządu terytorialnego. ***(luz)*** ©℗

eprasa.pl 4d36b1cd49

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Starcy i dzieci

O pani Traczyk-Stawskiej słyszeli ostatnio chyba wszyscy, ale może nie wszyscy pamiętają, w jaki sposób jej działalność w szeregach antypisowskiej opozycji została zainaugurowana. Otóż pozwoliła ona kiedyś wykorzystać się do następującej prowokacji: działacze opozycji przyszli z nią do Sejmu i zażądali wstępu. Prowokatorzy grali na pewniaka, bo wiadomo, że do parlamentu nigdzie na świecie nie można wejść ot, tak, z ulicy, i nie może być dla tej zasady wyjątków nawet dla najbardziej sędziwych i czcigodnych person. Strażnicy w Sejmie zachowali się jak najbardziej właściwie, poprosili uprzejmie starszą panią, żeby na chwilę usiadła, zaproponowali szklankę wody i zaczęli wypisywać przepustki. Ale zanim to zrobili, już kamery TVN transmitowały na żywo jej siedzenie na fotelu jako „straszliwy skandal", a kolejne autorytety zachłystywały się przez kilka kolejnych dni oburzeniem, że – o hańbo! – PiS nie chciał wpuścić do Sejmu „powstanki" z powstania warszawskiego!

Dziś, gdy „powstanka" wystawiona została na centralnym odcinku frontu, o czym gdzie indziej w niniejszym numerze, te same osoby wymyśliły inną formę produkowania „niusa" – tym razem, dla odmiany, z użyciem dzieci. Działaczki KOD czy czegoś podobnego przyprowadzają pod rządowe gmachy swoje (albo może wypożyczone) kilkuletnie pociechy i każą im bazgrolić kredą na chodniku antyrządowe napisy. Oczywiście ochrona budynków i policja są zobowiązane reagować, co gorsza, według określonych procedur, nieprzewidujących obecności kilkulatków, a kamerzyści TVN, którzy zawsze jakoś tak przypadkiem przechodzą opodal z tragarzami, uwieczniają te działania i w chwili, gdy piszę te słowa, nieustająca „beka" z „aresztowania kredek" trwa w tej stacji już bodaj trzecią dobę.

Działacze opozycji są zapewne bardzo dumni ze swego pomysłu (być może zainspirowanego sposobem, w jaki wykorzystują dzieci „nachodźcy" Łukaszenki), ale człowiekowi znającemu historię trudno opędzić się od skojarzenia: Berlin 1945 r. i prekursor idei zjednoczonej Europy, posyłający do walki dzieci i starców, bo nikt inny już mu nie został… ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Nowy ultramontanizm

Nigdy dość przypominać, że idee mają konsekwencje. Z reguły większe, niż się możemy spodziewać, szczególnie jeśli głoszą je lub podejmują ludzie mający wpływ na innych. Dwa tygodnie temu pisałem o deklaracji papieża Franciszka na temat „pożytków" homoseksualnych (i nie tylko) „związków partnerskich". Potem przyszły pierwsze efekty, szybsze i bliższe, niż ktokolwiek mógł zakładać. Paweł Kowal i Paweł Poncyljusz (dysydenci z PiS, przedstawiani w „Wyborczej" jako „konserwatyści z PO") zapowiedzieli przygotowanie „partnerskiej" ustawy, do której „Polacy są już gotowi". Nadgorliwość skarcił Tusk, ale Kowal przypomniał, że o partnerstwach homoseksualnych „mówi też papież Franciszek".

Homoseksualno-konserwatywna ustawa ma oczywiście chronić przed „najgorszym", tak jak wcześniej ustawa o in vitro Jarosława Gowina. Jej skutki będą podobne jak tamtej. Oczywiście nie ochroni szkół przed prezentacją homoseksualnych partnerstw jako porównywalnego z rodziną stylu życia, zasługującego na podobną społeczną aprobatę, ani – przede wszystkim – nie ochroni Polski przed rozkładem prorodzinnego wojtyliańskiego consensusu, który był największym społecznym kapitałem Rzeczypospolitej u początków niepodległości. Przeciwnie – będzie zasadniczym czynnikiem destrukcji dziedzictwa św. Jana Pawła II. Tak właśnie działa ów osobliwy neoultramontanizm.

Pascal mówił, że geniusz katolicyzmu sprawia, że gdy zawodzi papież – jest Kościół, a gdy zawodzi Kościół – jest papież. Autor „Myśli" ojcem Kościoła nie był, ale na pamięć i refleksję z pewnością zasługuje. Są czasy, gdy biskupi muszą chronić lud przed zgorszeniem ze strony Rzymu. Tak jak są sytuacje, gdy rodzinę trzeba chronić przed ojcem. W nadzwyczajnej sytuacji staje się to zwyczajnym rodzinnym obowiązkiem, również wobec ojca. Nie wypełnią go gesty, tym bardziej enigmatyczne gesty rezerwy. Chodzi bowiem o to, by życie katolickie chronić naprawdę. ©℗

eprasa.pl 4d36b1cd49

dwaj panowie g

Głupia sprawa, czujemy się jak posiadacze tajnego bunkra, z którego steruje się Polską. Szeregowy wicepremier Jarosław Kaczyński oficjalnie potwierdza, że oficjalnie potwierdził, że odejdzie z rządu, potwierdzając nasze potwierdzone info sprzed pół roku. A tuż po nadesłaniu do nas płomiennego pisma, że wszyscy go kochają, odchodzi też główny rolnik, minister Puda. Co też zwiastowaliśmy. Strzeżcie się Greków przynoszących dary. I panów G. przynoszących newsy.

No to straszymy dalej. Szef MSZ udał się na zwolnienie lekarskie. Profesor Rau zapewnia, że powróci. Czego mu z całego serca życzymy. Ale przy Szucha nie wszyscy w to wierzą. I zaczęły się podchody: kto weźmie ministerstwo. Zdradzimy, że będzie to niespodzianka. Tak jak nikt się nie spodziewał, że resort obejmie Jacek Czaputowicz, a potem zaskoczeniem był Rau, tak tradycja niespodzianek utrzymana będzie i tym razem.

Wersja light: „młokosy". Wersja hard: „gówniarze". Tak działacze PiS, od szeregowych posłów do najtwardszych gości z wierchuszki PiS, przyjęli minirekonstrukturyzację rządu. Tę, w wyniku której ministrami zostali Bortniczuk z Mejzą. Znaczy Bortniczuk ministrem sportu, a Mejza jego wice. A nie można komentować bardziej elegancko? Na przykład: „PiS wreszcie otwiera się na młodych".

Przypominamy, że jako pierwsi informowaliśmy – wiosną, przy okazji wieści o nocnych imprezowych eskapadach Bortniczuka i Mejzy – że ceną tego ostatniego jest stanowisko wiceministra. Zazdroszczącym podpowiadamy: jest jeszcze sporo innych ministerstw, dokąd dałoby się wstawić nowego wicka. A koalicja potrzebuje stabilnej większości w Sejmie. Zainteresowani mogą zgłaszać się do nas. Przekierujemy sprawę dalej.

À propos zazdrości: zazdrościmy ministrowi obrony narodowej. Z powodu Ameryki. Tak się bowiem składa, że do naszych uszu dotarła wieść o tym, że Mariusz Błaszczak w Ohio miał okazję sprawdzić osobiście możliwości produkowanych tam czołgów Abrams. Wóz prowadzi się dobrze, ma niezłe przyspieszenie i fajną turbinkę. Żal tylko, że nie dali postrzelać.

A co w Niemczech? W kraju znanym jako nas liebster feind? Szykuje się zmiana na stanowisku ambasadora w Berlinie. Wszystko, co ma swój początek, ma też swój koniec. W tym przypadku chodzi o koniec kadencji. Podobno prof. Przyłębski ma zostać zastąpiony przez zwykłego doktora. A konkretnie dr. Krzysztofa Raka. Chcieliśmy to potwierdzić, ale niestety Krzysztof nie odbierał od nas telefonu i nie odpowiadał na SMS-y.

Domyślamy się, dlaczego Rak nie odbierał – najpewniej sobie spacerował. Już tłumaczymy, przy okazji wytrącając argumenty niedowiarkom – tak, doktor Rak jest już jak najbardziej zdolny to pełnienia odpowiedzialnych funkcji. Wprawdzie COVID-19 dotknął go ciężko, ale zdążył już w ramach rekonwalescencji porzucić samochody na rzecz długich wycieczek pieszych oraz zrzucić sporo kilogramów. W sam raz na Berlin – tam wszędzie jest daleko. To sobie pochodzi.

Jeszcze o przesileniu w dyplomacji. Z dalekiego kraju po zakończeniu kadencji wraca płk Jacek Gawryszewski. A dokładniej z Chile. Nasze wiewiórki utrzymują, że obejmie kierowniczą funkcję w jednej ze służb specjalnych. Inne zaś zapewniają, że nie ma takiej możliwości, bo szef wszystkich szefów służb specjalnych go co prawda lubi, ale nie ceni. Więc to się jeszcze zobaczy.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Ciekawa sprawa z tym wiecem Tuska. Najlepiej wyszedł na nim Peezel. Zieloni bracia mieli akurat tej niedzieli regionalne zjazdy wyborcze. Więc i tak nie mogliby przyjechać na plac Zamkowy. Chłopska zaradność: i rubelka mają, i cnoty nie stracili. No i wyszli na rozsądnych, oprócz, oczywiście, biedaczka Jarosława Kalinowskiego. Ale po nim to akurat nigdy się niczego nie spodziewaliśmy.

Niektórzy pytają, dlaczego właściwie Zły Donald z Sopotu miałby odpowiadać za wszystkie obrzydliwe hasła rzucane podczas jego eurooczadziałej demonstracji. No cóż, skoro organizatorzy Marszu Niepodległości mają odpowiadać za każdy głupi transparent przywieziony z Koziej Wólki, to dlaczego analogicznie nie Donald?

W PeŁo demonstracja antypropolexitowa wywołała rozpacz. Brzmi dziwnie, ale jest prawdziwe. Zwolennicy Rafcia Trzaskowskiego są w rozpaczy, że Donald zwołał aż 30 tys. ludzi. Zwolennicy Donalda są w rozpaczy, że Donald zwołał zaledwie 30 tys. ludzi. Jakoś nam nie żal ani jednych, ani drugich.

Nie tylko Donald goni Europę. W Warszawie odbyło się uroczyste przyjęcie nowych członków homokomando. „Uroczyście przysięgam poświęcić swoje ciało i umysł obronie praw człowieka oraz innych istot żyjących, solidarnie z moimi współkompankami i współkompanami z homokomando" – recytowali. Nie, to nie jest fejk. Historia uczy nas wielu rzeczy. Na przykład w Niemczech kiedyś swoje homokomando założył Ernst Röhm. Pytanie: kto w takim razie u nas jest Adolfem?

My tu gadu-gadu, a tymczasem z telewizji Republika zniknął program Ewy Stankiewicz. Ewa to filar i legenda Strefy Wolnego Słowa, zapytajcie, kogo chcecie. Najwyraźniej rewolucje pożerają nie tylko własne dzieci. Także własne matki. ©℗

eprasa.pl 4d36b1cd49

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O przestępstwach słusznych i niesłusznych

Miasteczko Riace w Kalabrii od niemal ćwierć wieku jest celem pielgrzymek wyznawców kultu migranta z całego świata. Co czwarty mieszkaniec dwutysięcznego miasteczka to imigrant.

Wszystko za sprawą byłego już burmistrza Domenico Lucana, który pokochał migrantów całym sercem, a szczególnie jedną migrantkę z Somalii, dla której porzucił żonę i dwoje dzieci. Świat postępu docenił wysiłki pana Lucano już 11 lat temu. W plebiscycie na najlepszego burmistrza świata zajął trzecie miejsce. Sześć lat później amerykański dwutygodnik „Fortune" poświęcony światowemu biznesowi ogłosił go 50. najbardziej wpływowym człowiekiem naszej planety. Został laureatem nagrody pokojowej miasta Drezno. Światowe media uhonorowały go i jego miasteczko setkami artykułów i reportaży. O burmistrzu i raju na ziemi, który stworzył, powstały trzy hagiograficzne filmy.

Kłopoty nadeszły cztery lata temu. Zaczęło się od podejrzeń o drobne nieprawidłowości, a skończyło horrendum. Prokuratura po drobiazgowym śledztwie wniosła oskarżenie jeżące włos na głowie: wspieranie nielegalnej imigracji, w tym organizowanie fikcyjnych małżeństw, dzięki którym przybysze otrzymywali prawo pobytu, sprzeniewierzenie funduszów unijnych i subsydiów państwa, wyłudzanie środków dzięki fałszywym fakturom, przestępstwa podatkowe i zorganizowanie systemu korupcyjnych powiązań między ratuszem a ludźmi biznesu. Prokurator wniósł o siedem lat więzienia. Ale sąd w Locri po przeanalizowaniu dowodów wydał porażający wyrok: 13 lat więzienia. Somalijska małżonka dostała 4,5 roku.

A wysoki wyrok jest konsekwencją zmian w kodeksie karnym, wprowadzonych przez postępowców i kontestatorów z Ruchu Pięciu Gwiazd (najliczniejsze ugrupowanie parlamentarne), dla których każdy biznesmen jest oszustem, a urzędnik i polityk – złodziejem. Teraz domagają się uniewinnienia Lucana, bo chciał dobrze. I mówią, że sędzia w Locri to wstecznik i rasista. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 4d36b1cd49

ALIOR BANK

POŻYCZKA STABILNA

GWARANCJA STAŁEJ RATY

- pożyczka do 70 tys. zł
- okres spłaty do 5 lat

www.aliorbank.pl

RRSO 10,85%

Rzeczywista Roczna Stopa Oprocentowania (RRSO) Pożyczki Stabilnej wynosi 10,85%; całkowita kwota pożyczki (bez kredytowanych kosztów): 10 838 zł; całkowita kwota do zapłaty: 13 440,89 zł; oprocentowanie stałe: 7%; całkowity koszt pożyczki: 2602,89 zł, w tym prowizja: 758,66 zł (7%), odsetki: 1844,23 zł; 51 miesięcznych rat, w tym 50 równych rat w wysokości 263,55 zł, ostatnia rata: 263,39 zł. Kalkulacja została dokonana na 15.09.2021 r. na reprezentatywnym przykładzie. Maksymalna kwota pożyczki wraz z kredytowanymi kosztami wynosi 70 000 zł. Okres kredytowania: od 3 miesięcy do 5 lat. Ostateczne warunki kredytowania zależą od zdolności kredytowej klienta, kwoty pożyczki, daty wypłaty pożyczki oraz daty płatności pierwszej raty. Szczegóły oferty oraz Taryfa opłat i prowizji dla Klientów Indywidualnych w placówkach Alior Banku SA i na www.aliorbank.pl.

eprasa.pl 4d36b1cd49

FOT. PAWEŁ GRONADA

NATURALNE MĄDROŚCI

Aktorka i celebrytka Agnieszka Kaczorowska, znana jako Bożenka z „Klanu", a ostatnio także jako naczelna estetka show-biznesu, która wypowiedziała wojnę „modzie na brzydotę", stwierdziła, że jednak zagalopowała się w swoich publicznych wypowiedziach. Za walkę z brzydotą posypała się bowiem na nią lawina krytyki i kto wie, jak się to odbiło na jej instagramowych biznesach. W każdym razie Bożenka teraz już twierdzi, że stawia na naturę, bo naturalne piękno rządzi. Aby uwiarygodnić swój nowy przekaz, zamieściła swoje zdjęcie w wersji bez makijażu, ale za to z motywującym podpisem: „Oto ja bez makijażu i filtrów. Nie pierwszy i nie ostatni raz tutaj... I ci, którzy obserwują mnie od dawna, dobrze o tym wiedzą. Natomiast dalej pogodna i z uśmiechem na twarzy, co odzwierciedla mój stan ducha". „Zrobiłam to zdjęcie z dedykacją dla wszystkich, którzy gdziekolwiek i kiedykolwiek (czyli TAM i WTEDY) w moich słowach wyczytali, że neguję chodzenie bez makijażu i że kobieta piękna to tylko ta z makijażem i filtrami" – przekonywała. Dalej stwierdziła, że kobieta uśmiechnięta emanuje pięknem. „I w takim makijażu z uśmiechu chcę Was tu witać najczęściej! Bo lubię, bo chcę wysyłać do świata pozytywność, bo to radością i dobrem chcę dzielić się z innymi" – oznajmiła na koniec. Dzielenie się dobrem byłoby wtedy, gdybyśmy nie musieli czytać o pozytywności. Cóż, pomarzyć zawsze można!

ZNANA TYLKO SOBIE

News tygodnia! Karolina Pisarek wydaje autobiografię! Ale zaraz, kim jest Karolina Pisarek? No i zaczęło się googlowanie. A więc Pisarek to uczestniczka którejś tam edycji „Tap Mad!" (zajęła drugie miejsce), modelka i aspirująca celebrytka. Czyli zasługi godne biografii! Aha i ma 24 lata, więc kawał życia za sobą, będzie o czym pisać! Podobno Pisarek nad książką pracowała półtora roku. „Opowiadam o życiowej podróży, startując od gimnazjum" – zdradza. „Ujawnię wiele z mojego życia prywatnego. Właściwie to prawie wszystko" – zapowiada, a właściwie to chyba grozi. Ale to nie koniec! „Ostatnie sześć lat mojego życia przypominało jazdę rollercoasterem. Stałam się znana i niezależna finansowo. Doświadczałam niebywałej radości i głębokiego smutku. Poznałam, co to zdrada i rozczarowanie oraz jaką siłę daje lojalność i wsparcie bliskich. Książka ma na celu motywować" – zapowiada. Po takich zapowiedziach czujemy się aż nazbyt zmotywowani, by omijać ją szerokim łukiem!

TAKA TAM NORMALNOŚĆ

Aktorka Joanna Moro nie miała ostatnio dobrego czasu. Najpierw przez przypadek wszyscy mieli okazję posłuchać, jak kiepsko śpiewa bez playbacku, potem był wpis o trudnej sytuacji w Afganistanie, opatrzony zdjęciem, na którym Moro wygina się w bikini, za co musiała potem przepraszać. No generalnie nie najlepiej. Więc teraz jest na wakacjach, ale nie byłaby sobą, gdyby i tam nie zaliczyła wtopy. Oto Joanna postanowiła opowiedzieć światu, że dla niej taki wyjazd na Majorkę to żadne wakacje, ale coś najzwyczajniejszego w świecie, norma, standard. „Nie traktuję takich wyjazdów jako wakacje, tylko normalność, życie... Każdego co innego ładuje w życiu. Dla mnie to moja codzienność, każdy ma wybór. Dużo moich znajomych wyjechało z Polski, pandemia pokazała, że nie ma co się bać zmian. Zmiany rozwijają nas, pchają do przodu, uczą. Może nie jest powiedziane, że wszystko będzie łatwo i gładko. Ale czy o to w życiu chodzi? Nie bójmy się iść za głosem serca i intuicją" – napisała Moro. Na uwagę, że nie każdy śpi na pieniądzach, żeby móc tak podróżować, odpowiedziała, że „ci, którzy pracują, mają ich tyle, ile im potrzeba do szczęścia". „Zaufaj, ty też możesz mieć wszystko, czego naprawdę chcesz, tylko realizuj to i dąż do celu" – napisała. Bezcenne porady, dzięki nim od razu na świecie przybyło milionerów!

FOT. TRICOLORS/EAST NEWS

MATCZYNA TROSKA

Edzia Górniak ubolewa, że jej syn nie dość, że pali papierosy, to jeszcze zamiast śpiewać normalnie tak jak ona, to zajął się jakimś rapem. Straszne rzeczy, po prostu. – Allan niestety nadal pali papierosy. Jest teraz 17-latkiem, a do tego siedzi w hip-hopie. Jeśli kiedyś będzie chciał wypuścić swoją muzykę, to trzeba się spodziewać, że będą różne reakcje. Z drugiej strony on, obserwując moje życie publiczne, wie, że to się je różnymi łyżkami i są różne przyprawy. Czasem jest łagodnie, czasem z wiatrem, czasami pod wiatr – wyznała Edzia „Faktowi". Choć mówi też, że muzyka jej syna w sumie to nawet jej się podoba, tylko teksty już niekoniecznie. – To, co on robi, naprawdę zasługuje na uwagę i upublicznienie. Nie wszystkie teksty jednak mi się podobają, bo ten język jest taki dość hiphopowy... – dodaje Górniak. Mówi też, że zawsze wychowywała syna tak, by mógł sam o sobie decydować. – Ja zawsze mu pozwalałam decydować, nawet wcześnie, od szóstego roku życia, co często dziwiło różnych rodziców, że ja pytam Allana o zdanie. Bardzo się liczę z jego uczuciami – stwierdziła. Tak bardzo się liczy, że regularnie opowiada o nich w tabloidach! Szczyt matczynej troski! ©℗

eprasa.pl 4d36b1cd49

Nowy minister sportu

FOT. TWITTER.COM/KAMILBORTNICZUK

Poseł Kamil Bortniczuk zostanie ministrem sportu w resorcie, który zostanie wydzielony z obecnego Ministerstwa Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu. Potwierdził to w ubiegłym tygodniu lider PiS. – Do nominacji dojdzie najszybciej, jak to możliwe, uwzględniając proces legislacyjny potrzebny na wydzielenie resortu. Sądzę, że w przyszłym tygodniu sprawa się zamknie – zapowiedział Jarosław Kaczyński.

Wiceministrem w tym resorcie zostanie poseł niezrzeszony Łukasz Mejza.

Bortniczuk wraz z Adamem Bielanem zostali wykluczeni z Porozumienia Gowina w trakcie wewnątrzpartyjnego sporu. Trzydziestoośmioletni poseł karierę polityczną zaczynał w samorządzie w Głuchołazach. Był radnym przez dwie kadencje. W 2011 r. próbował dostać się do Sejmu jako kandydat ugrupowania Polska Jest Najważniejsza. To się nie powiodło. Tak samo jak start w 2015 r. z listy Zjednoczonej Prawicy. Do Sejmu trafił dopiero, gdy objął mandat po Bartłomieju Stawiarskim, gdy ten zdecydował się na karierę samorządową. Wcześniej był już wiceministrem – w 2019 r. w resorcie funduszy i polityki regionalnej.

Jest absolwentem stosunków międzynarodowych i prawa. ©℗

Łukasz Zboralski

PUBLICYŚCI „DO RZECZY” Z NAGRODĄ

Piotr Semka oraz Krzysztof Masłoń otrzymali doroczną Nagrodę Ministra Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu. Krzysztof Masłoń został doceniony w kategorii „Literatura”, natomiast Piotra Semkę uhonorowano Nagrodą im. Tomasza Merty „Między literaturą a historią”. W jego imieniu statuetkę odebrały żona i córka.

Tegoroczna gala odbyła się w siedzibie Zespołu Państwowych Szkół Muzycznych nr 1 w Warszawie, a poprowadzili ją wicepremier, minister kultury, dziedzictwa narodowego i sportu prof. Piotr Gliński oraz dziennikarka TVP Kultura Katarzyna Sanocka. Nagrody zostały przyznane w 17 kategoriach.

Nagroda Ministra Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu jest przyznawana od 1997 r. zasłużonym postaciom świata kultury w uznaniu całokształtu ich dorobku zawodowego lub za wybitne osiągnięcia w danym roku w reprezentowanej przez nich dziedzinie. ***(kg)*** ©℗

REKLAMA

eprasa.pl 4d36b1cd49

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, FIFA nie znalazła podstaw, aby wszcząć postępowanie dyscyplinarne wobec Kamila Glika. Przypomnijmy – polski obrońca został oskarżony przez Anglików, że w trakcie wrześniowego meczu w Warszawie wykonywał rasistowskie gesty.

Naszym zdaniem temat nie powinien jednak być zamknięty. To, iż nie znaleziono dowodów, nie oznacza, iż one nie istnieją. A przecież tzw. rasizm bezobjawowy to poważne zagrożenie i wielokrotnie zostało już opisane, wszyscy się przecież zgadzamy, iż ono istnieje.

Może więc zamiast straszyć karami, skoro ukarać nie ma jak, zachęcić Glika do udziału w antyrasistowskich akcjach? Może zacząłby klękać przed meczami? Albo wysłać go na kilka pogadanek uświadamiających?

No i jak w tej sytuacji muszą się czuć Anglicy? Czy ktoś pomyślał o ich emocjach? Nie dość, iż było im przykro w Warszawie, to pewnie teraz jest im jeszcze smutniej, gdysh zostali uznani przez niektórych za kłamców. Fatalna historia :(

Jesteśmy pełni podziwu, jak TVN wymierzył lewym prostym cios prosto w wąsatą twarz polskiego patriarchatu. Otósh TVN przejął prawo do transmitowania konkursów Pucharu Świata w skokach narciarskich. I nie chce się nimi podzielić z TVP xD

Tym samym stacja dokonała zamachu na tradycyjny polski model spędzania niedzieli: msza, rosół, a potem Małysz czy inny Stoch albo Kubacki. Podkarpaccy fani skakania na dwóch deskach będą mieli teraz nie lada dylemat etyczny: czy przestać oglądać skoki, czy włączać TVN i ryzykować brak możliwości uzyskania rozgrzeszenia.

Teraz czekać tylko na to, aż TVN przejmie jeszcze „M jak miłość", mecze piłki nożnej, program „Rolnik szuka żony" (chociaż jednak TVN przecież nie połakomiłby się na tak niski kontent kosztem „Trudnych spraw", no nie?), a na końcu „Wiadomości" xD

W związku z tym, iż kibice reprezentacji Albanii na stadionie w Tiranie obrzucili polskich piłkarzy w geście słusznego wzburzenia butelkami z wodą, apelujemy, iżby natychmiast zamknąć Stadion Narodowy w Warszawie. A w wariancie radykalnym – wszystkie stadiony w tym kraju.

Polacy jako goście w niewielkim państwie Albania wygrali mecz, a po strzelonym golu mieli czelność okazywać radość przed oczami załamanych albańskich kibiców. Tak się szanuje mniejszości (iż Albania jest mniejsza niż ten kraj).

Skoro więc jeden gol strzelony w meczu wyjazdowym przyczynił się do takich przykrych incydentów z udziałem polskich piłkarzy, to jak mają się potoczyć mecze rozgrywane w Polsce, gdzie reprezentacja tego kraju strzela więcej bramek?

Cały czas wydaje nam się, iż piłka nożna pozostaje poza regułami cywilizowanego świata. Mieliśmy w Tiranie, nie bójmy się tego słowa, kryzys dyplomatyczny – zamiast przeprosić, wyrazić ubolewanie lub chociaż solidarność z poszkodowanymi widzami na stadionie, którzy musieli oglądać cieszących się Polaków, media w tym kraju podkreślają, że do takich scen nie miało prawa dojść.

No a jednak doszło i byli tam Polacy. Przypadek? ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Oni te pomidory... A ja nic!

Panie Grzegorzu, to już pan pewnie słyszał, że musimy pana przesunąć z tego rolnictwa...
Ale panie prezesie! Ja się tak starałem!
Tak jak pan kazał: z animalsami się fotografowałem, myśliwych czołgałem, jak się dało, tych wstrętnych zerwiskórów to prawie zlikwidowałem, jak nie ustawą, to COVID.

No wiem, wiem...
Ostatnio byłem na Podlasiu, w takiej wsi, promować nasz świetny program. Wjeżdżam, a tam na płocie transparent bardzo brzydki z moim nazwiskiem. A ja nic. I potem, jak rzucali pomidorami zgniłymi, to też nic. Wytrzymałem.

Rymowało się?
Przepraszam: co?

No, na tym transparencie, czy się hasło rymowało z pana nazwiskiem?
A... nie, nie, wcale. Ale bardzo brzydkie było.

Doceniam poświęcenie. Pan się nie martwi, zginąć panu nie dam. Ma pan tego... no... smartfona?
Mam.

No i świetnie. To może na cyfryzację pana rzucimy. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Apeluję o porzucenie planu budowy muru na granicy! Mury zawsze dzielą".

JANINA OCHOJSKA, *posłanka do Parlamentu Europejskiego, na Twitterze*

eprasa.pl 4d36b1cd49

TYGODNIK POLSKI DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

STRAŻNIK PAMIĘCI 2021

STRAŻNIK PAMIĘCI

PARTNER GŁÓWNY

PGNiG

eprasa.pl 4d36b1cd49

„Zielona transformacja”. PGNiG: Gaz ziemny jest najmniej emisyjnym paliwem przejściowym

Ewolucja energetyczna lub – jak twierdzą niektórzy – rewolucja stawia przed firmami energetycznymi zupełnie nowe wyzwania o gigantycznej skali, z jakimi do tej pory się jeszcze nie spotkały. Wymaga to zupełnie innego podejścia do problemu, aby w przyszłości móc konkurować na rynkach opierających się na czystej i odnawialnej energii. Aby sprostać tym wyzwaniom, w Polsce powstaje koncern multienergetyczny. Powstanie on z połączenia PKN Orlen, PGNiG oraz Grupy Lotos. Podczas szóstej edycji Kongresu 590 debata pt. „Zielona transformacja” była poświęcona wyzwaniom, jakim będą musiały stawić czoła koncern oraz firmy wchodzące w jego skład.

– Budowa biznesu, który będzie wspierał odnawialne źródła energii i alternatywne paliwa w transporcie, wymaga dużych nakładów finansowych na inwestycje. Chcemy, aby polska energetyka była innowacyjna, stabilna i konkurencyjna. Do tego potrzebne są kapitałochłonne projekty obszarowe. Tylko duży koncern multienergetyczny będzie dysponował wystarczająco dużym kapitałem, aby pozwolić sobie na takie inwestycje – mówił dyrektor Biura Strategii i Projektów Strategicznych PKN Orlen Karol Wolff.

Dyrektor ds. strategii Orlenu zwrócił uwagę, że przez najbliższe 10–20 lat koncern będzie musiał równoległe funkcjonować w dwóch systemach energetycznych: starym – opartym na paliwach kopalnianych i nowym – opartym na czystej i odnawialnej energii.

– Niezbędne zmiany są wywołane czynnikami klimatycznymi, a co za tym idzie – regulacyjnymi. Branża „oil and gas” będzie przechodziła w najbliższym czasie największą transformację. To ogromne wyzwania połączone z dużym ryzykiem,

eprasa.pl 4d36b1cd49

ale też wielka szansa i możliwości do rozwoju – mówił Artur Cieślik, wiceprezes ds. strategii i regulacji w PGNiG.

W ramach zielonej transformacji PGNiG planuje być głównym dostawcą gazu jako paliwa przejściowego. Koncern ocenia, że energetyka i ciepłownictwo, ze względu na presję dekarbonizacyjną Komisji Europejskiej, będą wymagały najszybszej transformacji. Ze względu na brak w Polsce elektrowni atomowych tylko gaz może zapewnić stabilność szczytową w energetyce i ciepłownictwie w sytuacji odchodzenia od węgla.

– Chcielibyśmy, aby ten okres przejściowy, w którym będziemy wykorzystywać gaz, był odpowiednio długi, aby pozwolił przekształcić się zarówno naszej spółce, jak i całej polskiej gospodarce. Myślę, że takim realnym horyzontem jest rok 2050, do którego gaz powinien być podstawowym źródłem zarówno dla energetyki, jak i ciepłownictwa – kontynuował Artur Cieślik.

– Gaz to dziś jedyne źródło, które technologicznie pozwala zapewnić stabilność energetyczną systemu w szczytowych momentach. Także ciepłownictwo – to duże, ale też mniejsze, powiatowe – będzie musiało się w najbliższych latach przekształcać. Jedynym dostępnym rozwiązaniem są dziś turbiny gazowe, które zapewniają taką możliwość – tłumaczył wiceprezes PGNiG.

PGNiG pokłada rozwojowe nadzieje także w gazach odnawialnych, szczególnie w biometanie, a także wodorze. W średnioterminowej perspektywie koncern planuje rozwój mieszanek gazu ziemnego z biometanem, a w dalszej – prace nad wodorem. W przypadku tego drugiego PGNiG specjalizować będzie się w tym, w czym już ma największe kompetencje, czyli magazynowaniu i dystrybucji. Grupa Kapitałowa PGNiG dysponuje największą w Europie gazową siecią dystrybucyjną, przekraczającą 190 tys. km.

– Prowadzimy projekty związane z wielkoskalowym magazynowaniem gazów. Mamy kawerny w Kosakowie koło Gdyni, w których w przyszłości będziemy mogli składować wodór pozyskiwany np. w procesie elektrolizy z wykorzystaniem energii elektrycznej pochodzącej z nadwyżek z OZE. To są elementy, które będziemy wnosić do koncernu multienergetycznego – tłumaczył Artur Cieślik.

Ideę gazu jako paliwa przejściowego do roku 2050 skontrował Krzysztof Nowicki, prezes ds. fuzji i przejęć Grupy Lotos.

– Gaz będzie za chwilę traktowany przez Komisję Europejską dokładnie tak, jak traktowany jest dziś węgiel. Dlatego budujemy koncern multienergetyczny, aby sprostał on wyzwaniom rewolucji energetycznej, które czekają rynek energii w tej gonitwie ratowania klimatu.

Artur Cieślik zgodził się, że zmiany klimatyczne powodują dużą presję w strefie legislacyjnej, jednak bezpieczeństwo energetyczne kraju zależy od tego, aby transformacja w Polsce była prowadzona w trybie ewolucyjnym, nie rewolucyjnym.

– Europa Zachodnia może sobie pozwolić na rewolucję w transformacji energetycznej, bo mają szerszy zakres odnawialnych źródeł energii, mają atom. My mamy inne uwarunkowania historyczne czy infrastrukturalne. Dlatego jako spółka chcemy przekonać, że w Polsce powinniśmy iść w kierunku ewolucji z gazem jako paliwem przejściowym.

O potrzebie budowy koncernu multienergetycznego w odpowiedzi na zmieniające się wyzwania energetyczne mówił także Dawid Piekarz, wiceprezes Instytutu Staszica. Jego zdaniem potrzeba wynika m.in. z tego, że w obecnej chwili nieznane są dokładne wymagania ani kamienie milowe na drodze do dekarbonizacji.

– Rok temu zobaczyliśmy europejski Zielony Ład i mniej więcej widzieliśmy, jak on będzie wyglądał, a w tym roku zobaczyliśmy plan „Fit for 55", który dodał Zielonemu Ładowi silnik odrzutowy, niosący nas w nieznane, i trochę nie wiemy, jak po tym będzie wyglądał świat – mówił Dawid Piekarz.

Zdaniem wiceprezesa Instytutu Staszica, aby przygotować się na zmiany w energetyce, trzeba stać się na tyle dużym graczem, aby aktywnie uczestniczyć w procesie regulowania tych zmian.

– Jeśli dzieje się jakaś rewolucja, np. technologiczna albo regulacyjna, to warto być w pozycji, w której nie jesteśmy tylko przedmiotem, ale też podmiotem. Żeby być podmiotem, trzeba być silnym i stać w miejscu, w którym można ten proces kontrolować. Podobnie jak było podczas gorączki złota w Stanach Zjednoczonych. Tam najwięcej zarobili nie poszukiwacze złota, ale sprzedawcy łopat, wiader i kilofów – oceniał Piekarz.

Karol Wolff z Orlenu zwrócił uwagę, że za 20 lat będą rozwijać się technologie energetyczne, które teraz są dopiero zapowiadane, jak np. modułowe reaktory jądrowe oraz CCS, czyli wychwytywanie i magazynowanie dwutlenku węgla.

– Połączenie się w koncern multienergetyczny pozwoli nam stworzyć warunki do rozwijania nowych technologii. Musimy inwestować w portfolio linii biznesowych, ale musimy to robić w skoordynowany sposób – mówił Karol Wolff.

Prowadzący debatę Marek Tejchman stwierdził, że koncern, nawet jeśli powstanie, będzie jedynie europejskim średniakiem. Z taką tezą nie zgodził się Dawid Piekarz, stwierdzając, że nawet jeśli nie będziemy ścigać się z BP i z Shellem, to patrząc na to, gdzie znajdujemy się geograficznie, będziemy mogli stworzyć pewną masę krytyczną. Nowy koncern będzie miał dużą rolę w transformacji w całym regionie Europy Środkowo-Wschodniej.

– Jako firma z sektora „oil and gas" koncern multienergetyczny byłby porównywalny wielkością z europejską pierwszą ligą – hiszpańskim Repsolem czy włoskim Eni. Na pewno byłby większy od bezpośredniej konkurencji w regionie, czyli koncernów MOL czy OMV – podsumował Artur Cieślik, wiceprezes ds. strategii i regulacji w PGNiG.

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl 4d36b1cd49

Polak to pijak, antysemita i homofob

Dariusz Wieromiejczyk

Podatnicy wyłożyli ponad 6 mln zł na film „Wesele" (2), który ich samych obraża, zohydza i pokazuje w sposób niezgodny z prawdą

Film „Wesele" (2) Wojciecha Smarzowskiego jest dla polskiego widza przeżyciem traumatycznym. Dzieje się tak nie tylko wskutek niezwykłego, nawet jak na standardy tego reżysera, nagromadzenia wulgaryzmów, scen okrutnych, brutalnych i obyczajowo drastycznych. Do tego zdołał nas już Smarzowski w swoich poprzednich filmach przyzwyczaić. Co prawda, scena zoofilii ukazująca stosunek wieprza z mężczyzną wydaje się, nawet jak na poetykę Smarzowskiego, czymś skrajnym, jednak zauważyć należy, że zoofilia stała się ostatnimi czasy w polskich mediach tematem obecnym częściej, niż życzyłby sobie tego konserwatywny odbiorca. Jest to jednak dopiero przedsmak scen znacznie bardziej kontrowersyjnych.

„Wesele" rozgrywa się w dwóch płaszczyznach czasowych. Współczesna opowieść o odbywającym się na wsi polskiej weselu przeplata się ze wspomnieniami prowadzonego równolegle wątku historycznego, umiejscowionego w czasie drugiej wojny światowej. Łączy je postać bohatera obu wątków, w czasie wojny młodego wiejskiego chłopaka, współcześnie niemal stuletniego seniora rodu. Wątek współczesny pełen jest scen drastycznych, na wszelkie sposoby obrazujących cynizm, zakłamanie i jadowity antysemityzm większości uczestników uroczystości ślubnej. Wątek historyczny opowiada jednak o rzeczach o wiele trudniejszych.

PALĄCY ŻYDÓW

Widzimy polską wioskę (małe miasteczko?) w przededniu wybuchu drugiej wojny światowej. Na ulicy umundurowane zbiry z pałkami w rękach terroryzują mieszkańców, wykrzykują antysemickie hasła i organizują bojkot żydowskich sklepów. Ich inspiratorem jest ksiądz katolicki, z ambony wzywający wiernych do antyżydowskich demonstracji, wygłaszający jawnie antysemickie kazanie, w którym pojawia się nawet wezwanie do rozwiązania kwestii żydowskiej. W życiu miasteczka wszechobecna jest przemoc, dochodzi do aktów gwałtu, których ofiarami padają Żydzi. Dalej dzieje się jeszcze gorzej. Wkraczających do wioski w 1941 r. Niemców wita bohater filmu (późniejszy żołnierz wyklęty, wieloletni więzień komunistyczny i osoba nagrodzona tytułem Sprawiedliwego wśród Narodów Świata), jedzie z nimi pojazdem pancernym i pomaga im w znalezieniu brodu przez rzekę. Kiedy, w tym samym czasie, Niemcy pytają polskich mieszkańców miasteczka o ukrywających się komunistów, przyszły wyklęty szybko wskazuje Żyda, konkurenta do serca miejscowej żydowskiej dziewczyny. Niemiec wyjmuje pistolet i na oczach polskiej gawiedzi morduje wskazanego młodzieńca. A jest to dopiero początek ukazanych w filmie okrucieństw.

W następnych scenach rozjuszone, pijane przemocą chłopstwo gwałci, morduje i okrada swoich żydowskich sąsiadów. Krew leje się strumieniami, nagie żydowskie dziewczęta padają ofiarą przemocy, pojawia się rozsławiona w polskiej debacie historycznej stodoła, do której polscy chłopi, pod ledwie zauważalnym nadzorem umundurowanych Niemców,

eprasa.pl 4d36b1cd49

„Wesele" (2) Wojciecha Smarzowskiego pokazuje w złym świetle Polaków podczas wojny i współcześnie FOT. MARCIN SZPAK/MATERIAŁY PRASOWE

pędzą tłumy żydowskich sąsiadów. Niemcy, choć widoczni w filmie, nie są jednak nawet w połowie tak nienawistni i brutalni jak zezwierzęcona wiejska dzicz. Chłopi są uzbrojeni (przynajmniej jeden z nich trzyma w rękach karabin), używają też wideł, pałek i pięści. Po spaleniu pełnej Żydów stodoły namawiają się na szukanie uciekinierów po lasach i polach. Dobijają rannych i ukrywających się. Rabują i przy wódce dzielą się ich dobytkiem. Pijani i wizualnie odrażający mordują Żydów tak chętnie, aż Niemcy muszą ich powstrzymywać, prosząc Polaków o zostawienie przy życiu przynajmniej jednego przedstawiciela z wielu potrzebnych okupantowi profesji. Ci zgadzają się niechętnie, argumentując, że sami mogliby ich zastąpić.

ANTYSEMITYZM I HOMOFOBIA TO KOŚCIÓŁ

Jeśli w odniesieniu do Polaków czasu okupacji naczelnym zarzutem Smarzowskiego jest powszechny antysemityzm, to i Polacy współcześni nie wychodzą z „Wesela" obronną ręką. Tu także antysemityzmu jest wiele – w pijackich odzywkach, wzajemnych obelgach, przyśpiewkach zdziczałych kibiców. Nowatorskim pomysłem reżysera jest połączenie nienawiści do Żydów z nienawiścią wobec mniejszości seksualnych – zrymowanymi w pokazywanych naprzemiennie kazaniach księży – współczesnego, wygłaszającego kazanie na ślubie, i dawnego, wzywającego do antyżydowskiego bojkotu. Dawny kaznodzieja ostrzegał przed Żydami, współczesny uprzedza przed „tęczową zarazą". Proste pytanie, dlaczego jakikolwiek ksiądz miałby wygłaszać podobne przemowy akurat na mszy ślubnej, gdy panna młoda jest ewidentnie w zaawansowanej ciąży, zaś wiejski kościół wypełniają skrajnie zapóźnieni obyczajowo rolnicy i kibice – najwyraźniej nie przeszło reżyserowi przez głowę. Natrętnie stawiana jest w filmie teza, że tradycyjnie endemiczny wśród Polaków antysemityzm współcześnie doczekał się rodzeństwa w postaci nienawistnej homofobii, a i jedno, i drugie wynika bezpośrednio z nauczania księży i Kościoła katolickiego.

Skojarzenie, które nieuchronnie przychodziło mi na myśl podczas oglądania filmu Smarzowskiego, to „Heimkehr" („Powrót"), niemiecki film propagandowy z roku 1941, także opowiadający o polskich zbrodniach dokonanych na niemieckich w tym wypadku sąsiadach. Film ten miałem okazję oglądać, z racji swoich obowiązków, w Filmotece Narodowej, która dysponując kopią filmu, przeprowadziła jej digitalizację. Polacy w bardzo sprawnie zrealizowanym pod względem technicznym filmie Gustava Ucicky'ego (premiera w Wenecji!) także przedstawieni są jako nacja brudna, kulturowo zdegenerowana, skłonna do hipokryzji i brutalnej przemocy wobec słabszych. „Heimkehr" pokazuje polską religijność jako zakłamaną i fasadową, a Polaków jako pijaną przemocą tłuszczę. Podobne są nawet środki wyrazu – wykrzywione, pijane twarze, wybałuszone gniewem oczy, pałka i brudna pięść jako narzędzie przemocy w spontanicznym, a zarazem dyskretnie wspieranym przez władze pogromie – tym razem jednak skierowanym przeciwko pokojowym i schludnym Niemcom.

Zaskakująco podobnymi środkami wyrazu posłużyli się filmowcy epoki stalinowskiej, produkując film „Jasne łany" (1947) w reżyserii Eugeniusza Cękalskiego. Tu także obrzydliwego kułaka rozpoznać można po niechlujnej odzieży, pijanym, nieforemnym obliczu i zwyczaju witania się słowami „Szczęść Boże". W filmie Cękalskiego kułacy okradają sklepik spółdzielczy, demolują w pijackim szale, co popadnie, i nieustannie rwą się do bitki. Tu także wśród nielicznych zachowujących człowieczeństwo mieszkańców wsi większość stanowią kobiety – z przyczyn obiektywnych kobiety socjalistyczne marzyły o elektryfikacji, współczesne o wyjeździe do Irlandii. Trzeba jednak przyznać, że komunistyczna propaganda antychłopska – obecna w „Jasnych łanach" czy interesującej formalnie „Ziemi" Aleksandra Dowżenki (1930) – w porównaniu z „Weselem" zdaje się o wiele bardziej bezzębna i stonowana. W klasycznym dziele Dowżenki chłopi są w większości zacofani, ale nie wstrętni, nie epatuje się ich zezwierzęceniem ani brzydotą. Są we wsi ludzie źli i brutalni – to nieliczni i obcy zdrowemu chłopskiemu trzonowi kułacy. Zabijając postępowego traktorzystę, strzelają do niego z ukrycia – jest to skrytobójstwo, lecz nie barbarzyński, pijany pogrom. Pod tym względem estetycznego wstrętu, wzbudzanego u widza przez chłopskich antagonistów, znacznie bliższy „Weselu" jest „Heimkehr".

WSPARCIE Z PISF

Różnica pomiędzy tymi filmami jest jednak zasadnicza. „Heimkehr" produkowany był za pieniądze hitlerowskiego ministerstwa propagandy. Za „Wesele" zapłaciliśmy sami. Niech się czytelnicy nie dziwą. Najnowszy film Wojciech Smarzowskiego dofinansowany został sumą ponad 6 mln zł z pieniędzy polskich podatników, przeznaczonych w budżecie na zachęty finansowe dla producentów filmowych.

Dumnie informowały o tym dwuminutowe zapowiedzi filmu, wyświetlane przed seansami w trakcie ostatnich tygodni. W samym filmie wiadomość ta skryła się tajemniczo, zastąpiona przebiegającą błyskawicznie przez ekran, napisaną małym drukiem informacją o finansowaniu filmu zgodnie z Ustawą o finansowym wspieraniu produkcji audiowizualnej z dnia 9 listopada 2018 r.

Przeciętny widz, nieznający przecież na pamięć treści uchwalonych przed laty ustaw, może z tej informacji zrozumieć niewiele. Sięgnijmy więc do samej ustawy i zorientujmy się, o co chodzi. Jak głosi artykuł pierwszy, „ustawa określa zasady, warunki oraz tryb przyznawania i rozliczania wsparcia finansowego produkcji audiowizualnej". Artykuł

eprasa.pl 4d36b1cd49

drugi precyzuje: „Wsparcie finansowe stanowi pomoc publiczną zgodnie z art. 107, ust. 1 Traktatu o funkcjonowaniu Unii Europejskiej". Rozdział 2 ustawy zatytułowany jest „Zadania i przychody Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej związane z przyznawaniem i rozliczaniem wsparcia finansowego" i w swoim pierwszym punkcie stanowi, że „do zadań Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej, zwanego dalej »Instytutem«, […] należy przyznawanie wsparcia finansowego".

Co ciekawsze, do zadań Polskiego Instytutu Sztuki filmowej należy również „promocja polskiego rynku produkcji audiowizualnej związana ze stwarzaniem warunków dla zagranicznych produkcji audiowizualnych oraz inwestycji w rynek produkcji audiowizualnej na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej oraz promocja Rzeczypospolitej Polskiej jako miejsca produkcji audiowizualnej", dyrektor Instytutu ma zaś w obowiązkach „kierowanie działaniami związanymi z promocją polskiego rynku produkcji audiowizualnej oraz promocją Rzeczypospolitej Polskiej jako miejsca produkcji audiowizualnej". Jeśli dyrekcja PISF zamierza promować Rzeczpospolitą takimi filmami jak „Wesele", to efekt tej promocji może niestety odbiegać od oczekiwań ustawodawcy.

Wszelkie wątpliwości co do zaangażowania instytucji publicznych w produkcję „Wesela" rozwiewa profesjonalny portal filmowy www.filmpolski.pl. Na stronie poświęconej „Weselu" Polski Instytut Sztuki Filmowej przedstawiony jest jako źródło współfinansowania filmu. Słusznie, ponieważ inwestując w produkcję 6 mln 147 tys. zł z tzw. programu zachęt finansowych dla producentów, w pełni sobie na tę informację zasłużył.

PISF finansuje polską produkcję filmową za pomocą dwóch różniących się od siebie mechanizmów. Pierwszy to dofinansowanie za pomocą tzw. programów operacyjnych. Polega ono na ocenie projektów filmowych na różnych etapach realizacji (scenariusz, development, produkcja) przez komisje ekspertów, które w wyniku głosowania rekomendują projekty do wsparcia finansowego. „Wesele" było przez taką komisję, złożoną z ekspertów filmowych, ocenione i komisja, w mojej ocenie słusznie, odmówiła mu finansowania.

Nie zakończyło to jednak starań producenta o wsparcie „Wesela" z pieniędzy polskiego podatnika. Zostały one uwieńczone powodzeniem, a wsparcie przyznano z mechanizmu tzw. zachęt finansowych. Został on w Polsce wprowadzony na podstawie cytowanej już tutaj ustawy z 2018 r. Szczegółowe zagadnienia procesu przyznawania takiego wsparcia reguluje Rozporządzenie Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego z dnia 11 lutego 2019 r., opublikowane w Dzienniku Ustaw 18 lutego 2019 r., poz. 309.

Dlaczego polskie instytucje publiczne sfinansowały „Wesele" środkami z budżetu państwa i samorządów lokalnych

JAKIE TO WARTOŚCI?

Nie chcąc zanudzać czytelnika obszernym cytowaniem ministerialnych rozporządzeń, streszczę tylko najistotniejsze dla sprawy fragmenty. W kwestii przyznawania dofinansowań rozporządzenie wprowadza daleko idący automatyzm. Oceniane są przede wszystkim kwestie formalne związane z konstrukcją budżetu filmu, kategoriami kosztów kwalifikowanych i udziałem w produkcji polskich aktorów, realizatorów i dostawców usług filmowych. Pojawia się tu jednak pojęcie „testu kwalifikacyjnego", którego przejście umożliwia projektowi filmowemu otrzymanie dofinasowania publicznego. Test ten jest nadzwyczaj ogólny i opisuje kategorie tematów, osób występujących w fabule i lokalizacji filmowych, gdzie za spełnienie wymagań każdego paragrafu testu otrzymuje się określoną ocenę punktową. Słowo „wartości" pojawia się w paragrafie trzecim rozporządzenia, za którego wypełnienie przyznaje się dwa punkty kwalifikacyjne. Zacytuję go w całości:

„Utwór audiowizualny nawiązuje do ważnych wartości kulturowych (np. praw człowieka, tolerancji, równości, ekologii) lub eksponuje polski lub europejski potencjał twórczy, lub polską lub europejską kreatywność lub innowacyjność".

Na pierwszy rzut oka zauważyć można zdumiewającą ogólnikowość tych kryteriów. Mógłby ktoś sądzić, że kwestia praw człowieka jest w naszej cywilizacji problemem niejednoznacznym, będącym osią rozrywających świat Zachodu sporów ideologicznych. Wielu współczesnych naukowców i polityków zalicza do praw człowieka tzw. wolność reprodukcyjną, czyli prawo do aborcji, pod pozorem obrony praw człowieka wprowadza się w wielu państwach świata ustawodawstwo redefiniujące pojęcie rodziny w obronie praw tzw. osób LGBT+. Autor rozporządzenia zdawał się być tych okoliczności błogo nieświadomy. Film nagradzany jest punktami za nawiązanie do wartości „praw człowieka", które – zdaniem Ministerstwa Kultury – żadnej poszerzonej definicji nie potrzebują. Rozumiem, że na Krakowskim Przedmieściu takie zagadnienia jak „prawa człowieka" rozumie się intuicyjnie, jednak wielu filmowców równie rozbudowanych kompetencji społecznych i kulturowych może po prostu nie posiadać. Niestety, rozporządzenie nie służy im w tym przypadku pomocą.

Zaskakujące mogą być też inne przykłady ministerialnego katalogu wartości. Nowocześni konserwatyści nie sprzeciwiają się przecież promowaniu tolerancji, równości czy ekologii, wydaje się jednak, że pojęcia te bliższe są w powszechnym odbiorze hasłom ideowym ruchu zielonych. Brak w ministerialnym wyliczeniu wartości takich jak szacunek do religii, budowa wspólnoty narodowej czy godne przedstawianie polskiej historii może skłaniać do różnorodnych refleksji.

Nie trzeba jednak zgadywać, jaki efekt może mieć dofinansowanie „Wesela" przez Polski Instytut Sztuki Filmowej. Na całym świecie istnieją podobne instytucje, których uczestnictwo w projektach filmowych stanowi swoisty znak jakości, a zarazem mniej lub bardziej formalny sygnał zgodności dzieła filmowego ze standardami rzetelności szanowanej instytucji publicznej. Współprodukowanie filmu przez Irish Film Board pozwala domniemywać, że film nie postawi tezy o wywołaniu katastrofalnego głodu w Irlandii przez półdzikich irlandzkich nacjonalistów, odrzucających niesiony im przez Brytyjczyków kaganek cywilizacji i oświaty. Koprodukcję „Wesela" przez National Film Centre of Latvia z pewnością lepiej ode mnie wyjaśnią zawodowi historycy, biegli w historii wojennych dokonań formacji łotewskich, od których słusznie zawstydzeni Łotysze chcieliby zapewne odwrócić uwagę świata. Dlaczego jednak polskie instytucje publiczne sfinansowały „Wesele" środkami z budżetu państwa i samorządów lokalnych? Na to pytanie nie umiem znaleźć odpowiedzi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4d36b1cd49

#włączprawdę

REPUBLIKA

DZISIAJ

GŁÓWNE WYDANIE INFORMACJI

oglądaj również na www.tvrepublika.pl

eprasa.pl 4d36b1cd49

Tępa siekiera Smarzowskiego

Krzysztof Masłoń

Smarzowski obraża nie tylko naszą historię, tradycję, dumę narodową, wrażliwość estetyczną, lecz także inteligencję. A to dla człowieka mieniącego się artystą grzech śmiertelny

FOT. PAWEŁ PRZYBYSZEWSKI/FORUM

eprasa.pl 4d36b1cd49

Szkoda mi Wyspiańskiego, na którego arcydzielny dramat zawziął się Wojciech Smarzowski, drugi już swój film tytułując tak samo: „Wesele". O ile tamten pierwszy – z 2004 r. – z trudnościami dało się jakoś strawić, o tyle najnowszy produkt tego reżysera – w żadnym wypadku. Bo jest to nieprawdopodobny gniot, który – wbrew zapowiedziom reżysera – ani nie wstrząśnie polskim widzem, ani go nie poruszy nawet, a jedynie zniesmaczy.

Bronisław Wildstein, pisząc swego czasu o „Klerze" tegoż samego twórcy, postawił pytanie: „Czy każdy, nawet najlepiej zrobiony, ale jednocześnie radykalnie skłamany film można nazwać dobrym?". „Kler" nie był filmem złym, za to na pewno wykorzystanym w złych celach. Czy za to twórca nie odpowiada? Nie żartujmy, za komuny co bardziej asekuranccy (niech będzie, że przewidujący) autorzy publikujący na Zachodzie prosili wydawców, by ci umieszczali w trefnych książkach adnotację, że ukazują się one „bez wiedzy i zgody autora". Wojtek Smarzowski mimo dziecięcego zdrobnienia imienia jest starym chłopem i doskonale wie, co robi. Sęk w tym, że to, co robi, doskonałe nie jest. A „Wesele" (2) od doskonałości tej odległe jest o lata świetlne. Mówiąc wprost, jest to bardzo kiepski film – fałszywy i prostacki.

UCIECZKA Z KINA WOLNOŚĆ

Deklaracje Smarzowskiego to jedno, a to, co wychodzi spod jego reżyserskiej ręki, to coś zupełnie innego. Jego „Róża" miała być filmem o miłości, odtrutką po rzekomej wiwisekcji społecznej dokonanej w „Weselu" i makabrze „Domu złego". Na ekranie znów zobaczyliśmy skomasowane okrucieństwo. Ale jakaż może być miłość w czasach zarazy? – pytaliśmy sami siebie, usprawiedliwiając faceta, który uparł się, że nie tylko w kulturze naszej (Bóg raczy wiedzieć, dlaczego utożsamianej z kinematografią) przejmie rząd dusz po Wajdzie, ale na dodatek zostanie polskim Tarantino.

Chce Smarzowski jednocześnie mieć ciastko i zjeść ciastko. Tłuc kasę na popkulturowej sieczce, przełamując ponoć schematy myślenia, odkłamując mity i bulwersując opinię publiczną. O podszczypywaniu władzy nawet nie ma co wspominać, bo to oczywiste. Z dumą anonsował „Wesele" (2) jako dzieło, które najprawdopodobniej wstrętny Kaczyński pospołu z Glińskim zamknie na cztery spusty, zakazując jego rozpowszechniania, podobnie jak Rosjanie uczynili z „Różą", a Ukraińcy z „Wołyniem". Z utęsknieniem czekam więc teraz na film, którym reżyser obrazi Niemców albo Żydów, bo to dopiero będzie prawdziwy probierz jego nonkonformizmu. To, z czym do tej pory mamy do czynienia, to ledwie igraszki. Swoją drogą, w „Weselu" (2) Żydzi są przedstawieni fatalnie – bo wprawdzie jako ofiary zagłady, ale i głupcy. Jedyna pociecha dla nich to ta, że ze zbydlęconymi Polakami i tak nie wytrzymują porównania.

Tymczasem reżyser jak nakręcony snuje kocopoły o kolejnym swoim filmie o miłości, którym rzekomo jest „Wesele" (2). Naprawdę nie jest o miłości, a o seksie między knurem a człowiekiem, o gwałcie z użyciem świni. Zapatrzył się zapewne Smarzowski w swego sławnego skandalizującego poprzednika – Jerzego Kosińskiego, który w „Malowanym ptaku" ukazał polskiego chłopa zmuszającego swą córkę do stosunku z kozłem.

Z pokazu w Wenecji filmu Václava Marhoula, który zekranizował książkę Kosińskiego (zagrali w nim m.in. Harvey Keitel, Stellan Skarsgård, a i Lech Dyblik), widzowie uciekali tak gremialnie, że się potratowali. Na polskim pokazie dzieła czeskiego reżysera na festiwalu Camerimage nikt nie ucierpiał, ale też rejterada była spora. Nie słyszałem, by podobnie reagowano na pierwsze pokazy „Wesela" (2). A właściwie dlaczego nie? Chociaż jeśli ktoś lubi płacić za to, że go obrażają, to jego sprawa. A film Smarzowskiego, niestety, obraża, i to wcale nie tylko naszą historię, tradycję, dumę narodową, wrażliwość estetyczną, lecz także – zacytuję „Ojca chrzestnego" – inteligencję. A to jest dla człowieka mieniącego się artystą grzech śmiertelny.

BRUDNE CZYNY

Marcin Świetlicki, grający główną rolę w debiutanckim filmie Smarzowskiego „Małżowina" z 1998 r., stwierdził, że kino tego twórcy ma swoje drugie dno, którego nie potrafią odczytać ani filmolog, ani literaturoznawca. „Raczej psychiatra" – orzekł, zauważając, że „jego »Dom zły« to artystowskie kino, ale ja nie potrzebuję takiej tematyki. Ilość przemocy w nim zawarta wydała mi się niepotrzebna. Za dużo brudu, życie nie jest aż tak mroczne. Przeraża mnie zawartość jego filmów".

Kręcąc swoje pierwsze „Wesele", reżyser ściągnął na plan tak różnych ludzi, jak Marek Nowakowski, Lech Janerka, Adam Nowak czy Krzysztof Varga. Poprosił ich, by złożyli od siebie życzenia filmowej młodej parze, do którego to zadania goście podeszli z całą powagą, tworząc przed kamerą istne eseje. Zachwycali się nimi wszyscy, po czym reżyser skrupulatnie wyciął je z filmu. Legenda o tym zdarzeniu świadczy jednak, że kiedyś był Wojciech Smarzowski otwarty na głosy dochodzące ze wszystkich stron, teraz wyraźnie na jedno ucho ogłuchł, powiada zresztą, że przestał spotykać się z ludźmi o prawicowych poglądach: „Dawniej ze sobą rozmawialiśmy. Teraz ani im, ani mnie nie przyjdzie do głowy, żeby tracić swój cenny, lewacki czy prawicowy, czas".

A z całego pijanego „Wesela" najbardziej podobała mi się anegdota opowiadana przez Arkadiusza Jakubika: „Pamiętam, że w tym zacnym gronie, w przerwie między zdjęciami, miała miejsce licytacja dotycząca najbardziej spektakularnej zawodowej odmowy, odrzucenia intratnej propozycji pod tytułem: »Czego to ja w życiu nie odmówiłem«. Zaczął Świetlicki: »Nie wiem, czy wiecie, ale dostałem propozycję, żeby pojechać do Stanów na stypendium, duża kasa, ale odmówiłem, bo nie chce mi się nigdzie jeździć«. Próbował go przebić Tymański: »Ty USA odmówiłeś? A wiesz komu ja odmówiłem? «Idola» odmówiłem! Taka kasa!«. Na co siedząca dotąd cicho Krysia Ulewicz zagadnęła: »A wiecie, panowie, ja też odmówiłam…«. Ktoś w oczywisty sposób spytał: »Czego?«. Puenta była bezlitosna: »Tak jak was słucham, to «Ojcze nasz» odmówiłam«".

Myślę, że osoby bliskie Smarzowskiemu po jego „Weselu" (2) też mogłyby zmówić za niego pacierz, choć on pewnie tego by sobie nie życzył. A cytowana historyjka pochodzi z barwnej, choć wobec bohatera hołdowniczej książki Marcina Rychcika „Kręcone siekierą. 9 seansów Smarzowskiego". Już w chwili jej wydania w tytule wyraźnie brakowało przymiotnika, teraz – po „Weselu" (2) – stał się on nieodzowny. Mowa tu bowiem, istotnie, o filmach kręconych siekierą, ale tępą.

OLŚNIENIE

Diagnoza Smarzowskiego, jakoby polskiemu antysemityzmowi winien był i jest Kościół, zasadniczo rozmija się z prawdą. Jednak reżyser korzysta z każdej okazji, by pokazać księży

eprasa.pl 4d36b1cd49

w złym świetle, zdeprecjonować ich, a w najlepszym razie obśmiać. Gdy antykościelnego motywu zabrakło mu w „Pod Mocnym Aniołem", zrobił po prostu z postaci będącej w powieści Jerzego Pilcha profesorem – księdza właśnie. To charakterystyczna zmiana, bo problem nie tkwi w tym, że w stanie duchownym nie zdarzają się alkoholicy – ta przypadłość dotyka wszystkich, ale że Smarzowski, jak zwykle u niego, przefajnowuje i ta jego odtrutka na „ojców Mateuszów" wywołuje natychmiastowy odruch sprzeciwu. A żeby nie było nieporozumień, reżyser nakręcił niebawem „Kler" i tam już poszedł na całość. Teraz ksiądz słodkim głosikiem stawiający znak równości między czerwoną i tęczową zarazą jest jak najbardziej na swoim miejscu, bo w świecie przedstawionym przez autora „Wesela" (2) kapłan musi być kanalią i już. Co to ma wspólnego z rzeczywistością i dlaczego katolicy we własnym kraju muszą oglądać swój skarykaturyzowany wizerunek jako stado baranów prowadzonych przez – porównanie samo się nasuwa – wilka w owczej skórze?

– Na problem rzekomego polskiego antysemityzmu „oczy otworzyły mi się po Grossie" – wyznał Smarzowski „Gazecie Wyborczej". Słowem, wcześniej tułał się po świecie bez sensu, nie wiedział, kim jest, aż przeczytał „Sąsiadów".

Od tamtej pory zdecydowanie się rozczytał. W wywiadzie dla „Polityki" powiada: „Wyspiański 120 lat temu pisał o tym, dlaczego nie możemy odzyskać wolności, a moje pierwsze »Wesele« mówiło o braku wartości, o tym, że tylko forsa i fasada się liczą. A dzisiaj mówię o tym, że pora odzyskać pamięć". Jemu samemu pomogły ją odzyskać lektury obowiązkowe, które być może wprowadziłby do szkół zamiast postponowanej przez niego Biblii, jako że tę – wedle jego słów – minister Czarnek zastąpić chciałby wszystkie książki do użytku szkolnego. Wymieńmy te tytuły i autorów, na czele oczywiście z „Sąsiadami" Jana Tomasza Grossa. Dalej idą: „My z Jedwabnego" Anny Bikont, „Miasta śmierci: sąsiedzkie pogromy Żydów" Mirosława Tryczyka, dwa tomy „Wokół Jedwabnego", „Dalej jest noc" Barbary Engelking i Jana Grabowskiego oraz „Płuczki. Poszukiwacze żydowskiego złota" Pawła Reszki. „Czytałem z lewej i prawej strony, można powiedzieć" – puentuje Smarzowski. Powiedzieć, rzecz jasna, można wszystko, tylko jakoś tytułów z tej drugiej, powiedzmy, prawej strony nie dostrzegłem w tym zestawie.

NA WSI WESELE

Bartosz Staszczyszyn w Culture.pl konstatuje: „W nowym »Weselu« Smarzowski gra znaczonymi kartami, sięgając po sprawdzone figury i znane motywy". Znów mamy wesele przaśne i bluźniercze. Nawiasem mówiąc, współczesną wieś to reżyser zna chyba jeszcze z pozytywistycznych lektur, od początku do końca pokazując ją tak, żeby nikt nie miał wątpliwości, jak brzydzi go to nasze plebejstwo, jak mu jest obmierzłe. Zresztą reżyser ten tak powiela sam siebie, że wystarcza parę sekwencji i już widz wie, w którą stronę potoczy się opowiadana historia i jak się skończy, bo to nagromadzenie dowodów na polską ksenofobię, chamstwo i zaściankowość, chciał nie chciał, musi doprowadzić do tragedii.

Smarzowski niczym mantrę powtarza starą śpiewkę: „Boję się, że zmierzamy w kierunku narodowego, czyli faszystowskiego państwa kościelnego"

„Smarzowski grubą kreską rysuje filmowe światy, nie zostawiając wątpliwości, co do swych autorskich intencji – pisze dalej Staszczyszyn. – Celowo upodabnia obie opowiadane przez siebie historie, pokazując, że to, co doprowadziło do mordu w Jedwabnem dokonanego przez polskich obywateli na swych żydowskich sąsiadach, nie było jedynie mrocznym wypadkiem, ale konsekwencją hołdowania złym narodowym cechom. W »Weselu« owe paralele rażą uproszczeniami – choćby wtedy, gdy miejscowi księża z ambon usprawiedliwiają przemoc wobec Żydów (kiedyś) i mniejszości seksualnych (dzisiaj), umacniając istniejące w społeczności uprzedzenia i niechęci. Nachalność niektórych z reżyserskich podpowiedzi sprawia, że »Wesele« traci swój dramaturgiczny impet. Podczas gdy w większości filmów Smarzowskiego ideologiczne przesłanie stanowiło dodatek do sprawnie opowiedzianej historii, tym razem proporcje zdają się odwracać".

ZŁO CZAI SIĘ WSZĘDZIE

A Wojciech Smarzowski tokuje w najlepsze, chwali się, że po wykonaniu dokumentacji filmu przestał jeść mięso (ot, wrażliwiec), a następnie, ni to żartując, ni to mówiąc serio, zapowiada: „… być może jeszcze nakręcę »Swaćbę«. Wesele w czasach Mieszka. O tym, że przed chrztem też byliśmy". Na jedyne sensowne pytanie: „Co by miało z tego wynikać?", indagowany wyjaśnia: „Że to nie było tak, że kiedy Mieszko się ochrzcił, to nagle dostaliśmy polskie paszporty. Proces chrystianizacji trwał setki lat, a historię zapisywali ci, którzy potrafili pisać. Księża".

A to dranie z tych klechów! Zamiast grzęznąć z resztą narodu w analfabetyzmie i czekać cierpliwie np. na „Ludową historię Polski" Adama Leszczyńskiego, która nas, ciemnych i maluczkich, pospołu oświeci, pisali to, co im ślina na wredne języki przyniosła. Łacinnicy przebrzydli!

Ale nic to! Masy ludowe powstaną, w szkołach poza opowieściami o polskim antysemityzmie prowadzić się będzie wyłącznie edukację seksualną, a filmy Wojciecha Smarzowskiego posłużą jako pomoce naukowe na lekcjach historii, języka polskiego i przysposobienia do życia w rodzinie. Jasne, że to dowcip. A że słaby? Ten może lepszy?

W wywiadzie udzielonym „Newsweekowi" Smarzowski wieszczy: „Prawdopodobnie na lata stanę się nadwornym Żydem polskiej kinematografii i przejmę od Maćka Stuhra berło po »Pokłosiu«".

I, niczym mantrę, powtarza starą śpiewkę: „Boję się, że zmierzamy w kierunku narodowego, czyli faszystowskiego państwa kościelnego". Zło jest ekspansywne – biadoli dalej twórca „Wesela" (2) i podpiera się Kapuścińskim, który orzekł, że „jeden cham zepsuje imprezę stu kulturalnych ludzi, ale jeden kulturalny człowiek nie naprawi imprezy chamów". No cóż, rzeczywiście wątpię, by filmy Wojciecha Smarzowskiego cokolwiek naprawiły w imprezie zwanej Polską. Nie wydaje mi się jednak, by tym „jednym kulturalnym człowiekiem" miał być sam Smarzowski. Zrobił film o bydlakach dla bydlaków. Świetnie wpasowując się w to towarzystwo.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4d36b1cd49

40. LECIE

STANU WOJENNEGO W POLSCE OPISANE TWÓRCZOŚCIĄ PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO

13.XII.21

MECENASI PROJEKTU

Enea PGNiG KGHM POLSKA MIEDŹ

eprasa.pl 4d36b1cd49

Z Anną Marią Siarkowską, posłanką PiS, przewodniczącą Parlamentarnego Zespołu ds. Sanitaryzmu

rozmawia Ryszard Gromadzki

Wolność jest w nas

FOT. ANDRZEJ HULIMKA/REPORTER

RYSZARD GROMADZKI: Czy Polska zmierza w stronę sanitarnej dyktatury? Jeśli wsłuchać się w niektóre wypowiedzi ministra zdrowia Adama Niedzielskiego i szefa doradzającej rządowi Rady Medycznej ds. COVID-19 prof. Andrzeja Horbana, to można nabrać takiego przekonania. Dlaczego polski rząd nie idzie śladem krajów wracających do normalności w kształcie sprzed pandemii?

ANNA MARIA SIARKOWSKA: Odpowiedź na to pytanie z pozycji posła nie jest łatwa. Trudno bowiem wyjaśnić postępowanie rządu, który tego rodzaju decyzji z posłami w ogóle nie uzgadnia. Tym bardziej że zgodnie z postanowieniami polskiej konstytucji jedynie Sejm jest władny ograniczyć w wyjątkowych sytuacjach prawa i wolności obywateli. Tymczasem prawie od półtora roku mamy do czynienia z sytuacją, w której większość decyzji zapada poza Sejmem, bez żadnych konsultacji z posłami. Poszukując odpowiedzi na zadane przez pana pytanie, należy zauważyć, że w części państw, w których obecnie poluzowuje się reżim sanitarny, wcześniej panowały bardzo silne restrykcje. Ich skutkiem było zaszczepienie pod przymusem sanitarnym znacznej większości obywateli. U nas nadal obowiązuje deklaratywna dobrowolność szczepień i obywatele mogą zgodnie z polskim prawem wciąż decydować o własnym zdrowiu. Może dlatego sytuacja jest u nas nieco inna. Mimo wszystko mam nadzieję, że Polska pozostanie krajem wolnym od segregacji sanitarnej, respektującym podstawowe prawa obywatelskie i zasady państwa demokratycznego.

Mam wrażenie, że gwarantowana przez konstytucję dobrowolność szczepień jest w Polsce coraz bardziej iluzoryczna. Ludzie, którzy powołują się na wolny wybór i odmawiają szczepień, coraz częściej stają się celem nacisków i dyskryminacji zarówno w instytucjach publicznych, jak i w sektorze prywatnym.

Faktycznie mamy do czynienia z dwoma rzeczywistościami. Jedna to rzeczywistość prawna, w ramach której każdemu z nas gwarantowana jest możliwość podejmowania suwerennej decyzji w sprawach dotyczących naszego zdrowia i ciała, w której szczepienia są fakultatywne. Z drugą rzeczywistością spotykamy się w realnym życiu. Widzimy, że zarówno w sferze publicznej, jak i tej związanej z prywatną działalnością gospodarczą, wdrażane są bardzo silne praktyki dyskryminacyjne na tle sanitarnym. Mamy do czynienia z pewnego rodzaju rozdwojeniem jaźni. Obywatelowi coraz trudniej

eprasa.pl 4d36b1cd49

się w tej sytuacji poruszać. Choć prawo stoi po jego stronie, to w praktyce coraz trudniej jest mu wyegzekwować respektowanie gwarantowanych konstytucyjnie praw. Podam przykład z obszaru, którym się zajmuję w swojej pracy parlamentarnej, czyli dotyczącego sił zbrojnych. Wiemy, że zaszczepionych zostało już ponad 80 proc. żołnierzy. Jednocześnie szczepienie na COVID-19 nie figuruje wśród szczepień obowiązkowych wymaganych w polskim wojsku. Tymczasem właściwie we wszystkich jednostkach żołnierze poddawani są bardzo silnej presji poddania się temu szczepieniu. Ci, którzy odmawiają, muszą liczyć się z brakiem zgody na przedłużenie kontraktu, z wyłączeniem z możliwości odbywania ćwiczeń, kursów i szkoleń, z zablokowaniem awansu.

Słyszymy też o eliminowaniu niezaszczepionych żołnierzy z udziału w misjach zagranicznych...

Owszem. Z powyższego wynika, że dyskryminacyjne praktyki stosowane w Wojsku Polskim wobec żołnierzy odmawiających zaszczepienia przeciwko COVID-19 uniemożliwiają im jakikolwiek rozwój zawodowy. Rodzi to kolejny problem w postaci coraz częstszego rozwiązywania stosunku służbowego. Bo choć wielu żołnierzy poddaje się presji i chcąc kontynuować swoją karierę w wojsku, podejmuje pod przymusem decyzję o zaszczepieniu, to są również tacy, którzy po prostu składają wypowiedzenia. I są wśród nich nie tylko szeregowi, lecz także oficerowie wyższej rangi. Trudno mi wprawdzie ocenić skalę tego zjawiska, ale niewątpliwie ono występuje.

Dlaczego PiS, partia odwołująca się do etosu wolności, przyjęła tak opresyjny kurs w sprawie COVID-19? Kiedy słyszy się połajanki przedstawicieli rządu wobec mieszkańców województw wschodnich, których stygmatyzuje się, bo się nie szczepią, to aż ciśnie się na usta pytanie, czy partia rządząca dąży po politycznego samobójstwa? Te regiony, które dziś są celem nagonki, są przecież matecznikiem PiS, ostoją postaw konserwatywnych.

Wiele wskazuje na to, że działania te nie przyniosą wzrostu poparcia partii rządzącej. Uderzają przecież w istotną część elektoratu PiS. Jest to postępowanie tym bardziej niezrozumiałe, że sytuacja międzynarodowa Polski nie jest najlepsza. Mamy trudną relację z Izraelem, nie najlepszą z USA, fatalną z Unią Europejską. Dodatkowo mamy konflikt z Białorusią na wschodniej granicy, z Rosją w tle. Jednocześnie wewnętrzna opozycja współdziała z aktorami państwowymi nieprzychylnymi polskiemu rządowi. W tej sytuacji podejmowanie decyzji o wdrażaniu sanitarnych restrykcji w regionach o tzw. najniższej wyszczepialności, do których należą województwa, w których PiS ma najwyższe poparcie, jest osłabianiem własnego elektoratu i polityczną głupotą.

I na te województwa mają spaść potencjalne restrykcje w postaci różnych form segregacji...

Dokładnie tak. Do tychże restrykcji należą nie tylko te, które ludzie odczują w sposób nagły i bezpośredni, ponieważ będą ograniczały ich prawa i wolności obywatelskie. Będą to również restrykcje pośrednie, których skutki obywatele zauważą z biegiem czasu. Mam tu na myśli takie kuriozalne decyzje, jak ta podjęta przez wojewodę małopolskiego, który uznał poziom tzw. wyszczepialności za dodatkowe kryterium brane pod uwagę podczas rozpatrywania wniosków o dotacje na regionalne inwestycje. Oznacza to, że na rządowe pieniądze nie będą mogły liczyć regiony o najniższym poziomie szczepień.

REKLAMA

eprasa.pl 4d36b1cd49

To dobra wiadomość dla regionów, w których rządzi opozycja.

Tego rodzaju podejście polityczne jest wręcz samobójcze, bo ukierunkowane na niekorzyść własnego elektoratu. To bowiem elektorat wielkomiejski, w którym przewagę ma opozycja, ma najwyższy wskaźnik szczepień.

Gdzie się podziała w Polsce wolność słowa? Głosy odrębne w sprawie przyczyn, przebiegu i następstw epidemii COVID-19 są eliminowane z mediów. TVP i TVN w tej sprawie forsują ten sam przekaz. Symbolem tych totalitarnych zapędów jest casus Jana Pospieszalskiego.

Rzeczywiście, wolność słowa, która zawsze była na ustach wszystkich, zwłaszcza tzw. mediów liberalnych, okazuje się dziś pustym hasłem. Widać to jak na dłoni w kontekście problemów związanych z segregacją sanitarną czy – szerzej – z kryzysem związanym z COVID-19. Wszyscy, którzy w jakikolwiek sposób kwestionują przyjętą strategię zwalczania COVID-19, są usuwani z debaty publicznej z całą bezwzględnością. Wprawdzie przykład zdjęcia z anteny TVP programu Jana Pospieszalskiego „Warto rozmawiać" jest jednym ze sztandarowych, ale aktów brutalnej cenzury w temacie COVID-19 jest znacznie więcej. Widać to bardzo dobrze w mediach społecznościowych. Serwis YouTube ogłosił ostatnio, że będzie eliminował wszelkie treści kwestionujące skuteczność szczepień przeciw COVID-19. To samo dzieje się z Facebookiem, który ogranicza zasięgi lub wprost banuje konta głoszące treści podważające oficjalną narrację w tej sprawie. Jednocześnie, zamiast rozmawiać na argumenty, próbuje się dziś zamykać usta niezależnym lekarzom i ekspertom, podważając ich autorytet i poddając represjom. Celuje w tym niestety Naczelna Izba Lekarska – szykanuje lekarzy, którzy odważyli się podpisać apel do władz publicznych w sprawie dobrowolności szczepień. Najpierw lekarzy przesłuchiwano, w zasadzie bez możliwości obrony, przedstawienia własnych dowodów i świadków, teraz wszczęto wobec nich postępowania o odebranie prawa do wykonywania zawodu. Przypomnijmy – za podpisanie apelu! To niebywały skandal, który w państwie demokratycznym nie powinien mieć miejsca.

I jak tu nie mówić o zakrojonym na skalę globalną projekcie totalitarnym?

Cenzura na pewno jest jedną z praktyk reżimów o charakterze totalitarnym. W takich reżimach ruguje się drugą stronę debaty. Niestety, obserwujemy dziś taki trend i w Polsce, i na świecie. Patrzę na to nie tylko z niepokojem, lecz także ze smutkiem. Urodziłam się w latach 80., pamiętam czasy PRL jak przez mgłę, niemniej miałam nadzieję, że okres zamordyzmu, w którym dominowała jedyna słuszna ideologia, minął bezpowrotnie. Nie przypuszczałam, że przyjdzie mi jeszcze żyć w czasie, w którym podobna rzeczywistość będzie znów budowana jako przyszłość dla mnie i moich dzieci.

Mam wrażenie, obserwując reakcje społeczne podczas koronakryzysu, powszechną konformizację i podatność na manipulację, że gdzieś zatraciliśmy ten podobno cechujący nas, Polaków, instynkt wolności.

Myślę, że wolność jest w naszym narodowym DNA. Jest bardzo głęboko wpisana w naszą tożsamość, w to, kim jesteśmy. Być może jest ona dziś nieco uśpiona, jak pan wskazał, konformizmem, zachłyśnięciem się pewnym dobrobytem, którym cieszymy się od stosunkowo krótkiego czasu. Uważam jednak, że nasz naród, jak pisał Adam Mickiewicz, jest jak lawa, z wierzchu zimna i twarda, sucha i plugawa, lecz wewnętrznego ognia i sto lat nie wyziębi.

Daj Boże. Tylko czy nie zostajemy wzajemnie poszczuci na siebie? Przecież skutkiem tych wszystkich praktyk segregacyjnych będzie totalny podział społeczeństwa. To może wyziębić ten wewnętrzny ogień, o którym pisał Mickiewicz.

Owszem, podział społeczny jest już bardzo silny. Brak możliwości wewnętrznej współpracy różnych społecznych środowisk jest chyba jednym z największych niebezpieczeństw, które pogłębił kryzys towarzyszący COVID-19. Ale wierzę głęboko, że w sytuacji zagrożenia, kiedy wszyscy dostrzeżemy, jak bardzo ono jest realne, kiedy zobaczymy, że „ostatnia prosta" to tylko chwyt marketingowy, bo sytuacja jest, mówiąc oględnie, bardzo rozwojowa, gdy w końcu staniemy oko w oko z tą „nową normalnością"…

… to Polacy powiedzą dobitnie: „Dość?!".

Tak, bo wolność jest w nas. Jestem przekonana, że będziemy jej bronić.

Czyli dość segregacji sanitarnej, dość kolejnych lockdownów, dość masek?

Ludzie chcą normalnego życia i do tego normalnego życia mają prawo. Do zwykłej normalności, a nie jakiejś normalności nowej, która z tą prawdziwą nie ma nic wspólnego. Wierzę, że jako Polacy obudzimy się, że będziemy o tę wolność walczyć. Wszak jesteśmy narodem frontowym. W naszej historii zawsze było tak, że podziały, których mnóstwo było w czasie pokoju, w sytuacji zagrożenia schodziły na drugi plan, a my potrafiliśmy się zjednoczyć i współpracować, jak w zegarku. Wierzę głęboko, że ów mechanizm w sytuacji próby znów zadziała.

Ale w czasie tych dziejowych prób mieliśmy też Kościół, który był ostoją narodu przechowującą nie tylko depozyt wiary, lecz także wolności. Dziś w dużym stopniu polski Kościół uległ już sanitaryzmowi.

Rzeczywiście, obecnie w Kościele instytucjonalnym, zwłaszcza wśród wyższego duchowieństwa, Polacy najczęściej nie odnajdują wsparcia, na które przez całe wieki mogli liczyć. Niestety, wzory złych praktyk sanitarnych idą wprost z Watykanu. I tam wprowadzono segregację sanitarną, zobowiązując wszystkich pracowników do zaszczepienia się na COVID-19. Osoby, które się nie zaszczepią, mają być kierowane na urlop bezpłatny, czyli pozbawione zostają realnej możliwości zarabiania na życie. Dla mnie jest to coś niepojętego, zwłaszcza że dotyczy mojego Kościoła. Ale mimo wszystko patrzę na to z dużym spokojem. Przecież sam Jezus Chrystus nam obiecał, że bramy piekielne Kościoła nie przemogą.

Pani głos w sprawie polityki wobec COVID-19 jest zupełnie odrębny w PiS. Czy w związku z tym poddawana jest pani jakiejś presji?

Nie jestem zupełnie sama, są również inni posłowie, którzy przeciwstawiają się sanitarnej segregacji. Mocnym wsparciem są poseł Janusz Kowalski, poseł Sławomir Zawiślak czy poseł Mariusz Kałużny. Są również inni posłowie, którzy wspierają działania antysegregacyjne, choć nie wszyscy czynią to równie głośno. Co do presji, to w pewnej mierze rzeczywiście ona występuje. Ale w mojej pracy poselskiej nie koncentruję się na tym, co ktoś o mnie mówi, tylko na tym, co jest słuszne i co powinnam robić. Nie koncentruję się na negatywnych uwagach na swój temat, które mogę gdzieś usłyszeć czy przeczytać w prasie, bo to nie ma sensu. Dla mnie źródłem satysfakcji jest to, że mogę być głosem tych, których dziś głosu w debacie publicznej się pozbawia, którzy są dziś dyskryminowani i traktowani jak obywatele drugiej kategorii. To w ich głos staram się wsłuchiwać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4d36b1cd49

ZAPRASZAMY JUŻ W PAŹDZIERNIKU

KONFERENCJA

Ideologia LGBT – prawna ochrona rodziny

WIĘCEJ SZCZEGÓŁÓW WKRÓTCE

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawedliwosci.gov.pl

eprasa.pl 4d36b1cd49

Nowy europejski

Rafał A. Ziemkiewicz

Nagle dowiedzieliśmy się, że nie walczyliśmy o niepodległość, tylko o „bycie w Europie". Co to znaczy?

Aktywność Donalda Tuska i sił, zwłaszcza medialnych, które zdołał po swym powrocie skonsolidować wokół siebie i natchnąć nową energią, ma swój głęboki sens, niezauważany w codziennych przepychankach. Jest wspólny mianownik między propozycją, by decyzje Sejmu w sprawach UE wymagały większości dwóch trzecich głosów, żegnaniem przez Donalda Tuska krzyżem bochenka chleba na partyjnej konwencji i ustawieniem przez lewicowo-liberalne media w centrum warszawskiej manifestacji „Zostajemy w Unii" Wandy Traczyk-Stawskiej. Wszystko to elementy pracy nad nieogłoszonym wprost, ale realizowanym projektem wykreowania w Polsce „tożsamości polsko-europejskiej" w opozycji do tradycyjnego modelu polskości i polskiej polityki, kojarzonego z formacją obecnie rządzącą.

„NOWOCZESNA POLSKOŚĆ"

Zamiar oczywiście nienowy – o budowaniu „nowoczesnej polskości" w duchu „otwartego katolicyzmu", w opozycji do „endeckiej", archaicznej tożsamości patriotyczno-katolickiej, mówiło się wiele na początku lat 90., za czasów Tadeusza Mazowieckiego i Bronisława Geremka. Z czasem elementy „nowoczesnego patriotyzmu" i „nowoczesnego katolicyzmu" zostały w dyskursie lewicowo-liberalnym sprowadzone do roli bibelotów. Wreszcie, po „historycznym", jak się liberalnej lewicy wtedy wydawało, zwycięstwie PO w roku 2007, interpretowanym jako moment, gdy „młodzi, wykształceni, z wielkich miast" definitywnie wzięli górę nad elektoratem tradycjonalistycznym, skazanym na to, by „wymrzeć jak dinozaury", nawet te patriotyczno-katolickie bibeloty przestały być potrzebne. „Gazeta Wyborcza" triumfowała: „Udał nam się Palikot", jej młodzi pracownicy protestowali przeciwko patriotycznym inscenizacjom powstania warszawskiego, grzmiąc: „Nie życzymy sobie strzelaniny na polskich ulicach", a młody filozof z UJ wykładał na jej łamach, że patriotyzm to rodzaj nacjonalizmu i należy go jak najszybciej odłożyć do lamusa historii. Zapanowała moda na urbanowo-palikociarski „panświnizm", lisowy kult „fajności" i wyszydzanie „patridiotyzmu".

Tylko ten, kto pamięta, z jaką zajadłością bronił się zarządzany przez PO warszawski ratusz przed uruchamianiem syren i zatrzymywaniem ruchu ulicznego ku upamiętnieniu Godziny „W" oraz jakimi argumentami wspierały go w tym lewicowo-liberalne media, jest w stanie docenić cały bezmiar obłudy i cynicznej manipulacji w tytule „Powstańcy warszawscy znowu na barykadzie", którym „Wyborcza" podsumowała symboliczne starcie swojej „powstanki" z pikietą Roberta Bąkiewicza.

„Salony" puściły mimo uszu wielokrotnie powtarzane przestrogi Romana Giertycha, że kurs na ogólnikowo przedstawianą „fajność" jest samobójczy, że wchodząc w otwarty konflikt z tradycyjną polską tożsamością, nie można w Polsce utrzymać władzy. Przywódcy obozu antypisowskiego uznali prawdopodobnie, że Giertych używa takiego argumentu, by wyprosić sobie u nich bardziej znaczące miejsce, jakiegoś jakby neo-Paxu pod skrzydłami wystylizowanego na wąsatego katolika Bronisława Komorowskiego, co zresztą zapewne było prawdą. Ale w istocie miał on rację – tyle że zrozumiał to dopiero Tusk.

Ustawienie w centrum kombatantki powstania, zawsze uważanego przez liberalną lewicę za niewarte świętowania, mieści się oczywiście w logice instrumentalnego posługiwania się w propagandzie emocjami i być może, używając jej na demonstracji, nie myślano o głębszych sensach. Osobiście myślę jednak, że tak – postać Traczyk-Stawskiej współgrała bowiem w teatrzyku manifestacji ze sprowadzeniem na nią bardzo już sędziwego Leszka Moczulskiego, jak również z retoryką, która dominowała we wszystkich właściwie wystąpieniach.

BYĆ W EUROPIE

Była to retoryka „bycia w Europie". Powstanie warszawskie, czego wspomniana kombatantka służyła żywym dowodem, było walką toczoną o „bycie w Europie". Walka KPN i innych organizacji opozycyjnych przeciwko reżimowi PRL także była walką „o bycie w Europie". W 1989 r. odzyskaliśmy nie abstrakcyjnie rozumianą niepodległość, ale prawo do „bycia w Europie". Nawet Lech Kaczyński, dotąd w imaginarium obozu liberalnej lewicy osobnik w najlepszym razie głupi i bezwolnie oddany bratu, który zabił siebie i 95 innych osób, na co dowodem ma być mityczna „ostatnia rozmowa braci", stał się rzecznikiem „bycia w Europie" i jako taki, zapewniał Robert Biedroń, też by uczestniczył w manifestacji. Czekałem w napięciu, który z mówców powoła się jako na patrona naszego „bycia w Europie" na Jana Pawła II (do wczoraj „patrona siatki pedofilskiej") albo spoczywającego opodal w archikatedrze błogosławionego kard. Wyszyńskiego, ale albo ja coś przeoczyłem, albo organizatorzy.

eprasa.pl 4d36b1cd49

patriotyzm

FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

Retoryczny chwyt „bycia w Europie" wydaje się równie groteskowy, jak opowieści Tuska o żegnaniu krzyżem chleba, ale pozwala w miarę gładko połączyć sprzeczności opozycyjnej narracji. Nie tylko nadaje pozór konsekwencji działań wczorajszych obrońców konstytucji, dziś domagających się uznania jej za podrzędną wobec arbitralnych decyzji pani de Lapuerty z TSUE, skleja także w jedno postulat podległości władcom Unii Europejskiej, na wybór których Polacy nie mają żadnego wpływu, ze skandowaniem „Tu jest Polska". Prawdziwa Polska to ta, która „jest w Europie", prawdziwy patriotyzm to domaganie się „Polski w Europie", a duch konstytucji, nawet jeśli jej litera zdaje się mówić co innego, nakazuje nam „być w Europie". „Bycie w Europie" okazuje się spełnieniem tysiąca lat polskiej historii, jest ukoronowaniem i celem, któremu służyły wszystkie heroiczne działania przodków.

Coś to Państwu przypomina? Mnie bardzo przypomina narrację propagandy PRL, zwłaszcza z czasów Gomułki, ale i Jaruzelskiego, gdy ten próbował uwieść społeczeństwo, przywracając wojsku rogatywki i szczodrze rozdając zezwolenia na budowę kościołów (w odniesieniu do Macieja Giertycha mu się udało). Pamiętam z czasów dzieciństwa taką grubą książkę „Przez stulecia". Wykładała ona w formie „opowieści z dziejów walki o wyzwolenie narodowe i społeczne" całą narrację „patriotyzmu ludowego". Wszystkie polskie boje, od czasów odpierających niemiecką agresję Mieszka I i Chrobrego, ułożone zostały w niej w logiczny bieg dziejów ku ich ukoronowaniu – Polsce „ludowej", odebranej „panom" i włączonej w bratnie sojusze z innymi państwami „ludowymi", przez co właśnie jej niepodległość w ramach Układu Warszawskiego i RWPG była niepodległością prawdziwą – w przeciwieństwie do chwiejnej, nic nie wartej niepodległości „pańskiej", przedwojennej Polski, która, odmówiwszy oparcia się o bratni ZSRS, musiała rozpaść się pod germańskim naporem jak „domek z kart".

W istocie nowa narracja, broniąca „pozostania w Europie", jest identyczna, tylko „wyzwolenie ludu" gwarantowane przez socjalizm zastąpione zostało w roli wartości nadrzędnej awansem cywilizacyjnym gwarantowanym przez wartości Unii, a zagrożenie niemieckie – zagrożeniem rosyjskim. Starsi towarzysze z SLD mogą się z tą jedną drobną zmianą czuć znowu jak za młodych lat.

NARRACJA SPÓŹNIONA

Pytanie, czy na taką narrację jest tzw. zamówienie społeczne. Myśl, by patriotyzmowi, na który salony, bredząc o „zbieraniu kup po psie", oddały kiedyś nieopatrznie monopol Kaczyńskiemu, spróbować znowu przeciwstawić jakiś rodzaj „patriotyzmu nowoczesnego", zamiast „panświnizmu" czy niejasnej wizji „Polski fajnej", jest rozsądna, tylko o ładnych kilka lat spóźniona. Tym bardziej że salony, pogrążone w skrajnej już histerii, jak możemy to oglądać w ich atakach na obronę polskiej granicy, trudniej teraz zatrzymać w licytowaniu się na pogardę wobec „polskiego ciemnogrodu" niż rozpędzony pociąg.

Niemniej tylko na bazie takiej nowej tożsamości da się uzasadnić linię polityczną „pozostawania w Unii" – a tylko dysponując jej symbolicznym uzasadnieniem, można liczyć na pozyskanie wyborców spoza lewicowo-lieralnego elektoratu, od lat dzielonego i łączonego przez PO, Nowoczesną, Lewicę, Hołownię i inne ugrupowania, ale nie rosnącego.

Ta gra jest ewidentnie skorelowana z działaniami eurokratów, niedwuznacznie uzależniających fundusze dla Polski od zmiany władzy. Z ich strony mamy jakby próbę powtórzenia podboju Włoch, którym udało się kiedyś eurokracji narzucić swego namiestnika w osobie Matteo Renziego. Sytuacja jest jednak trochę inna, brutalna oferta „micha za zrzeczenie się niepodległości" w Polsce może zostać odrzucona, nawet jeżeli Polacy nie zdają sobie jeszcze sprawy, że w nadchodzących latach członkostwo w UE oznacza dla nas biednienie, a nie bogacenie się.

Poza tym strzałem w kolano było symboliczne wykreowanie przez lewicowo-liberalne media (niepoprawne w ciągłym nadeptywaniu na te same grabie) na głównego wroga tej budowanej tożsamości „patriotyzmu unijnego" nie PiS, ale narodowców. Wydawało się to łatwym sposobem „umoczenia" Kaczyńskiego w rzekomym ekstremizmie – w praktyce pomniejszyło rangę demonstrujących „unijczyków". Poważna, rządząca partia próbuje rozwiązać polskie problemy, broni granicy, negocjuje z lekarzami i nauczycielami, wychodzi jej, jak wychodzi, trudno, ale przynajmniej zajmuje się ważnymi sprawami – a tymczasem ludzie Tuska przekrzykują się z pikietą Bąkiewicza. Tak to zobaczył przeciętny Polak, co perspektywie nawrócenia go na patriotyzm „europejski" nie posłużyło dobrze.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4d36b1cd49

Kamila Baranowska

Wielkie żerowanie

Donald Tusk zwołując prounijną demonstrację w Warszawie, chciał pokazać, że po stronie opozycji jedynie on ma tę moc, by z dnia na dzień wyprowadzić tłum na ulice. Czy to krok do połknięcia innych liderów opozycji?

FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

Manifestacja miała służyć głównie wielkiej mobilizacji wyborców opozycji i pokazaniu im, że prawdziwy lider jest tylko jeden i jest nim Donald Tusk. Nowy-stary przewodniczący Platformy Obywatelskiej, odkąd wrócił do Polski, robi wszystko, by jeszcze mocniej nakręcić polaryzację wokół dawnego sporu na osi PiS-Platforma i zmarginalizować pozostałe opozycyjne formacje oraz ich liderów, zwłaszcza polującego na zniechęconych wyborców Platformy Szymona Hołownię.

Zwołanie wielkiej demonstracji przez Tuska chwilę po tym, jak Trybunał Konstytucyjny wydał orzeczenie o wyższości polskiej konstytucji nad unijnym prawem, wydawało się na pierwszy rzut oka dość ryzykowne: mało czasu, hasło rzucone zbyt nagle, godz. 18 w niedzielę to nie jest dobry czas na protest, manifestacje powinny być organizowane oddolnie, a nie przez polityków itd., itp. Wszystko to mogło przełożyć się na niską frekwencję, która byłaby polityczno-wizerunkową porażką. Aby takiej katastrofy uniknąć, sprytnie wybrano miejsce demonstracji – warszawski plac Zamkowy, który z powodu swojej powierzchni (ok. 1 ha) nie pomieści więcej niż 20–25 tys. osób, więc wiadomo było, że nie będzie go aż tak trudno zapełnić. Do tego ma na tyle ograniczoną powierzchnię, że zebrany tłum sprawia wrażenie dużo większego, niż w rzeczywistości jest. I dokładnie o taki obrazek Tuskowi chodziło.

Dlatego w sensie PR-owskim całą tę operację można uznać za względny sukces – przyszli ci, którzy mieli przyjść, ci, którzy zwykle stawiają się na marszach opozycji, i ci, którzy od zawsze popierają Platformę. Wystarczająco, by odtrąbić sukces, zwłaszcza gdy można posiłkować się kilkakrotnie zawyżonymi danymi z warszawskiego ratusza (który podał, że na manifestacji było nawet 80–100 tys. osób, co wiadomo, że jest niemożliwe ze względu na powierzchnię placu), ale jednocześnie zbyt mało, by realnie zaszkodzić PiS czy móc mówić o złapaniu nowego wiatru w żagle przez Platformę.

Dotychczas jedynym tematem, który rzeczywiście obudził uśpionych dotąd wyborców opozycji, było orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji. Na razie kwestia rzekomego polexitu nie budzi takich emocji jak tamta sprawa pewnie dlatego, że większość wyborców traktuje to jako element politycznej gry, a nie realną groźbę. Co nie zmienia faktu, że Tusk będzie tą kartą grał nadal. Potrzebna jest mu głównie na użytek wewnętrzny, ale kalkulacja, że w końcu coś z tego się do PiS przyklei, też nie jest całkiem pozbawiona podstaw.

– Oceniłbym tę demonstrację jako względny sukces Donalda Tuska. Udało mu się skupić na sobie uwagę mediów, choć pewnie nie był zachwycony, że większość z nich skupiła się na liczeniu uczestników. Pamiętajmy jednak, że

eprasa.pl 4d36b1cd49

to nie była inicjatywa oddolna, tak jak kiedyś marsze w obronie wolnych sądów czy w sprawie aborcji. Zawsze trudniej zebrać ludzi na marsz organizowany przez polityka – komentuje dr Sebastian Gajewski z Centrum Daszyńskiego.

POLEXIT UROJONY

Już w 2015 r. sztabowi wyborczemu Andrzeja Dudy podczas kampanii wychodziło z zamawianych badań, że próby przyklejenia PiS przez Platformę łatki eurosceptyków, którzy chcą wyprowadzić Polskę z Unii, są politycznie bardzo niebezpieczne. Dlatego w miarę możliwości skutecznie wyciszano ten temat. Sztabowcy dziwili się nawet, że PO tak łatwo wtedy ten temat odpuściła.

Tusk zapewne wyciągnął lekcje z tamtych wydarzeń i drugi raz tych samych błędów popełniać nie zamierza. Zwłaszcza że sytuacja mu sprzyja, bo za sprawą konfliktów z Brukselą, dodatkowo podkręconych niedawnym orzeczeniem TK, PiS sam mu podaje wygodny temat na tacy.

Z ostatniego sondażu Kantar dla TVN wynika, na pytanie „Czy to dobrze, że Polska jest członkiem Unii?" twierdząco odpowiedziało aż 90 proc. badanych. Na „nie" było zaledwie 6 proc., pozostałe 4 proc. odpowiedziało, że nie wie. Wiadomo, że przy takim poziomie euroentuzjazmu żaden polityk nie odważy się nawet na debatę o wyjściu z Unii, ale nie przeszkodzi to Tuskowi i reszcie opozycji w grzaniu tematu możliwego polexitu. Politycy PiS tak jak do tej pory będą dementować i zaprzeczać, podkreślając, że chcą być w Unii i reformować ją od środka. Czy to, czyja narracja ostatecznie zwycięży, będzie miało wpływ na wynik następnych wyborów? – Temat polexitu nie tyle szkodzi PiS, ile pomaga Platformie w mobilizacji jej wyborców. Tak jak PiS w 2020 r. mobilizował swój żelazny elektorat tematami światopoglądowymi m.in. LGBT, które mocno eksploatowano w kampanii prezydenckiej, tak dzisiaj Tusk stawia na powszechną mobilizację wyborców opozycji za pomocą tematu polexitu – uważa dr Gajewski.

Profesor Rafał Chwedoruk, politolog z UW, wskazuje z kolei, że samym polexitem wyborców PiS nie da się wystraszyć, a twardych wyborców opozycji nieustająco mobilizować nie trzeba, bo ci są już zmobilizowani. – Żeby temat polexitu mógł zadziałać, wyborcy, którzy na ogół nie wierzą wszystkim politykom i wszystkich traktują na dystans, ale jeśli już idą na wybory, to głosują na PiS, musieliby odczuć we własnych kieszeniach, że coś z tym polexitem jest na rzeczy. Musieliby dostrzec związek, że przez politykę rządu żyje im się gorzej – tłumaczy.

Toteż na razie temat polexitu służy Donaldowi Tuskowi głównie do porządkowania sobie sytuacji po stronie opozycji i we własnej partii. Od momentu powrotu do Polski Tusk zrobił to, co miał zrobić. Odbudował pozycję Platformy, pokazał, że wciąż jest najsilniejszą opozycyjną partią, poprawił sondaże i… zorientował się, że dalej nie ma skąd czerpać poparcia. Jedyne, co dziś może Platforma, chcąc wskoczyć wyżej niż 25 proc. w sondażach, to czerpać z elektoratu innych formacji opozycyjnych. I o to dziś idzie gra.

SZKLANY POLITYCZNY SUFIT

– Największe zasoby, by pozostać bytem samodzielnym wobec Platformy, ma dziś Lewica i moim zdaniem nie było przypadkiem, że na manifestacji zorganizowanej przez Tuska jako jeden z pierwszych głos zabrał Leszek Miller – wskazuje prof. Chwedoruk. – Od 2005 r. o wyniku wyborów rozstrzygały w dużej mierze przepływy elektoratu między Platformą a lewicą. W interesie Tuska jest dziś przekonanie wyborców innych partii, że nawet jeśli się z nim nie we wszystkim zgadzają, to powinni na niego głosować, gdyż tylko on daje gwarancję skutecznej walki o bliskie im wartości i odsunięcia PiS od władzy – tłumaczy.

Dodaje też, że to, co w ostatnim czasie robi Donald Tusk, nie jest wcale takie nieprzemyślane, a ci, którzy zarzucają mu powielanie schematów, które się nie sprawdziły, nie biorą pod uwagę nowych okoliczności. – W poprzedniej kadencji wszystko, co robiła opozycja, działo się w sytuacji, gdy PiS miał 40 proc. poparcia i jego zwycięstwa w kolejnych wyborach były praktycznie pewne, cokolwiek by opozycja zrobiła. Pytanie dotyczyło jedynie skali sukcesu PiS i porażki opozycji. Gdyby wybory odbyły się dzisiaj, PiS wygrałby je, ale mielibyśmy sytuację jak w 2015 r., czyli to, czy udałoby mu się samodzielnie rządzić, zależałoby od pewnych zbiegów okoliczności – wskazuje. W 2015 r. tym zbiegiem okoliczności była porażka SLD, który nie dostał się do Sejmu, ale na taką powtórkę PiS raczej liczyć nie może. – W tym sensie można rzec, że Donald Tusk wrócił na gotowe, gdy opozycja ma realną szansę na przejęcie władzy, a PiS niczego nie może być pewien, bo na horyzoncie ma kryzys energetyczny, zmianę polityki USA wobec Europy, nowy rząd w Niemczech i parę innych trudności, z którymi musi się mierzyć – dodaje prof. Chwedoruk.

CZAS ANTY-PIS?

Donald Tusk od momentu powrotu konsekwentnie gra na polaryzację i mobilizację wszystkich wyborców anty-PiS wokół siebie i Platformy, pokazując, że innej alternatywy dla obalenia Kaczyńskiego nie ma i nie będzie. Faktem jest, że ma nieco utrudnione zadanie, bo w przeciwieństwie do innych liderów opozycyjnych partii nie ma możliwości wejścia na mównicę sejmową, by polemizować na żywo z premierem czy prezesem PiS. Dlatego będzie przypominał o sobie innymi sposobami, jak choćby manifestacjami ulicznymi.

Donald Tusk oprócz przyciągania uwagi mediów i próby pozyskiwania dla Platformy wyborców z innych partii opozycyjnych musi uwzględniać w swoich działaniach jeszcze jeden czynnik. Na razie to on jest tym, który przyjechał z Brukseli, by zrobić porządek w Platformie. Jednak im dłużej Tusk będzie stał na czele Platformy i im mniej będzie widoczny „efekt Tuska", tym bardziej będzie musiał się liczyć z krytycznymi głosami ze środka partii. Na razie to Tusk rozlicza innych, ale może przyjść moment, gdy ktoś w partii będzie chciał rozliczyć jego. Tusk jako doświadczony polityk zdaje sobie z tego sprawę, dlatego porządki zaczyna od marginalizacji wszystkich, którzy mogą mu w jakikolwiek sposób zagrozić – chce maksymalnie osłabić wpływy lokalnych baronów, a tych najmniej pewnych wymienić, poszedł też na wojnę z marszałkiem Senatu Tomaszem Grodzkim, próbując wymusić na nim rezygnację ze stanowiska. A co z programem? Jak wytłumaczyć zwrot w prawo i jak pogodzić ukłony w stronę konserwatywnych wyborców z próbą pozyskiwania wyborców bardziej liberalnych światopoglądowo, zwłaszcza młodych? – Polityk może dowolnie używać kakofonii dźwięków, byleby w kampanii wyborczej uderzył w odpowiednie klawisze, bo to może być decydujące – odpowiada prof. Chwedoruk. Dlatego też na razie ani Tusk, ani jego otoczenie specjalnie się programem (czy też jego brakiem) nie przejmują. Dziś bowiem ich priorytety leżą gdzie indziej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4d36b1cd49

Wicepremier Piotr Gliński podczas otwarcia berlińskiego oddziału Instytutu Pileckiego

FOT. RAFAŁ GUZ/PAP

Podejrzany Pilecki

Piotr Semka

Na debacie w Monachium doszło do swoistego kompromisu. Z uwagą i bez ostrzejszych polemik przyjmowano zacietrzewione ataki Jana Grabowskiego na polskie instytucje zajmujące się pamięcią historyczną, a jednocześnie unikano wszelkich wyraźnych obietnic podjęcia bojkotu „państwa PiS". Sam fakt jednak, że takie oskarżenia uczyniono punktem wyjścia do jednej z debat, świadczy o znaczącej zmianie poglądów za Odrą

Historikertag – tak nazywane są zjazdy niemieckich badaczy historii. Ostatnie, 53. posiedzenie tego szacownego grona odbywało się w Monachium pod hasłem „Deutungskämpfe" – „bitwy interpretacyjne". Zjazd otwierał tzw. panel specjalny pt. „Wolność nauki. Punkt ciężkości w przyszłości badań nad Holokaustem". Relację z tego spotkania zamieścił czołowy niemiecki dziennik „Süddeutsche Zeitung". Już tytuł artykułu mówi sporo: „Niebezpieczna nauka". Potem gazetowy lead głosił: „Rząd w Warszawie masowo utrudnia badania nad udziałem Polski w Holokauście. Jak przekłada się to na presję na historyków".

Jak wynika z tekstu, główną gwiazdą tego panelu był historyk Jan Grabowski przedstawiany przez „Süddeutsche Zeitung" jako „syn ocalałych z Holokaustu Żydów oraz laureat nagrody instytutu Yad Vashem za książkę »Judenjagd« oraz wykładowca historii uniwersytetu w Ottawie". Grabowski, jak pisze gazeta, „zrelacjonował skazanie przez warszawski sąd autorów książki »Dalej jest noc«". Jak zaznaczył Nikolas Elsenbruch w swojej relacji, Grabowski przypisał współudział w większości z ponad 200 tys. ofiar żydowskich polskim sprawcom. „Süddeutsche Zeitung" pisze: „Dołącza to do rosnącej liczby dowodów naukowych, które od wczesnych lat 90. tworzą rysę na wizerunku polskiej niewinności". I dalej: „PiS wystąpił przeciwko niemu w 2018 r. poprzez nowelizację ustawy o IPN: każdemu, kto pociąga naród polski do współodpowiedzialności za zbrodnie narodowo-socjalistyczne, groziło do trzech lat więzienia. Kiedy ustawa została odrzucona przez Trybunał Konstytucyjny, wtedy Grabowskiego zobowiązano do przeproszenia publicznie za pół strony obciążającej ówczesnego burmistrza małej miejscowości Malinowo we wschodniej Polsce. Wtedy 80-letnia siostrzenica burmistrza przy współpracy Fundacji Reduta Dobrego Imienia podała Grabowskiego do sądu".

Według historyka symptomatyczne było to, że tym razem zarzut sformułowano jako skargę cywilną, a nie powództwo ze strony państwa. Jak pisze dalej Nikolas Elsenbruch: „W sierpniu polski sąd apelacyjny uchylił wyrok przeciwko Grabowskiemu, powołując się na wolność nauki". Uniewinniony badacz podkreślał jednak w debacie w czasie zjazdów historyków niemieckich, że sytuacja badaczy Holokaustu w Polsce pozostaje trudna. Jak podaje „Süddeutsche Zeitung", Martin Schulze Wessel, były przewodniczący stowarzyszenia historyków w Niemczech, który porównał sytuację historyków w Polsce i na Białorusi, stwierdził: „W Polsce – inaczej niż na Białorusi – mniejszy atak jest skierowany na wolność akademicką. Rząd stara się raczej konkurować z badaniami akademickimi, popularyzując »alternatywne narracje« za pośrednictwem instytucji społecznych".

KŁOPOTLIWY INSTYTUT

Według relacji gazety panel poruszył następny temat – „Jak historycy powinni zachować się wobec Instytutu Pileckiego, który został założony i uposażony przez polski parlament w 2017 r. w celu zbadania historii kraju pod rządami narodowo-socjalistycznymi. Tym razem na czoło w debacie wysunęła się Stefanie Schüler-Springorum, szefowa Ośrodka Badań nad Antysemityzmem na Politech-

eprasa.pl 4d36b1cd49

nice Berlińskiej. Pani Schüler-Springorum wskazała na dylemat określony jako „zmiana negatywnych tendencji w polskich działaniach". Jak relacjonuje gazeta: „Grabowski, którego książkę »Dalej jest noc« skrytykował szef Instytutu Pileckiego w Berlinie – oskarżył na Twitterze związane z rządem instytucje badawcze w Polsce o mowę nienawiści w stosunku do swojej osoby i stanowczo opowiedział się przeciwko współpracy z Instytutem Pileckiego". Pani Schüler-Springorum zaznaczyła: „Chciałabym pozostać otwarta na dialog, ale z zastrzeżeniem, że może on skończyć się niezgodą na stanowisko polskich partnerów". Szefowa ośrodka badania nad antysemityzmem przypomniała, że żaden kraj nie ucierpiał bardziej od Polski, i przyznała, że w Niemczech pamięć o stłumieniu powstania warszawskiego została przyćmiona przez pamięć o zagładzie. Przypomniała też, że w Polsce było najwięcej Sprawiedliwych wśród Narodów Świata, choć za pomoc Żydom groziła kara śmierci. Natychmiast jednak Schüler-Springorum zaznaczyła: „Nie chcę, aby było to odbierane jako usprawiedliwienie dla działań PiS". I dodała: „Silne podkreślanie i polityczna eksploatacja tych aspektów w Polsce nie powinno nam przeszkadzać w mówieniu o nich w Niemczech".

W odpowiedzi Jan Grabowski nawiązał do wypowiedzi historyka Andreasa Wirschinga zamieszczonej w 75. rocznicę zakończenia wojny w tygodniku „Der Spiegel": „Sami Niemcy ponoszą odpowiedzialność za drugą wojnę światową i Holokaust. Ustawianie innych narodów w roli sprawców dodaje niesprawiedliwości ofiarom". Jan Grabowski zaznaczył, że nie wątpi w dobre intencje autora „Spiegla", ale poskarżył się, że takie uogólnione wypowiedzi grają na korzyść polskiego rządu. Na koniec Schüler-Springorum podsumowując dyskusję, czy współpracować z polskimi instytutami (w domyśle tymi, które kontroluje PiS), przyznała, że „nie ma tu magicznej formuły". Dość tajemnicze sformułowanie.

Dyskusja na niemieckim Historikertagu pokazuje skalę zmian w debacie nad współpracą niemieckich i polskich historyków. Nieprzypadkowo cała debata zmierzała do dwóch tez: urzędowego represjonowania badań nad Holokaustem w Polsce i sugestii bojkotu wobec tych instytucji, które uznane zostały za prorządowe. Oczywiście Jan Grabowski wystąpił w roli awangardy i przedstawił wniosek o zerwanie takiej współpracy. Grabowski postawił sprawę na ostrzu noża i zapewne sprawiło to, że niemieccy historycy uczestniczący w debacie znaleźli się w dość delikatnym położeniu. Trudno im było zdecydowanie odrzucić żądanie Grabowskiego, gdyż w naturalny sposób badacz Holokaustu i potomek jego ofiar traktowany jest w RFN w niezwykle taktowny sposób. Jednakże też sami badacze niemieccy uznają już za coś oczywistego, że państwo polskie zwalcza badania nad zagładą i że instytucje można dzielić na naukowe i propagandowe, jak np. Instytut Pileckiego.

HISTORIA JEDNEGO SUKCESU

Działalność krytyka filii Instytutu Pileckiego w Berlinie jest niestety bardzo znamienna. Na otwarcie półtora roku temu filii polski minister kultury Piotr Gliński zaprosił swoją koleżankę, pełnomocnika urzędu kanclerskiego ds. kultury Monikę Grütters, która jednak się nie pojawiła. Instytut został usytuowany w bardzo prestiżowym miejscu, bo na Pariser Platz tuż przed Bramą Brandenburską. Stała wystawa znajdująca się na parterze Instytutu w bardzo spokojny sposób opowiada o prześladowaniach, których zaznała Polska w czasie niemieckiej i sowieckiej okupacji. Instytut prowadzi też niezwykle cenną działalność polegającą na kopiowaniu i przesyłaniu do Polski wielu dokumentów z archiwów dawnej III Rzeszy. Oprócz tego zajmuje się też popularyzacją postaci rtm. Witolda Pileckiego oraz informuje Niemców o skali polskiej pomocy dla Żydów.

Także w kwestii Jana Grabowskiego Instytut odnosił się krytycznie jedynie do informacji podanej bez żadnej podbudowy badawczej o 200 tys. Żydów, którzy zginęli z rąk Polaków. Ten jeden, zresztą mało demonstracyjnie przedstawiany pogląd, że Grabowski wziął tę liczbę z powietrza, okazał się czymś, co skłoniło niemiecki zjazd historyków do zorganizowania jednej sesji na temat rzekomego zwalczania badań Holokaustu w Polsce i postawienia pytania o sens współpracy z Instytutem Pileckiego. Wiąże się to zresztą z inną obserwacją, którą formułują polscy badacze obserwujący sytuację w Niemczech. Jeden z nich, proszący o anonimowość mówi: „Jan Grabowski i Jan Tomasz Gross doszli do wniosku, że wszystko, co mogli zdobyć za oceanem, już zdobyli. Teraz są coraz częstszymi gośćmi w Berlinie". Tu pozytywnie przyjmuje się ich opinie, gdyż wzmacniają teorie o Polakach jako „Komplizen" – współtwórcach Holokaustu.

Instytut Pileckiego jest placówką prowadzoną nowocześnie i niełatwą do zdyskredytowania. A jednak na naszych oczach w kręgu niemieckich historyków pojawiła się teza: skoro Instytut zakwestionował twierdzenia Grabowskiego, to zdyskredytował się sam, gdyż Grabowski uważa go za współwinnego za falę twitterowej niechęci wobec siebie. Polska placówka w Berlinie nie ma żadnego wpływu na ewentualne agresywne tweety przeciw Grabowskiemu. Ale uderzenie w Instytut bardzo odpowiada historykowi z Ottawy do tworzenia tezy o walce rządu PiS z badaczami wojennych losów Żydów. W podobny sposób w prasie niemieckiej przedstawiano już spory wokół obsady szefostwa Muzeum Żydów Polskich.

Z kolei niemieckie instytucje badające losy Żydów nie mogą też wprost przyjąć wezwań Grabowskiego do zerwania współpracy z instytucjami polskimi. Po prostu zbyt wiele dokumentów do badania tragedii Żydów w czasie wojny znajduje się czy to w gestii IPN, czy polskich archiwów państwowych.

Na debacie w Monachium doszło więc do swoistego kompromisu. Z uwagą i bez ostrzejszych polemik przyjmowano zacietrzewione ataki Jana Grabowskiego na polskie instytucje zajmujące się pamięcią historyczną, a jednocześnie unikano wszelkich wyraźnych obietnic podjęcia bojkotu „państwa PiS". Sam fakt jednak, że takie oskarżenia uczyniono punktem wyjścia do jednej z debat, świadczy o znaczącej zmianie poglądów za Odrą. Wpisuje się to w złą tradycję, którą zapoczątkował film „Nasze matki, nasi ojcowie", którego twórca, niemiecka telewizja ZDF, do dziś prowadzi spór prawny w kwestii adekwatności przeprosin za zawarte w nim antypolskie stereotypy.

W Polsce bardzo często krytykowano Ministerstwo Kultury za brak skutecznej polityki, która przypominałaby światu o ofiarach Polaków. Gdy w Berlinie zaczęła działać nowoczesna placówka informująca o skali polskich cierpień, pojawiły się wezwania do bojkotu. Jeśli takie żądania padają w trakcie zjazdu niemieckich historyków, to można się tylko zastanawiać, ilu badaczy zza Odry uzna, że należy trzymać się od tej instytucji jak najdalej. I to najsmutniejszy wniosek z incydentu w Monachium.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4d36b1cd49

Na kłopoty Magierowski

Maciej Pieczyński

Obecny ambasador Polski w Izraelu niebawem obejmie placówkę w Waszyngtonie. Jakim dyplomatą jest Marek Magierowski?

Pod koniec września dostał formalną zgodę strony amerykańskiej na objęcie funkcji ambasadora RP w Waszyngtonie. Kolejnym krokiem było przesłuchanie przed sejmową Komisją Spraw Zagranicznych. Magierowski, przemawiając przed posłami, podkreślał wagę sojuszu z USA. Jednocześnie wskazywał, że wyzwaniami będą m.in. problem Nord Stream 2 czy dialog ze środowiskami żydowskimi. Komisja zaaprobowała kandydaturę Magierowskiego. Wniosek w tej sprawie trafił do prezydenta. Najprawdopodobniej jeszcze w tym roku zostanie on szefem placówki w Waszyngtonie.

Wrzesień 2018 r. Zbigniew Preisner został uhonorowany nagrodą za całokształt twórczości przez organizatorów Międzynarodowego Festiwalu Filmowego w Hajfie. Za to wielkie wyróżnienie otrzymał niebanalny list gratulacyjny od ambasadora Polski w Izraelu Marka Magierowskiego. Dyplomata zaczął swoje pismo od pochwał pod adresem artysty, nazywając go jednym z „najwybitniejszych współczesnych kompozytorów filmowych". „Z tym większą satysfakcją zgodziłem się wygłosić – na prośbę organizatorów festiwalu – krótką laudację na Pana cześć podczas oficjalnej ceremonii wręczenia nagrody. Zaś Instytut Polski w Tel Awiwie postanowił sfinansować koncert na Pana cześć" – napisał dalej Magierowski. W tym momencie nastąpił zwrot akcji. Magierowski zacytował menedżerkę Preisnera, która wyraziła zaskoczenie, że „Instytut ma jakieś powiązania z koncertem", a także oznajmiła, iż „tak długo, jak rządzi obecna partia, pan Preisner nie spotyka się z przedstawicielami obecnej władzy". Dalej ambasador wyraził ubolewanie, że polityka „znów wzięła górę nad wspólnym dobrem". „Niezmiennie uważam, iż niezależnie od osobistych sympatii, wyznawanej ideologii czy partyjnego zaangażowania każdy znamienity polski artysta zasługuje na wsparcie Państwa Polskiego, w ramach promocji naszej kultury za granicą […]. Szanując jednak Pana polityczne wybory, postanowiłem zrezygnować ze swojego wystąpienia […]. Nie chciałbym, aby czuł Pan jakikolwiek dyskomfort, słuchając słów przedstawiciela Rzeczypospolitej. By owego dyskomfortu jeszcze bardziej nie pogłębiać, Instytut Polski w Tel Awiwie wycofał się również z finansowania wspomnianego koncertu" – napisał ambasador, życząc na koniec Preisnerowi dalszych sukcesów.

SPRAWNY NA TRUDNYM TERENIE

Forma listu jest w pewnym sensie kwintesencją stylu dyplomacji Magierowskiego. Z jednej strony wysoka kultura osobista, z drugiej – asertywność. Bez obrażania się, pseudopatriotycznej czy pseudogodnościowej tromtadracji. Ale też bez naznaczonej kompleksami uniżoności.

– Gdybym miał nakreślić wzorzec dyplomaty, który nie tylko rzetelnie wypełnia swoje obowiązki, zarządzając placówką czy organizując kurtuazyjne spotkania z przedstawicielami państwa przyjmującego, lecz także prezentuje wobec tychże przedstawicieli zarówno asertywną postawę, jak i wysoki stopień kultury osobistej, to w taki wzorzec idealnie wpisywałby się pan ambasador Magierowski – mówi „Do Rzeczy" wiceminister spraw zagranicznych Szymon Szynkowski vel Sęk. – Te jego cechy były widoczne w czasie, gdy kierował ambasadą w Izraelu. Potrafił skutecznie definiować wspólne interesy Warszawy i Tel Awiwu, co nie jest przecież takie oczywiste. Po nieporozumieniach związanych z nowelizacją ustawy o IPN udało się doprowadzić do ogłoszenia wspólnej deklaracji premierów Morawieckiego i Netanjahu. Magierowski bardzo sprawnie poradził sobie na trudnym terenie. Świetnie więc nadaje się, by reprezentować Polskę w najtrudniejszych i najważniejszych miejscach na świecie. Dlatego też zasłużył na to, by objąć placówkę w Waszyngtonie – dodaje wiceszef MSZ.

Magierowski jest dyplomatą zaledwie od czterech lat. Z wykształcenia jest iberystą. Niemal przez trzy dekady pracował jako dziennikarz. Zaczynał w latach 90. w „Najwyższym Czasie" i „Gazecie Poznańskiej". Potem była „Gazeta Wyborcza". Kierował działem zagranicznym, następnie biznesowym w „Newsweeku". Był zastępcą redaktora naczelnego tygodnika „Forum". Później przez kilka lat pełnił tę funkcję w „Rzeczpospolitej", skąd odszedł do tygodnika „Uważam Rze". Z tym tytułem – wraz z grupą dziennikarzy i publicystów – pożegnał się w 2012 r. po tym, jak wydawca zwolnił Pawła Lisickiego ze stanowiska redaktora naczelnego. Był jednym ze współzałożycieli tygodnika „Do Rzeczy", na którego łamach publikował w latach 2013–2015. Współprowadził program „Ekonomia raport" na antenie telewizji Republika. W 2013 r. ukazała się jego książka pt. „Zmęczona. Rzecz o kryzysie Europy Zachodniej".

eprasa.pl 4d36b1cd49

FOT. KRYSTIAN MAJ/FORUM

We wrześniu 2015 r. odszedł z tygodnika „Do Rzeczy". Rozstał się z dziennikarstwem na rzecz polityki – najpierw wewnętrznej, następnie zagranicznej. Pracę w Kancelarii Prezydenta zaczął jako ekspert ds. dyplomacji publicznej. W grudniu został dyrektorem biura prasowego. Rzecznikiem prezydenta Andrzeja Dudy (nie lubił tego określenia – wolał się tytułować dyrektorem) był przez półtora roku. – Miał możliwość spoglądania na politykę międzynarodową z perspektywy głowy państwa. To bardzo ważne doświadczenie, które trudno zdobyć w trakcie codziennej pracy dyplomaty na placówce – komentuje w rozmowie z „Do Rzeczy" poseł PiS Arkadiusz Mularczyk, członek sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych.

W maju 2017 r. ostatecznie przeszedł do dyplomacji. Najpierw jako podsekretarz stanu w MSZ. Rok później został mianowany na stanowisko ambasadora RP w Izraelu. Zdaniem Szymona Szynkowskiego vel Sęka zaletą Magierowskiego jest wieloletnie doświadczenie pracy w mediach. – Jego dziennikarskie umiejętności zaprocentowały. Bardzo wiele publikował na łamach izraelskiej prasy, udzielał też wywiadów. Docierał w ten sposób nie tylko do polityków, lecz także do opinii publicznej, co wcale nie jest łatwe w przypadku szefa placówki dyplomatycznej w kraju, z którym łączą nas trudne relacje – komentuje wiceminister spraw zagranicznych.

Magierowski jest poliglotą. Zna płynnie angielski, francuski, niemiecki, hiszpański, włoski, portugalski, kataloński, a także hebrajski. Tego ostatniego języka nauczył się w krótkim czasie, gdy objął ambasadę w Tel Awiwie. – Znajomością hebrajskiego mocno zaimponował Izraelczykom. To trudny język – przyznaje Jarosław Papis, prezes Fundacji Hatikva, promującej dialog polsko-żydowski. – Magierowski jest człowiekiem otwartym. Spotykał się z młodzieżą, opowiadał o historii naszych narodów. Był bardzo dobrze przyjmowany. A trzeba przyznać, że łatwo nie było, gdyż pełnił funkcję w czasie ostrego kryzysu we wzajemnych relacjach, wywołanego nowelizacją ustawy o IPN. Łagodził napięcia na tyle, na ile to było możliwe – dodaje.

Papis nie jest jednak wobec Magierowskiego bezkrytyczny. W listopadzie 2019 r. za sprawą Fundacji Hatikva izraelscy widzowie mogli obejrzeć spektakl „Irena Sendlerowa. Sprawiedliwa". Jedno z przedstawień odbyło się w Knesecie. Przy obecności 400 widzów, w tym ocalałych z Holokaustu. – Ambasador Magierowski nie pojawił się na premierze, choć wcześniej entuzjastycznie odnosił się do samego pomysłu. Wysłał jedynie swojego przedstawiciela, który nawet nie został do końca. To było przykre – mówi Jarosław Papis.

Przyczyn szuka w cechach osobistych Magierowskiego. – Elżbieta Ficowska [działaczka społeczna, uratowana z Holokaustu przez Irenę Sendlerową – przyp. red.] stwierdziła, że ego pana ambasadora jest większe niż Pałac Kultury. Pałac Kultury zaś stoi tylko po to, aby pan ambasador mógł nań z góry popatrzeć. To złośliwa uwaga, ale jest w niej trochę prawdy – mówi „Do Rzeczy" Jarosław Papis. Organizacja przedstawienia o Irenie Sendlerowej w murach Knesetu trzymana była do ostatniej chwili w ścisłej tajemnicy. W obawie, że jeśli informacja na ten temat dojdzie do nastawionych antypolsko parlamentarzystów, to zrobią oni wszystko, aby spektakl odwołać i storpedować ważny dla Polski projekt. Magierowski był zaproszony, ale nie był wtajemniczony w samą organizację. I dlatego, według Papisa, się obraził. – Niezależnie od jego intencji w ambasadzie wciąż pracuje wielu przeciwników obecnego rządu, którzy mogliby nam przeszkodzić. Musiałem dać słowo przewodniczącemu Knesetu, że nie poinformuję nikogo poza ścisłym gronem – tłumaczy Papis.

Nie sposób się z tym zgodzić. Wydaje się rzeczą oczywistą, że ambasador powinien być wtajemniczony w organizację tak istotnego dla jego kraju przedsięwzięcia. Trudno się dziwić chłodnej reakcji Magierowskiego.

Generalnie jednak prezes Fundacji Hatikva ocenia pracę Magierowskiego bardzo dobrze. – Miał trudne zadanie, ale wiedział i czuł, co należy robić, aby poprawiać wizerunek Polski w Izraelu – mówi Papis. – Wpadliśmy niezależnie od siebie na ten sam pomysł. Mianowicie: aby organizować dla młodzieży izraelskiej wycieczki do Polski, które zaczynałyby się od Berlina. Aby pokazać, kto naprawdę odpowiadał za Holokaust. Magierowski był pierwszym polskim ambasadorem tak dobrze odbieranym przez wiele środowisk w Izraelu – przekonuje.

CZŁOWIEK DIALOGU

Misja Magierowskiego w Izraelu kończy się w niezbyt przyjemnych okolicznościach. W sierpniu, w odwecie za ustawę reprywatyzacyjną, znany z antypolskiego nastawienia szef izraelskiego MSZ Ja'ir Lapid polecił chargé d'affaires ambasady w Warszawie wrócić do Izraela, a także aby nowy ambasador Izraela w Polsce, który miał wyjechać do Warszawy, pozostał w Izraelu. Lapid zasugerował też, aby Magierowski przedłużył sobie wakacje i nie wracał do kraju urzędowania. Warszawa tej sugestii nie zaaprobowała. Teraz ambasadora czekają nowe wyzwania. – Sam fakt, że został bez problemu zaakceptowany przez komisję sejmową, pokazuje, że jest to świetny kandydat na tak trudną placówkę. Marek Magierowski to człowiek umiaru, dialogu, opanowany. Znaleźć takiego dyplomatę w spolaryzowanej politycznie Polsce jest pewną sztuką – mówi „Do Rzeczy" Artur Wróblewski, amerykanista i politolog z Uczelni Łazarskiego.

– Nasze relacje ze Stanami Zjednoczonymi wbrew pozorom są dość poukładane. To już nie są lata 90., kiedy musieliśmy w Waszyngtonie zabiegać o sojusz, o akceptację naszych aspiracji euroatlantyckich. Amerykanie widzą w nas sojusznika. Zacieśniamy współpracę w dziedzinie bezpieczeństwa. Oczywiście są kontrowersje wynikające z ustawy 447 czy z różnic światopoglądowych pomiędzy PiS a ludźmi Bidena. Jednak Magierowski, mając doświadczenie z Tel Awiwu i zdolność prowadzenia dialogu, powinien sprawnie łagodzić spory. Umie mówić tak, by Amerykanie chcieli go przynajmniej wysłuchać – dodaje.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4d36b1cd49

FOT. ADOBE STOCK

Mandaty w górę. Ale o ile?

Łukasz Zboralski

Po 26 latach w Polsce podniesione zostaną mandaty za wykroczenia drogowe. Na jakie ostatecznie stawki zgodzą się posłowie, którzy właśnie zaczynają pracę nad tym projektem?

Maksymalnie 500 zł – tyle mogła policja zaproponować za najcięższe wykroczenia na drodze w połowie lat 90. I wówczas najwyższy mandat, za najgroźniejsze przewinienia, stanowił połowę średniej płacy w kraju (1061,93 zł w 1997 r.). Przez ponad ćwierć wieku wszystko się zmieniało, płace także. Dziś średnia płaca nad Wisłą to 5167,47 zł. Najwyższa grzywna na drodze stanowi więc już zaledwie jedną dziesiątą przeciętnego wynagrodzenia.

Wszyscy od lat wiedzieli, że to trzeba zmienić. Wielki boom budowlany – autostrad, ekspresówek i obwodnic miast – wyniósł nas na inny poziom bezpieczeństwa drogowego. Jednak w zachowaniu samych kierowców nie nastąpił przełom. Bo na zachowania za kierownicą, z czego zdają sobie sprawę wszyscy w Europie i na świecie, oprócz infrastruktury wpływa też nadzór. A nadzór bez adekwatnych kar to fikcja.

Tyle że każdy rząd do tej pory jak ognia unikał tego tematu. Władze uznawały temat za niewygodny politycznie i zamykały oczy nawet na własne badania w tym zakresie – a te pokazywały, że społeczeństwo popiera podwyżki kar dla tych, którzy zagrażają innym na drodze. Ba, nawet obecny minister infrastruktury od dawna miał w swojej szufladzie wyniki takich sondaży społecznych, ale też tematu nie dotykał. Dopiero mocny zwrot premiera Mateusza Morawieckiego i wpisanie spraw poprawy bezpieczeństwa na drogach do jednych z priorytetowych zadań rządu spowodował, że zmieniło się prawo w sprawie pieszych (i po kwartale widać już 30-procentowy spadek zabitych na przejściach dla pieszych) oraz nagle odblokowała się sprawa urealnienia kar drogowych.

ZA CO WIĘCEJ?

Nie ma co ukrywać – rząd w nowelizacji prawa zaproponował dość wysokie kwoty. Warto też jednak zwrócić uwagę, że nie za wszystkie wykroczenia. Dokładnie widać więc, że wyższe kary dla kierowców mają przystopować ich mocniej w kilku wybranych sytuacjach – tych, które stanowią esencję problemów na drogach.

Po pierwsze, po zmianie prawa dotyczącego ustępowania pieszym rząd chce mieć dodatkowy bodziec na okiełznanie kierowców, którzy wciąż zagrażają tym niechronionym uczestnikom ruchu drogowego. Dlatego właśnie za zachowania zagrażające zdrowiu i życiu pieszych (wyprzedzanie na przejściach, omijanie pojazdów ustępujących pieszym) grozić ma od razu minimum 1,5 tys. zł mandatu od policji.

Tak samo wysoka kara ma grozić w innej sprawie – przy znacznych przekroczeniach prędkości. 1,5 tys. zł to ma być minimalny mandat za przekroczenie dopuszczalnej prędkości o 30 km/h i to bez względu, czy nastąpiło to w obszarze zabudowanym czy poza nim. Czy ma to sens? Owszem, jeśli uświadomimy sobie, że nadmierna prędkość jest wciąż drugą najczęstszą przyczyną wypadków w Polsce (pierwszą jest niezachowanie pierwszeństwa – a więc m.in. zachowania wobec pieszych na przejściach oraz między kierowcami na skrzyżowaniach).

Trzecie uderzenie mandatowe wymierzone jest w tych, którzy ignorują znak STOP, sygnalizator, a nawet rogatki na przejazdach. Za to ma grozić minimum 2 tys. zł. Tu też trudno nie zgodzić się, że jakaś interwencja jest potrzebna. Jak ujawnili niedawno przedstawiciele PKP PLK, dramatycznie wzrasta liczba takich incydentów na przejazdach kolejowo-drogowych. Tylko do sierpnia tego roku kolejarze odnotowali 400 takich zdarzeń spowodowanych przez kierowców. W 2019 r. przez cały rok było ich o połowę mniej.

Ciekawą propozycją rządową jest też większe karanie recydywistów. Ktoś może raz zachować się źle. Jeśli to jednak ponawia w ciągu dwóch lat od ukarania – np. wobec pieszych czy przekraczając

eprasa.pl 4d36b1cd49

znacznie prędkość – zapłaci minimalnie 3 tys. zł mandatu.

Do tego rząd dołoży działania „miękkie" i powiąże stawki OC z wykroczeniami. Ryzyko stwarzane na drodze, niejako udowodnione mandatami od policji, będzie brane do szacowania stawek przez ubezpieczalnie.

– W 2010 r. byliśmy czwartym krajem od końca w UE pod względem bezpieczeństwa ruchu drogowego i po ponad 10 latach nadal jesteśmy w tej końcówce. Zmian tej sytuacji żądają od nas kierowcy, pasażerowie, rowerzyści. Wszyscy, którzy na co dzień korzystają z polskiej infrastruktury drogowej, chcą, żeby było bezpieczniej – mówił podczas pierwszego czytania nowelizacji w Sejmie wiceminister infrastruktury Rafał Weber. – Chcemy to osiągnąć inwestycjami drogowymi, edukacją i wzmacnianiem świadomości ludzi. I zmianami w przepisach prawa. Te zmiany mają zlikwidować dwie patologie na polskich drogach: piractwo, czyli bandyctwo drogowe, i pijaństwo za kierownicą.

ILE ZOSTANIE?

O ile założenia projektu są słuszne, o tyle stawki zaproponowane przez rząd już nie wszystkim wydają się właściwe. Zwłaszcza grzywny maksymalne – czyli 5, a nawet 8 tys. zł (w szczególnym przypadku) jako grzywna nakładana przez policję oraz 30 tys. zł jako maksymalna grzywna nakładana przez sąd (do tej pory jest to 5 tys. zł).

Część karnistów, w tym także np. RPO oraz niektórzy posłowie, zwracała już uwagę w Sejmie, że maksymalnie 30 tys. zł w sądzie za wykroczenie przebije wysokość kar nakładanych za przestępstwa. Taką sytuację uważają więc za kuriozalną. Posłowie Lewicy, którzy generalnie projekt wspierają, zaczęli się obawiać, że będzie to np. wytrych do surowego karania demonstracji przeciw władzy – jako wykroczenie „tamowania ruchu".

Wszystko wskazuje na to, że przy rozsądnym rozpatrywaniu projektu w Sejmie maksymalne stawki mandatów zaproponowane przez rząd powinny ulec modyfikacji. To jednak, że kary pójdą w górę, jest raczej przesądzone.

W tygodniu, gdy ukazuje się ten numer „Do Rzeczy", pracę nad projektem rozpocznie powołana w Sejmie specjalna podkomisja. Jej członkowie wydają się zdeterminowani do wprowadzenia zmian.

– Jako szef tej komisji postaram się procedować ten projekt tak, by nie był odbierany jako represyjny, tylko służący maksymalnemu ograniczeniu osobistych tragedii ludzi, którzy tracą bliskich w wypadkach, oraz ograniczeniu społecznych skutków tych wypadków, które są niebagatelne, a które wszyscy ponosimy – mówi Jerzy Polaczek (PiS), poseł wybrany w ubiegłym tygodniu na przewodniczącego podkomisji ds. rządowej nowelizacji. – To wszystko jest już dość wnikliwie przeanalizowane. W innych krajach europejskich, także u naszych bliskich sąsiadów, dolegliwość, egzekwowalność i skuteczność mandatów drogowych jest dobra, więc budzi respekt i sprzyja bezpieczeństwu ruchu drogowego – tłumaczy.

Najważniejszej kwestii jednak wciąż w projekcie nie ma – czyli uzależnienia wysokości stawek mandatów na stałe od procentu średniej pensji w Polsce. Wówczas wyzbylibyśmy się problemów z waloryzowaniem kar i nie czekalibyśmy na polityczną odwagę kolejne ćwierć wieku.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

eprasa.pl 4d36b1cd49

Jak zostać razem?

FOT. ADOBE STOCK

Agnieszka Niewińska

Tylko przez pierwszych sześć miesięcy tego roku rozwiodło się 32 tys. małżeństw. – Nie rozmawiamy ze sobą – mówią eksperci. I dodają, że życia we dwoje trzeba się nauczyć

Dane GUS z pierwszej połowy 2021 r. wielu zaniepokoiły. Przez pierwsze sześć miesięcy tego roku na ślub zdecydowało się 58 tys. par. W tym czasie rozpadło się aż 32 tys. małżeństw – więcej niż połowa tych nowo zawartych. A i tak półroczne statystyki przedstawiają się lepiej niż te z pierwszego kwartału 2021 r., w którym było więcej rozwodów niż małżeństw. Małżeństwo zakończyło 16 tys. par. Na ślub zdecydowało się zaledwie 13,3 tys. par.

– Eksperci spodziewali się nasilenia się rozpadu małżeństw w tym roku – mówi dr Sabina Zalewska, psycholog rodziny z Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie. – W czasie ubiegłorocznego lockdownu ze względu m.in. na ograniczenie działalności sądów odraczano sprawy rozwodowe, pary wstrzymywały się także ze składaniem nowych wniosków. W okresie, w którym przebywaliśmy głównie w domach, problemy małżeńskie się nasiliły. Pary nie miały przestrzeni, by odreagować złe emocje, one pozostały w przestrzeni domowej.

CODZIENNOŚĆ BEZ ROZMOWY

Komentatorzy w odniesieniu do ślubno-rozwodowych statystyk podkreślali, że duża liczba orzeczonych rozwodów to efekt „kumulacji" związanej z rokiem pandemicznym (w pierwszej połowie 2020 r. orzeczono 23,2 tys. rozwodów) i mniejszą aktywnością sądów. Z kolei mniejszą liczbę małżeństw w pierwszej połowie roku wyjaśniali oczekiwaniem na luzowanie obostrzeń, a także tym, że najwięcej ślubów odbywa się w miesiącach letnich. Nie zmienia to jednak faktu, że liczba rozwodów rośnie w Polsce od lat. W 1980 r. rozwiodło się 40,3 tys. par. W 2000 r. orzeczonych zostało 42,8 tys. rozwodów, w 2010 r. 61,3 tys., a w 2019 r. już 65,4 tys.

– Głównymi powodami rozwodów są konflikty w małżeństwie, wysoki poziom emocji. Nie potrafimy ze sobą rozmawiać, dążyć do porozumienia, szukać wspólnego języka. Większość par do małżeństwa podchodzi spontanicznie. Z moich badań wynika, że ślub postrzegają one przez pryzmat hasła „Żyli długo i szczęśliwie", uważają, że to koniec historii, a ich uczucie będzie trwać do śmierci. Tymczasem ślub to dopiero początek. Parę czeka wiele nieprzewidzianych sytuacji. Miłość nie

eprasa.pl 4d36b1cd49

wystarczy, potrzebna jest praca obojga ludzi nad małżeństwem – tłumaczy dr Sabina Zalewska.

Marek Grabowski, prezes Fundacji Mamy i Taty, która od lat prowadzi badania i realizuje kampanie społeczne przekonujące m.in. do przemyślenia decyzji o rozwodzie, zwraca uwagę, że przyczyną porażki wielu małżeństw jest to, że albo ze sobą nie rozmawiają, albo prowadzą jedynie płytkie rozmowy. – Zastanawiają się, co obejrzą wieczorem na Netflixie, czy zamówią pizzę czy może sushi. Jeśli życie seksualne na początku związku jest w miarę udane, to pary uznają, że wszystko jest w porządku. Z czasem zaczyna się to komplikować – zwłaszcza gdy pojawia się pierwsze dziecko, które wywraca do góry nogami cały związek. Okazuje się, że nie można tak jak wcześniej wyskoczyć sobie na weekend do Zakopanego czy na Teneryfę, bo jest to bardziej skomplikowane. W związku pojawiają się schody, ale też obszar dla prawdziwej miłości nie tylko związanej z pożądaniem, lecz także z pragnieniem dobra partnerki, partnera, dziecka – mówi Grabowski.

Zaznacza, że trwałość małżeństwa to nie tylko wartość dla konkretnej pary, lecz także dla całego społeczeństwa, bo zarówno polskie, jak i zagraniczne badania pokazują, że tam, gdzie rodzina jest trwała i silna, tam znacząco ograniczona jest liczba zachowań ryzykownych czy przestępczych wśród młodzieży wychowanej w rodzinach i wśród samych małżonków.

– Wielu małżeństwom brakuje wiedzy na temat podstaw komunikacji interpersonalnej i rozwiązywania konfliktów, dynamiki związku małżeńskiego, zmian, które zachodzą po pojawieniu się dzieci, godzenia ról rodzinnych i zawodowych – mówi prezes Fundacji Mamy i Taty. Stąd inicjatywa fundacji, która jeszcze w październiku wystartuje z pilotażowym projektem cywilnych kursów przedmałżeńskich przeznaczonych dla narzeczonych, a także dla młodych małżeństw

Szkolenia będą się odbywać w dwóch modułach – krótszym dwugodzinnym prowadzonym zarówno stacjonarnie, jak i on-line, przekazującym podstawowe informacje, oraz dłuższym trwającym od ośmiu do 10 godzin – w zależności od potrzeb uczestników. – Będzie to szkolenie pogłębione, zawierające elementy warsztatowe, pracę w parach. Zależy nam na tym, żeby uczestnicy mogli pewne rzeczy ze sobą przedyskutować, wyjść ze szkolenia z pewną wiedzą, a także z większą znajomością samych siebie. Być może ten kurs pozwoli wielu parom zadać sobie pytania, których na co dzień boją się postawić albo nie znajdują do tego przestrzeni. Nasze szkolenia mają być przestrzenią do tego, by postawić sobie takie pytania, wrócić z nimi do domu, jeszcze o nich spokojnie porozmawiać. Nawet gdy mamy już spory staż małżeński, to warto przyjść na kurs, popracować nad swoimi umiejętnościami, porozmawiać o wartościach rodzinnych. To w rodzinie budujemy nasz bezpieczny życiowy fundament – mówi Grabowski.

Trwałość małżeństwa to nie tylko wartość dla konkretnej pary, lecz także dla całego społeczeństwa

Zwraca uwagę, że badania, które Fundacja prowadziła wokół programu proponowanych szkoleń, pokazują, iż wielu parom brakuje elementarnej wiedzy dotyczącej życia w małżeństwie. – Czasami zaskakiwało mnie to, że ludzie potrzebują zupełnych podstaw: tak jak to, że chociażby raz w tygodniu warto zjeść wspólnie posiłek, porozmawiać, pamiętać o jakichś wydarzeniach rodzinnych, budować kulturę swojej rodziny – opowiada.

DZIELIĆ MOŻE NAWET WANNA

Czas po zaręczynach to dla narzeczonych intensywny okres, w którym wpadają w wir przedślubnych przygotowań. Zastanawiają się nad samą ceremonią, wybierają miejsce na weselne przyjęcie, projektują zaproszenia, układają listę gości, zastanawiają się nad tym, gdzie będą mieszkać. Nie wszyscy znajdują czas i uważają za niezbędne rozmowy np. o tym, czy będą mieli wspólne konto czy może oddzielne, czy ich dzieci będą chodzić na religię albo jak wyobrażają sobie opiekę nad starzejącymi się rodzicami.

– Warto przed ślubem zadać sobie także takie pytania. Na początku widzimy partnera przez różowe okulary, ale to minie. Powinniśmy wiedzieć, z kim wiążemy swoją przyszłość, jakie doświadczenia partner czy partnerka wynieśli z domu rodzinnego, jakie mają poglądy, spojrzenie na świat – mówi dr Zalewska. I dodaje, że do rozpadu małżeństwa może dojść z banalnych powodów. – Kiedyś do poradni rodzinnej, w której pracuję, zgłosiło się małżeństwo będące o krok od rozwodu. W ich związku narosło wiele negatywnych emocji. Okazało się, że źródłem konfliktu jest kwestia mycia wanny. Ona z domu rodzinnego wyniosła zwyczaj mycia wanny po jej użyciu. U niego wannę myło się przed kąpielą. Nie przyszło im jednak do głowy, żeby o tym porozmawiać. Nie zdawali sobie sprawy z tego, że nie chodzi o wzajemną złośliwość, tylko o to, że z domu rodzinnego wynieśli różne wzorce zachowań i powinni byli o nich porozmawiać – opowiada psycholog rodziny. I podkreśla, że takie szkolenia jak to proponowane przez Fundację Mamy i Taty, którego program, scenariusze zajęć i podręcznik konsultowała, może przyczynić się do tego, że pary będą bardziej świadomie wchodzić w związek.

SZUKANIE WIEDZY O RODZINIE

Marek Grabowski jest zdania, że wiele rodzin szuka wiedzy. – Wskazuje na to choćby popularność blogów parentingowych czy szkoleń dla ojców. Problem polega jednak na tym, że często docierają do materiałów słabo przygotowanych, niekompletnych czy niedopasowanych do współczesnej rzeczywistości. W dobie szybkiego rozwoju technologicznego pewne rozwiązania, które sprawdzały się w czasach naszych rodziców, dziś już nie są adekwatne. My chcemy zaproponować spójny materiał, przygotowany na podstawie naukowych źródeł. To jest siła tego narzędzia – mówi Grabowski.

Dodaje, że Fundacja Mamy i Taty nie zamierza w dziedzinie kursów przedmałżeńskich konkurować ze szkoleniami prowadzonymi w parafiach. – Jesteśmy jednak otwarci na współpracę i na zaproszenie możemy poprowadzić szkolenie w wersji minimum, tak by wzbogacić kursy parafialne i dekanalne, dostarczając wiedzy, której uczestniczący w nich nie są w stanie dostać – dotyczącej chociażby kryzysów w związku, ich rozwiązywania czy psychologii funkcjonowania rodziny w społeczeństwie.

Informacje o terminach szkoleń Fundacja Mamy i Taty będzie publikować na stronie serwisrodzinny.pl. Zgłaszać można się indywidualnie, a także poprosić o przeprowadzenie szkolenia dla grupy. W tym roku szkolenia są bezpłatne. Projekt uzyskał wsparcie Funduszu Sprawiedliwości.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4d36b1cd49

Polska pianistka Zuzanna Pietrzak podczas I etapu tegorocznego Konkursu Chopinowskiego

FOT. WOJCIECH GRZĘDZIŃSKI/NIFC

Nasz Chopin

Marek Drewnowski, pianista, dyrygent

Tekst o Chopinie wygłoszony w 2015 r. w Genewie z okazji 40. rocznicy podpisana Karty Narodów Zjednoczonych

Jeśli pytam, czym jest muzyka, to pytanie wywołuje konsternację, zakłopotanie albo wymijające odpowiedzi. Dla jednych jest to zamknięty w ramy i formy uregulowany hałas albo sztuka organizacji struktur dźwiękowych w czasie. Dla innych jest to zapach, kolor, poezja zamknięta w dźwiękach, piękno natury czy zew serca. Dla mnie muzyka to język – język uczuć i myśli. To przekaz intelektualny i emocjonalny.

To, czego nie umiemy przekazać gestami, słowami, pismem lub mimiką, możemy przekazać muzyką. Przekazujemy nasze myśli, uczucia, tęsknoty, radości, smutki, zdziwienie, złość, zachwyt, rozpacz.

Muzyka tym różni się od poezji, że przekaz jej jest bezpośredni i natychmiastowy. Nie istnieje w niej bariera słów i wyrazów, czyli materii. Muzyka jest niematerialna, tak jak niematerialne są nasze uczucia i myśli.

Znamy wielu genialnych kompozytorów, którzy nam przekazują harmonię, piękne narracje i piękne melodie, niezwykle kunsztowne frazy, matematyczne fugi budzące nasz podziw i rodzące w nas poczucie harmonii i estetyki. Ale nikt nie przemawia do słuchacza tak jak nasz Fryderyk Chopin.

Jego emocje są bliskie każdemu słuchaczowi. Budzą one w nim wszelkie, niedostępne na co dzień, zamknięte w sercu myśli i uczucia. Prowokują do refleksji i mają wgląd do wewnętrznej struktury nerwowej i do naszych myśli. A dla Polaków znaczą one jeszcze więcej, bo odzwierciedlają uczucia patriotyczne i więzi narodowe. Nasz naród posiada wielkie bogactwo uczuć i nastrojów. Oscyluje od złości do miłości, od smutku do radości, od żaru kochania do nienawiści, od dzielności czynu do lekkomyślności, porywów szczęścia i zapaści ducha. Znane są nam rycerskie, bohaterskie wzloty i nieoczekiwane bolesne upadki. W ten charakter Polaków wtopił się Chopin ze swoją muzyką. Tylko on potrafił oddać burzliwą falę naszych narodowych uczuć. To on działał dla pokrzepienia serc i dzięki muzyce określał jedność Polaków.

Jednocześnie ta muzyka jest uniwersalna, kosmiczna, prawie wszystkie narody świata mogą się w naszym słowiańskim lustrze przeglądać i odnajdywać podobne cechy. Dzieje się tak dlatego, że emocje, które przekazuje Chopin, są nie tylko polskie. Są one uniwersalne.

JAK GO ZROZUMIEĆ?

Jaki Chopin miał charakter? Był męski i dziecinny, kobiecy, kapryśny, uczuciowy, dowcipny, ponury, bohaterski, załamany, przygnębiony, błaznowaty, radosny, złośliwy, miły, kokieteryjny, obrażony, urażony, wielkoduszny, zawzięty…

Myślę, że znalazłoby się jeszcze więcej słów na określenie jego stanów emocjonalnych, ale ja muszę wejść w osobowość Chopina, a może nawet w jego duszę.

Bo jak można zrozumieć inaczej Chopina niż nie poprzez jego charakter?

I teraz przystępuję do sedna sprawy i mojego rozumienia tej niezwykle prostej, a zarazem bardzo skomplikowanej muzyki – jego muzyki. Skomplikowanej przez wielokroć mylne rozumienie jego dzieł. Mam wrażenie, że pomimo tego, iż utwory Chopina są grane we wszystkich zakątkach świata, jedynie nieliczni muzycy dostąpili zaszczytu jej zrozumienia.

Bardzo ważny jest tekst chopinowski. Chopin niezwykle drobiazgowo pisał partytury. Każda kropka, każda pauza i każdy łuk były precyzyjnie zaznaczone.

Forma była zawsze czytelna i jasna. Ale nie każdy muzyk zauważa walkę Chopina z tradycją klasyczną i z kreską taktową,

eprasa.pl 4d36b1cd49

którą usiłował on złamać. Zwróćmy uwagę na to, że Chopin zaczyna budować myśl muzyczną, czyli frazę, najczęściej na drugą ćwierć taktu, aby ominąć kreskę taktową. I tu tkwią jego innowacyjność i wyprzedzanie swojej epoki, co widać niezwykle jasno w mazurkach czy w finale jego II sonaty, co można nawet porównać do współczesnych klasterów. Pierwsza część I koncertu fortepianowego kończy się w partii fortepianowej w dominancie. Druga część II koncertu trio to prawie recytatyw akompaniowany fortepianowi w unisono przez orkiestrę grającą tremolo.

Mogę jeszcze długo wymieniać niezwykle pomysły chopinowskie i podkreślać jego wpływ na współczesnych jemu muzyków i późniejszych jego naśladowców.

Ale wróćmy do tematu.

W świecie mamy ogromną liczbę „specjalistów" od muzyki Chopina. „Specjalistów" w cudzysłowie, produkujących pianistów oraz przygotowujących konkursy chopinowskie, w tym także wielki konkurs w Warszawie. Większość młodych muzyków jest do zmagań świetnie przygotowana. Widać to zwłaszcza w pierwszych etapach konkursu. Kiedy dochodzi jednak do wielkich form i mazurków w następnych etapach, młodzi wirtuozi zaczynają się gubić, a mazurki obnażają ich słabość rozumienia Chopina. Naturalnie „produkcje" tych najbardziej uzdolnionych muzyków są najczęściej poprawne. Naprawdę trudno się do nich nastawiać negatywnie. Ale zadajemy sobie ciągle pytanie: Gdzie jest ten prawdziwy Chopin? Jaka jest tajemnica jego muzyki? Odpowiedź tkwi u samego Chopina.

RELACJE LENZA

Niezwykle ciekawy materiał o Chopinie, jego metodach i podejściu do swojej muzyki przekazuje nam Wilhelm von Lenz – meloman i pianista, amator pochodzący z rodziny niemieckiej. W październiku 1842 r. von Lenz poznał Chopina, który zgodził się udzielać mu lekcji dwa razy w tygodniu. Relacje i wspomnienia Lenza, potwierdzane w innych źródłach, dostarczają cennych informacji o wymaganiach stawianych uczniom przez Chopina, szczególnie w odniesieniu do wykonań jego własnych dzieł. Chopin dobierał Lenzowi repertuar dostosowany do jego poziomu umiejętności pianistycznych, nie pozwalając na pracę nad utworami o dużych wymaganiach technicznych, jak np. nad „Scherzo" op. 31. Tłumaczył Lenzowi, że: „Aby uzyskać właściwy styl, trzeba wziąć model z Giuditty Pasty, z całej wielkiej włoskiej szkoły śpiewu…". Potwierdza to, jak wielką wagę w kształceniu swych uczniów przykładał Chopin do nauki kantyleny rodem z belcanto.

Przytoczę Państwu bardzo ciekawą wymianę zdań między Franciszkiem Lisztem i Chopinem, opisaną w pismach Wilhelma von Lenza: „O mazurkach mówił mi Liszt, że do każdego z nich należałoby zaprząc innego pianistę pierwszego rzędu. »Liszt ma zawsze rację!« – odpowiedział mi Chopin. »Myśli pan, że jestem zadowolony z siebie, gdy gram mazurki? Bynajmniej. Może tylko parę razy zdarzyło mi się to na koncertach, które daję co roku, kiedy udzielił mi się nastrój sali. Tylko wtedy, raz w roku, należy słuchać mojej gry; reszta – to praca«".

Zadaję pytanie: Czy Chopin źle grał swoje mazurki i inne dzieła? Oczywiście pytanie jest retoryczne. Ale w tej konwersacji można odczytać przesłanie samego Chopina.

Nie wystarcza zatem samo odczytanie tekstu Chopina. Nie wystarcza kontakt z najlepszym nawet profesorem, krytykiem muzycznym, muzykologiem czy innym autorytetem pianistycznym i muzycznym. Trzeba mieć intuicję, otwarte serce i wrażliwość na piękno.

Ten język, o którym pisałem na początku, jest językiem szczerym i niekłamiącym.

A szczerość w muzyce Chopina jest elementem decydującym – szczerość, o której się w naszych czasach dzisiaj już prawie nie mówi. I tak jak w powiedzeniu o szczęściu, które, jak wiemy, w naszym życiu tylko bywa, ale nie pozostaje w nim na zawsze, tak samo w muzyce Chopina – nastrój powinien być, ale nie zawsze w niej bywa.

Chopin z rozbrajającą szczerością mówi nam o swoich odczuciach i daje nam wskazówki o swojej muzyce. A stwierdzenie „Reszta to praca" też nam określa to, co w jego muzyce jest ważne. „Reszta to praca" – dodajmy: tylko praca jest wyrażeniem pejoratywnym i prawie lekceważącym.

JAK ODNALEŹĆ NASTRÓJ?

Konkursy muzyczne, paradoksalnie, są zaprzeczeniem idei Chopina. Czy można odnaleźć właściwy nastrój w rywalizacji konkursowej i w trudnym do opanowania stresie? Jak można odnaleźć nastrój, czując obecność wszechmogącego jury, które nakłada na muzyka dodatkowy stres?

To, co zostaje w młodym muzyku, to wkład jego „pracy" i ciężkie chwile przygotowań, które są determinujące dla każdego. Ale gdzie i kiedy może znaleźć ten polecany przez Chopina nastrój, który muzykowi przekazuje publiczność?

Wiadomo, że publiczność konkursowa jest publicznością podobną do rzeszy fanów z meczów tenisowych lub innych zawodów sportowych. Nie słyszy prawdy, jest zanurzona w rywalizacji między konkurentami, nie odczuwa delikatnych i zmiennych nastrojów muzyki Chopina i jej piękna. Emocjonuje się siłą i szuka zwycięzcy. Żeby wygrywać konkursy, potrzebna jest siła psychiczna uczestnika, jego odporność fizyczna i jego doskonałe przygotowanie. Niekoniecznie pomocne bywają wtedy wrażliwość i zrozumienie delikatności uczuć chopinowskich. Grając na fortepianie, łatwo jest kłamać. Nastrój i uczucia można udawać.

Oczywiście konkursy są jedyną drogą do stania się zawodowym muzykiem, więc nie będę podważał ich celowości i istnienia. Zwracam jedynie uwagę na ich ograniczenia – tak bardzo istotne w przypadku muzyki Fryderyka Chopina.

Słowa, które Chopin wypowiedział w rozmowie z Lisztem, są dla mnie, jako wykonawcy jego muzyki, bardzo ważne. Nastrój i intuicja są klamrą zamykającą tekst i formą zapisaną w partyturach chopinowskich.

To, co jest najpiękniejsze w muzyce Chopina, to naturalność, szczerość i traktowanie frazy i melodii jak śpiewu, w którym Chopin się zanurza. Jego frazy mają czasem formę duetów operowych, które mówią zazwyczaj o uczuciach. Chopin odkrywa w nas sentymenty, które każdemu człowiekowi są znane. Dlatego ta muzyka tak silnie do nas przemawia i dlatego przy jego muzyce potrafimy się uśmiechać, płakać, wzruszać się, odczuwać dobro, piękno, czuć bohaterstwo, tęsknotę oraz tańczyć i śpiewać.

Muzyka Chopina ma rytm serca i jasność umysłu. Zawsze do niej wracamy, nawet po najsilniejszej jej dawce. Sięgamy jak po narkotyk, gdy już zniewoleni nałogiem odczuwamy jego niedosyt. Wszyscy mamy wielką potrzebę piękna w najczystszej jego postaci. A to piękno daje nam właśnie muzyka Chopina.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

***Marek Drewnowski** – pianista, dyrygent, profesor sztuk muzycznych, wieloletni profesor fortepianu w Akademii Muzycznej w Łodzi, odznaczony medalem Gloria Artis, uhonorowany przez ministra kultury i dziedzictwa narodowego Paszportem Chopina.*

eprasa.pl 4d36b1cd49

Pustynna opera

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Piotr Gociek

Nowa „Diuna" imponuje na wszystkich polach: rozmachem, obsadą, stroną wizualną i pomysłem na opowiedzenie niezwykłego spektaklu

Nie ma miesiąca i tygodnia, by kino, telewizja, serwisy streamingowe nie udowadniały nam, że jeśli chodzi o możliwości techniczne, to możemy pokazać wszystko. Problem polega na tym, że twórcy wyposażeni w zaawansowane narzędzia do zachwycających wizualnych kreacji często nie mają, o czym opowiadać. Zwrot w kierunku fantastycznej klasyki musiał więc nastąpić: niedawno w Apple TV+ miał premierę serial „Fundacja" według Asimova; trwają prace nad serialami „Koło czasu" i „Władca Pierścieni" (będzie to prequel, a nie remake) i tak dalej. Do kin tymczasem trafia opóźniona przez pandemię nowa wersja „Diuny" na podstawie głośnej powieści Franka Herberta.

OSZAŁAMIAJĄCY

Jest to film wybitny, jest to film niezwykły, jest to film oszałamiający, nawet jeżeli mówimy tylko o połowie filmu – bo nie da się źródłowego materiału zamknąć w dwóch godzinach kinowego widowiska. Denis Villeneuve na całość potrzebuje godzin pięciu, teraz przedstawia nam część pierwszą. Nie jest pierwszym, który mierzy się z powieścią Herberta. Najpierw o swojej wersji marzył kontrowersyjny kontrkulturowy twórca Alejandro Jodorowsky, który widział Salvadora Dalego i Orsona Wellesa w obsadzie. Potem powstał film Davida Lyncha, w którym główną rolę zagrał Kyle MacLachlan, a uwagę widzów przykuwał charyzmatyczny, drapieżny Sting. Dostaliśmy też wersję telewizyjną (dwa miniseriale). Ta ostatnia była dziełkiem przyzwoitym, lecz skromnym, Lynch podpada pod kategorię „nieudane arcydzieło". Teraz na scenę wkracza Villeneuve i przedstawia show, jakiego świat nie widział. Nie chodzi o skalę. Chodzi o pomysł na to, jak skomplikowaną materię książki przedstawić.

Zawsze mam kłopot, gdy przychodzi do streszczania „Diuny", bo zdaje mi się to podobne do streszczania „Władcy Pierścieni": po co, przecież wszyscy wiedzą, o co chodzi. No jednak nie wszyscy. Zatem: w odległej przyszłości, kiedy ludzkość żyje rozsypana po licznych

eprasa.pl 4d36b1cd49

odległych światach, najważniejszą planetą jest Arrakis, miejsce, z którego pochodzi bezcenna substancja zwana przyprawą lub melanżem. Umożliwia ona podróże międzygwiezdne. Statki przyszłości kierowane są przez nawigatorów umysłem, a przyprawa rozszerza i wzmacnia jego możliwości. Narkotyk kluczem do gwiazd.

Wokół Arrakis (zwanej też Diuną lub po prostu pustynną planetą) rozgrywa się skomplikowana gra. Imperator Szaddam odbiera ją wpływowemu rodowi Harkonnenów i oddaje we władanie rodowi Atrydów. W tle tasowane są karty jeszcze innych rozgrywek, jest oczywiście ta polityczna, skupiająca rozmaite siły polityczne i biznesowe, ale jest i religijna, a właściwie quasi-religijna. Wpływowy żeński zakon Bene Gesserit ma własne plany na temat tego, kto powinien rządzić; co więcej – próbuje je przyspieszyć, dokonując w sekrecie manipulacji genetycznych i wprawiając w ruch skomplikowany mechanizm krzyżowania rozmaitych linii arystokracji.

Powieść Franka Herberta rozpoczęła swój żywot w odcinkach, na łamach pisma „Analog" (1964–1965), i przez pewien czas wydawało się, że tam ten żywot także zakończy. Ponad 20 wydawców odrzuciło maszynopis. Kiedy ukazała się w formie książkowej, szybko zyskała status książki kultowej, a jej popularność wykroczyła daleko poza świat fanów science fiction. Tak jak stało się to z „Obcym w obcym kraju" Heinleina.

„Diuna" była przykładem wyszydzanej przez Lema fantastyki naśladowczej, która z jednej strony w nosie ma naukowe prawdopodobieństwa, a z drugiej rzutuje na odległą przyszłość klisze wyjęte z historii. Zmieniasz nazwę z imperium rzymskiego na imperium galaktyczne, dorzucasz zamiast rzymskich dróg i wozów napęd pozwalający błyskawicznie przemieszczać się między gwiazdami – i gotowe. „Momentalna lokomocja umożliwia tworzenie galaktycznych imperiów i prowadzenie wojen międzygwiezdnych. A właśnie kosmiczny imperializm i panoramy jego bitew stanowią gęsto obsadzone pola kosmonautycznego tematu" – pisał Lem. I szydził: „Kiedy nie umie się konstruować nowych struktur doświadczenia, najłatwiej sięgać po wytarte".

TO NIE PUSTE PRZEDSTAWIENIE

Brzmi to wszystko trochę jak mydlana opera wystawiana w dekoracjach późnego Bizancjum (tyle że takiego kosmicznego). Genialny pomysł Villeneuve'a polega na tym, że postanawia opowiedzieć historię z odpowiednim dla jej kiczowatego rozmachu grandioso. Zabiera się do „Diuny", jakby wystawiał operę o Nibelungach. Imponujące, wielkie, często mroczne dekoracje, na których tle postacie dramatu rozgrywają w najwyższym skupieniu grę z przeznaczeniem; jest w tym wszystkim dostojność, ceremonialność, namiętności, poczucie tragizmu. Nawet jeśli ktoś fantastyki nie lubi, a fabuła „Diuny" do gustu mu nie przypadnie, to nigdy nie zapomni tego spektaklu.

Nigdy nie jest to jednak przedstawienie puste, które ma na celu jedynie imponować maluczkim. Dramat rodu Atrydów jest dramatem szekspirowskim, głęboko ludzkim – wypełnią obowiązek, podejrzewając pułapkę, nie cofną się, choć widzą, że zagłada czeka na końcu drogi. Jest tu dramat ojca, który wie, że jego zasady mogą kosztować życie całą jego rodzinę i wiernych wasali. Jest dramat matki, która w imię miłości złamała zasady zakonu, który ją wychował, i teraz obawia się, że sama przyczyniła się do zagłady rodziny. Jest wreszcie dramat syna, który musi nadspodziewanie szybko dorosnąć, a wobec którego przeznaczenie ma własne plany.

Aktorzy w zdecydowanej większości dźwigają na barkach zadanie uwiarygodnienia tej kosmicznej celebry. Znakomity jest Oscar Isaac jako książę Leto Atryda. Sekunduje mu Rebecca Ferguson jako Lady Jessica. Młody Timothée Chalamet robi na razie wrażenie bohatera nieco bez wyrazu, ale jesteśmy dopiero na początku jego drogi, jego czas dopiero nadejdzie. To naczynie, którego nie wypełniono jeszcze treścią; na razie męczą go wizje krwawej przyszłości i tajemniczej dziewczyny z pustyni. Demonicznego barona Vladimira Harkonnena zagrał mistrzowsko Stellan Skarsgård, mocno inspirując się robotą Marlona Brando w „Czasie apokalipsy".

Wielką siłą powieści Herberta była także kapitalna galeria postaci drugoplanowych, zwłaszcza z dworu Atrydów. Josh Brolin daje radę jako Gurney Halleck, trochę rozczarowuje za to Jason Momoa jako Duncan Idaho – Momoa nie jest zbyt dobrym aktorem, a powieściowy Idaho był jednak czymś więcej niż tylko wiernym żołnierzem i nauczycielem walki. Imperialny planetolog i ekolog Liet-Kynes jest w tej wersji kobietą (Sharon Duncan-Brewster). W niczym to nie wypacza roli tej postaci w całej intrydze.

★★★★★★

REŻ. DENIS VILLENEUVE
„DIUNA" („DUNE")
USA 2021

wyst. Timothée Chalamet, Rebecca Ferguson, Oscar Isaac

W centrum wszystkiego – tak jak w powieści – jest jednak przede wszystkim niesamowita Diuna, pustynna planeta zamieszkana przez miłujących wolność Fremenów. Jedynych ludzi we wszechświecie, którzy potrafią żyć w tak niesprzyjających warunkach, walcząc o każdą kroplę wody i koegzystując z gigantycznymi czerwiami – olbrzymimi stworzeniami żyjącymi pod powierzchnią pustyni. Diuna uczyniła z Fremenów najlepszych wojowników we wszechświecie, z kolei Paulowi Atrydzie ma do zaoferowania najpierw serię prób ostatecznych, a potem niezwykłą rolę w dziejach imperium.

WOLNOŚĆ, TYRANIA, RELIGIA

Powieść Franka Herberta nigdy nie zdobyłaby jednak statusu kultowej, gdyby ograniczała się jedynie do opisywania dworskich i militarnych intryg. Sporo tu warstw i motywów, które zarówno czynią ją atrakcyjną dziś, jak i czyniły ją pół wieku temu. Konflikt między tyranią a wolnością. Pytanie o rolę religii w kształtowaniu świata, choć zauważmy, że nie jest to religia monoteistyczna, raczej kontrkulturowy zlepek sloganów o poszerzaniu świadomości i kontakcie z naturą. Jest przesłanie ekologiczne, choć na to, by je w pełni docenić, trzeba, by czytelnicy „Diuny" sięgali także po jej powieściowe kontynuacje, w których sen o przemianie pustynnej planety w rajski ogród przynosi fatalne skutki tym, którzy o owej przemianie marzyli.

Paul Atryda jest figurą mesjasza, ale bardziej na kształt Mahometa niż Jezusa, w dodatku Mahometa wstrząsanego wątpliwościami, czy ma prawo ściągać dżihad na świat (pardon, wszechświat). Przede wszystkim moim zdaniem to wielka przypowieść o tym, co i jak kształtuje nasze przeznaczenie – jaka jest w tym rola nas samych i jakie szanse mamy w tej rozgrywce. Co do roli, jaką przeznaczenie ma dla Denisa Villeneuve'a, wątpliwości nie mam – po „Nowym początku", „Blade Runnerze 2049" i „Diunie" wiem, że jest to wybitny twórca mądrego kina fantastycznego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4d36b1cd49

Instytut wsparciem dla badaczy kultury ludowej

Narodowy Instytut Kultury i Dziedzictwa Wsi ogłasza konkurs na najlepszą pracę magisterską i doktorską na temat kultury i dziedzictwa obszarów wiejskich w Polsce. W konkursie oceniane będą prace doktorskie obronione w latach 2017–2021 oraz prace magisterskie bronione w latach 2019–2021. Prace mogą być zgłaszane przez autorów, promotorów, recenzentów, jednostki naukowe, instytucje kultury oraz organizacje pozarządowe. Patronat nad konkursem objęli m.in. minister rolnictwa i rozwoju wsi, minister edukacji i nauki oraz UNESCO

Narodowy Instytut Kultury i Dziedzictwa Wsi to stosunkowo młoda instytucja. Został utworzony decyzją ministra rolnictwa i rozwoju wsi w 2019 r. W założeniach swoim funkcjonowaniem ma on nawiązywać do przedwojennego Państwowego Instytutu Kultury Wsi powołanego w 1936 r. Dzięki swojej siedzibie i częściowo zakresowi zadań instytucja ta jest również spadkobiercą Centralnej Biblioteki Rolniczej, która dziś jest włączona w struktury Instytutu, a także Muzeum Przemysłu i Rolnictwa, które już na przełomie XIX i XX w. zbierało i popularyzowało wszystko, co miało związek z kulturą ludową, wsią i rolnictwem.

Głównym zadaniem Instytutu jest popularyzowanie, dokumentowanie i poszerzanie wiedzy na temat kultury mieszkańców obszarów wiejskich. Misję tę realizuje poprzez upowszechnianie wiedzy o kulturze wsi, zachęcanie mieszkańców wsi do poznawania swojego dziedzictwa oraz pokazywanie mieszkańcom miast piękna tradycji. Instytucja ma na koncie organizację wielu wydarzeń umożliwiających spotkania z kulturą ludową w centrum stolicy oraz konkursów aktywizujących mieszkańców wsi. Instytut wspiera także twórców ludowych i uznane, ogólnopolskie imprezy, które tradycję, sztukę i muzykę ludową stawiają na pierwszym miejscu. Niemniej ważnym elementem jego funkcjonowania i zadaniem, które sobie stawia, jest wspieranie naukowców i badaczy, którzy dziedzictwem kulturalnym i historycznym wsi zajmują się zawodowo. Jak pisze w swojej koncepcji programowej dyrektor placówki Katarzyna Saks: „Niestety, w chwili obecnej

eprasa.pl 4d36b1cd49

brak jest działań dedykowanych wyłącznie osobom zajmującym się tego rodzaju tematami. W programach grantowych dostępnych w innych instytucjach muszą one z reguły konkurować z naukowcami i badaczami z innych dziedzin, częstokroć przegrywając konkursy ze względu na mało nośne tematy".

Sposobem na docenienie badaczy oraz ich mentorów jest nowa inicjatywa Instytutu – konkurs na najlepszą pracę magisterską i doktorską zatytułowany „Korzenie i Skrzydła". Rokrocznie powstaje bardzo wiele prac poświęconych dziedzictwu, tradycji czy historii wsi i mimo nowatorskiego podejścia, wnikliwych badań i zaangażowania twórców większość tych prac ląduje w przepastnych archiwach instytucji naukowych, nie ujrzawszy światła dziennego poza wąskim gronem osób zaangażowanych w egzamin. Nowy konkurs Instytutu ma zmienić tę sytuację. Jego celem jest popularyzacja wyników oryginalnych badań naukowych poświęconych kulturze i dziedzictwu obszarów wiejskich, aby więcej osób mogło się nimi cieszyć i z nich skorzystać. Ma to być także docenienie i wsparcie młodych naukowców i ich promotorów oraz zachęcanie ich do kontynuacji badań w tym zakresie. Organizatorzy pragną również zmobilizować młodych badaczy i ich mentorów do podejmowania tematów dotyczących współczesnych trendów i procesów kulturowych, kształtujących życie i budujących spójność lokalnych społeczności. Zadaniem tej inicjatywy jest też – jak czytamy w regulaminie konkursu – „wzmocnienie nurtu badań nad dziedzictwem niematerialnym i materialnym polskiej wsi, by nie tylko chronić wartości duchowe, tradycyjne umiejętności, zjawiska historyczne i obyczajowe, lecz także w naukowo podbudowany sposób stwarzać systemowe narzędzia, które będą służyły tożsamości lokalnej jako znaczący czynnik rozwoju obszarów wiejskich w Polsce".

Do konkursu można zgłaszać wyłącznie prace obronione, niepublikowane, napisane w języku polskim, oryginalne, zawierające wyniki autorskich badań i nowatorskich analiz oraz dające możliwość praktycznego wykorzystania wyników badań przez kreatorów kultury wsi oraz interesariuszy dziedzictwa obszarów wiejskich. Konkurs skierowany jest do osób, które obroniły prace magisterskie lub doktorskie związane z różnymi dyscyplinami naukowymi z obszaru nauk humanistycznych, społecznych i nauk o sztuce, tematycznie ściśle odnoszące się do tradycji i współczesności szeroko pojętej kultury wsi i dziedzictwa obszarów wiejskich ziem polskich, w tym do kultury i dziedzictwa kulturowego miast o tradycjach rolniczych. Zakres tematyki prac, które mogą być zgłaszane, jest – jak widać – bardzo szeroki, bo i dziedzictwo wsi to pojęcie złożone i wieloaspektowe. Tradycyjnie dzielimy je na trzy powiązane ze sobą grupy – kulturę materialną, duchową i kulturę gospodarowania przestrzenią. Bierzemy tu więc pod uwagę wszystko, co jest związane z tym, jak ludzie żyli przez wieki. Kultura materialna to zatem budownictwo, architektura, rzemiosło i sztuka ludowa oraz wszystkie wyroby rąk ludzkich. Kultura duchowa to nie tylko wierzenia, legendy, podania, obrzędy i zwyczaje, lecz także wszystko, co należało do niepisanego kodeksu zachowań, który organizował życie każdej społeczności. Do tego można dodać sposób urządzania przestrzeni – czy to w całych wsiach, czy jedynie w gospodarstwie lub domostwie. Nie wolno oczywiście zapomnieć o kulturze kulinarnej. Tym terminem zwykło się określać rozpowszechniony na danym obszarze zespół norm dotyczących jedzenia i picia. Mówimy więc nie tylko o przepisach i sposobach przyrządzania potraw, lecz także o tym, co jadano, jak pozyskiwano surówce oraz o całym zespole zwyczajów i obrzędów związanych ze stołem.

Szeroki zakres tematyki, którą organizatorzy konkursu biorą pod uwagę, podkreśla także lista patronów wydarzenia. Zestawienie otwiera Polski Komitet ds. UNESCO, który ma w swojej pieczy wszelkie inicjatywy związane z dziedzictwem. Na liście widnieją także takie instytucje jak: Polskie Towarzystwo Ludoznawcze, Polskie Towarzystwo Historyczne, Polski Komitet Antropologii, Polskie Towarzystwo Socjologiczne, Polskie Seminarium Etnomuzykologiczne, Instytut im. Oskara Kolberga. Konkursowi patronują również: Muzeum Etnograficzne – Oddział Muzeum Narodowego we Wrocławiu, Forum Muzyki Tradycyjnej, Muzeum Etnograficzne – Oddział Muzeum Okręgowego w Rzeszowie, Muzeum Etnograficzne im. Marii Znamierowskiej-Prüfferowej w Toruniu, Komisja Folklorystyczna Komitetu Nauk Etnologicznych PAN, Polskie Towarzystwo Kulturoznawcze, Towarzystwo Kultury Teatralnej i Rada ds. Niematerialnego Dziedzictwa Kulturowego przy ministrze kultury, dziedzictwa narodowego i sportu.

Inicjatywę objęło także swoim patronatem dwóch ministrów – minister rolnictwa i rozwoju wsi Grzegorz Puda oraz minister edukacji i nauki prof. Przemysław Czarnek. Jednym ze wspólnych zadań obu ministerstw jest dbanie o dziedzictwo materialne i niematerialne obszarów wiejskich oraz popularyzowanie wiedzy na ten temat. Patronaty odzwierciedlają to, jak wysoko jest ta tematyka na liście priorytetów obu ministrów.

Tegoroczna edycja konkursu „Korzenie i Skrzydła" jest pierwszą odsłoną tego przedsięwzięcia, ale nie ostatnią. Mamy nadzieję, że konkurs zagości na stałe na liście inicjatyw wspierających polskich badaczy, a jego pokłosiem będzie zwiększone zainteresowanie dziedzictwem i kulturą obszarów wiejskich.

eprasa.pl 4d36b1cd49

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

DVD VIDEO

Chata przemienienia

★★★★☆☆
ROBIN WRIGHT
„LAND"
USA 2021

wyst. Robin Wright, Demián Bichir, Sarah Dawn Pledge

Zdruzgotana w wyniku rodzinnej tragedii Edee wyprzedaje majątek, to, co niezbędne, ładuje do wypożyczonej przyczepy i wyjeżdża w głuszę. Pośród dzikich gór stanu Wyoming, w chacie bez prądu i wody, zdecyduje się jej los. Thoreau w „Waldenie" pisał: „Zamieszkałem w lesie [...], by przekonać się, czy potrafię przyswoić sobie to, czego może mnie nauczyć życie, abym w godzinę śmierci nie odkrył, że nie żyłem". Edee ma prostszą motywację. Życie wśród ludzi jest dla niej nie do zniesienia. Życie na pustkowiu – prawie nie do zniesienia. Prawie czyni różnicę.

Skromny, ale przykuwający uwagę film „Land" jest reżyserskim debiutem Robin Wright w kinie. Wcześniej aktorka – znana m.in. z roli Claire Underwood – nakręciła 10 odcinków „House of Cards". Początkowo chciała przy tym projekcie skupić się jedynie na reżyserowaniu, ostatecznie stanęła po obu stronach kamery. Zapewne nie żałuje, bo sama sobie dała przy okazji szansę na rolę daleką od jej dotychczasowego emploi. Jej Edee to kobieta zmiażdżona rozpaczą, niezdolna do jakichkolwiek rozsądnych wyborów i działań prócz instynktownej ucieczki – jak ranione zwierzę. Dokąd? Dokądkolwiek, w płonnej nadziei, że znajdzie miejsce, gdzie nie będzie tak bolało.

To bardzo amerykańska opowieść, zarówno w chwilach, gdy Edee liczy na to, że wielkie przestrzenie i potężny oddech dzikiej natury uzdrowią jej duszę, jak i wtedy, gdy bohaterka „Landu" odkryje, że żyć możemy tylko przez innych i dla innych. Nie ma w tej opowieści żadnych łatwych odpowiedzi, żadnych szczęśliwych zrządzeń losu, które poprowadzą wszystkich do słodkiego happy endu – żadnych prócz chwili, kiedy przemierzający lasy traper zainteresuje się losem samotniczki z rozwalonej chaty. „Dlaczego mi pomagasz?" – pyta Edee. „Bo znalazłaś się na mojej drodze" – odpowiada Miguel.

W tej prostej historii opowiedzianej na tle Gór Skalistych, równie majestatycznych jak w „Jeremiahu Johnsonie" Sydneya Pollacka, słów jest niewiele – a i tak kilka dałoby się jeszcze bez szkody usunąć. W pierwszej części „Land" razi w paru miejscach niepotrzebną dosłownością (gdy bohaterkę nawiedzają duchy przeszłości), potem płynie już gładko, naturalnie, wdzięcznie. Są chwile w życiu, gdy warto wybrać wygnanie. Prędzej czy później trzeba jednak będzie wrócić. ©℗

NOWE SERIALE: „CHAPELWAITE"

CANAL+

Serial grozy wyprodukowany przez amerykańską kablówkę Epix. Rzecz inspirowana jest opowiadaniem Stephena Kinga „Dola Jeruzalem" (zbiór „Nocna zmiana"). Mistrz horroru łączył w nim uniwersum Lovecrafta (mitologia Cthulhu) z własnym fikcyjnym stanem Maine. Kapitan Boone (Adrian Brody) osiedla się w Preacher's Corners, by wkrótce natrafić na ślad mrocznej tajemnicy związanej z dawną magią. W opowiadaniu był samotnym arystokratą, w serialu jest stroskanym ojcem trojga dzieci – czymś w końcu trzeba wypełnić 10 odcinków. ©℗

Piotr Gociek

- ***sezon 1 „Chapelwaite", USA 2021***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- *sezon 1* ***„Inwazja" („Invasion")***, *USA 2021* — tv
- *sezon 3* ***„Sukcesja" („Succession")***, *USA 2021* — HBO
- *sezon 2* ***„Another Life"***, *USA 2021*

eprasa.pl 4d36b1cd49

Większe zło

KINO

Niby wyssane z palca, ale przerażająco realne. Zaczyna się jak u Smarzowskiego – wystawne wesele córki biznesmena obnaża małe i większe grzechy uczestników. Były pracownik żebrze u gospodarzy o pieniądze, potrzebne na operację chorej żony. Panna młoda, która jako jedyna przejmie się sprawą, wpadnie w najgorsze opały. W mieście wybucha bowiem rebelia plebejuszy. Przy zadziwiającej bierności sił porządkowych Meksyk pogrąża się w krwawym chaosie. Michel Franco jest bezlitosny dla bohaterów i widzów, ale nie z powodu nagromadzenia scen gwałtu i bezsensownego okrucieństwa jego filmowi przypięto łatkę dzieła kontrowersyjnego. Reżyserowi, nagradzanemu na festiwalach w Cannes i Wenecji, zarzucono, że trzyma stronę białych elit. Ośmielił się bowiem zauważyć, że ancien régime może był zły, jednak alternatywą dlań jest prawo dżungli, erupcja gniewu ludu może być zaś efektem prowokacji. Negatywne reakcje na „Nowy porządek" są poniekąd zrozumiałe. Naiwna wiara w postęp, która dawała jakąś pociechę i nadzieję na przyszłość, zostaje podważona – i to przez człowieka wywodzącego się z kręgów artystycznych, mających zwykle wiele zrozumienia dla radykałów z lewicy. Tego tolerować nie można. Wiara w romantyzm rewolucji, zachwiana po kolapsie ZSRS, musi się odrodzić. Inaczej nastąpi koniec świata. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★★☆☆

REŻ. MICHEL FRANCO
„NOWY PORZĄDEK" („NUEVO ORDEN")
MEKSYK/ FRANCJA 2020

wyst. Nainan Gonzáles Norvind, Diego Boneta, Fernando Cuautle

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

LUDZIE JAK ZWIERZĘTA

arte

Kto zna bajkę o lisie i kruku albo o żabie nadętej aż do rozpuku, ten ręka w górę! 400 lat temu przyszedł na świat człowiek, który odnowił i uwznioślił gatunek ukochany przez starożytnych. Naśladował Ezopa, lecz w wykwintnej francuszczyźnie. La Fontaine wszedł na Parnas boczną ścieżką i dopiero po czterdziestce. Nadworny wierszokleta skazanego na dożywocie ministra finansów Fouqueta nie był mile widziany w Wersalu. Bajki, które wydał własnym sumptem, stały się jednak przebojem salonów i jednym z kół napędowych naturalizmu. Autorów jubileuszowego dokumentu bardziej od biografii poety zajmują ilustracje, zdobiące wydania jego dzieł. Nie bez kozery. Dzięki geniuszowi rysowników – od François Chauveau, Grandville'a i Gustava Doré do Chagalla i Katarzyny Kosteckiej – La Fontaine zapanował nad wyobraźnią kolejnych pokoleń. Uczłowieczanie zwierząt i zezwierzęcenie ludzi są nadal en vogue.

★★★★☆☆

REŻ. PASCALE BOUHÉNIC
„JEAN DE LA FONTAINE. CZŁOWIEK, KTÓRY KOCHAŁ BAJKI" („L'HOMME QUI AIMAIT LES FABLES")
FRANCJA 2020

WAKACJE Z DUCHAMI

KINO

Osobliwy hołd złożony twórcy „Siódmej pieczęci". Na Fårö, gdzie Bergman pracował i w końcu zamieszkał, przybywa para amerykańskich filmowców. Wynajmują jeden z domów Mistrza i śpią w łóżku, które grało w „Scenach z życia małżeńskiego", ignorując ostrzeżenia, że film ten stał się przyczyną ponad miliona rozwodów. Tony i Chris piszą scenariusze. On o swoim rozmawiać nie chce, ona wręcz przeciwnie. „Wyspa Bergmana" to kino feministyczne. Tim Roth marnuje czas, nie mając tu zgoła nic do zagrania. Przeszłość miesza się z teraźniejszością, rzeczywistość z fikcją. Szwedzki reżyser, zły mąż i zły ojciec, choć był synem pastora, to w Boga nie wierzył. Na starość ponoć uwierzył w duchy. Widzom, których jego biografia nie interesuje, a twórczość nie porywa, pozostaje kontemplacja urody bałtyckiego wybrzeża i szwedzkiego stylu życia. Lagom czy hygge, oto jest pytanie. ©℗ ***recenzuje Wiesław Chełminiak***

★★★☆☆☆

REŻ. MIA HANSEN-LØVE
„WYSPA BERGMANA" („BERGMAN ISLAND")
FRANCJA 2021

wyst. Vicky Krieps, Tim Roth, Mia Wasikowska

GRA TYGODNIA: „METROID DREAD"

To jeden z tych tytułów, który sprowokuje growych mugoli z waszego najbliższego otoczenia do zadawania pytania wystrzeliwującego w kosmos i tak podniesione już ciśnienie: „To po co w to grasz, skoro tak się denerwujesz?!". Nie mam na to nigdy dobrej odpowiedzi, ale sami już pewnie wiecie, jaka jest „Metroid Dread". To trudna, nawet bardzo trudna gra, w której ekrany „game over" pojawiają się bardzo często i sprawiają, że rzucacie padem (delikatnie, na łóżeczko) lub odkładacie Switcha, by po kilku chwilach znów po niego sięgnąć. Platformówka, w której zginąć jest równie łatwo, co zabłądzić, a którą ukończą tylko ludzie z genem masochizmu. ©℗ ***Radosław Wojtas***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★☆☆

Gatunek: *Akcja, platformówka*
Platforma: *NS*
Producent, wydawca: *Mercury Steam Entertainment, Nintendo*

eprasa.pl 4d36b1cd49

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Beksiński – malarz rozpaczliwy

Na twórczość Zdzisława Beksińskiego, a ta nie ogranicza się przecież do malarstwa, lecz obejmuje całą chyba sztukę, patrzymy dzisiaj przez pryzmat tragicznej śmierci artysty, wcześniejszego samobójstwa jego syna i innych zdarzeń, które sprawiły, że autora „Postaci" (przed tygodniem sprzedanej na aukcji za prawie 2 mln zł!) zaczęto nazywać „przeklętym". Przy czym film Jana P. Matuszyńskiego „Ostatnia rodzina" z Andrzejem Sewerynem w roli głównej – niezależnie od jego wysokiej jakości – bynajmniej nie przyczynił się do zrozumienia i wyjaśnienia zarówno postawy twórczej Beksińskiego, jak i jego światopoglądu.

Z zadaniem tym zmierzyła się Dorota Szomko-Osękowska, która kilka lat temu na Uniwersytecie Warszawskim przedstawiła pracę „Tragizm ludzkiej egzystencji ukazany poprzez studium figury/postaci – refleksja nad oeuvre Zdzisława Beksińskiego w perspektywie filozofii egzystencjalnej". Teraz w wersji przeznaczonej dla, sądzę, szerszej rzeszy miłośników (przeciwników także) sztuki artysty z Sanoka ukazała się w wysmakowanej edycji wydawnictwa Bosz zilustrowana 90 reprodukcjami jego grafik.

W 1977 r. w jednym z wywiadów Beksiński powiedział: „Wciąż poszukuję jakiegoś porządku. Rozważania o charakterze metafizycznym zajmują mi większość czasu przy malowaniu. To są wszystko lęki człowieka, który musi umrzeć". Jego twórczość obsesyjnie krążyła wokół lęku, rozpaczy i śmierci, poszukując – bezskutecznie – jakiegokolwiek sensu istnienia.

Był niedowiarkiem; w nic, dosłownie w nic, nie wierzył, nie

FOT. PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS

tylko w Boga i życie pozagrobowe. W sztukę też nie wierzył, choć powiedział kiedyś, że malarstwo pozwala mu „wyłgać się od przemijania i odgrodzić od rozpaczy, jaką ono niesie".

Interesował się filozofią, acz bez przesady. Jakoś bliski był mu Kierkegaard, ciekawił go Hegel nawet, ale już nie Marks: „Mam punkt widzenia nienastawiony raczej na mechanizmy poruszające masy ludzkie". Naturalnie znał egzystencjalistów, czerpiąc z nich – okresami – całkiem sporo. Ale w innym już czasie zajmował się ezoteryką, filozofią Wschodu, psychoanalizą i psychologią.

Co czytał? Powtarzał, że w całej literaturze światowej najbardziej poruszyła go opowieść księdza z „Procesu" Franza Kafki o człowieku stojącym przed Prawem. Od dzieciństwa też – wspominał – „był nieszczęśliwie zakochany w Witoldzie Gombrowiczu, który formułował jego własne myśli w sposób lekki, precyzyjny, jasny – czego on sam nie potrafił".

Kilka miesięcy po śmierci artysty teolog i badacz ikon ks. prof. Michał Janota w artykule „Kruk czy gołębica" napisał:

„Przyznam od razu: malarstwo Zdzisława Beksińskiego oceniam bardzo krytycznie […]. Za zestawem motywów, w rozmaitych ich kombinacjach na poszczególnych obrazach, nie stoi – tak naprawdę – głęboka odpowiedzialność za treść. Sądzę, że nie mają one do powiedzenia współczesnemu człowiekowi absolutnie nic pozytywnego. W tym sensie, używając metafory z opowieści o potopie i Noem, sztuka Zdzisława Beksińskiego staje się czarnym krukiem. Jest on fascynujący, przyciąga wzrok. Jest jednak ptakiem, który w dziobie nie przynosi nic, bo nie wylatuje poza arkę. […] Dla mnie to malarstwo jest – wyrażoną niesłychanie sugestywnie i wspaniałym językiem plastycznym – wizją świata, skazanego na totalną śmierć i zagładę. Dlatego budzi on moje współczucie, ale i sprzeciw. Ja bowiem szukam w malarstwie tego, co – symbolicznie mówiąc – niesie biblijna gołębica z arki Noego".

Powtórzę raz jeszcze jedno zdanie z tego tekstu, gdyż w pełni oddaje i moje osobiste odczucie: te obrazy „nie mają do powiedzenia współczesnemu człowiekowi absolutnie nic pozytywnego". Oczywiście, powie ktoś zaraz, że i pozytywizm, i socrealizm – na szczęście – dawno minęły i od sztuki już czegoś innego oczekujemy niż tylko tego, by czyniła nas lepszymi. No to niech będę kompletnie niedzisiejszy: jednak to po to Bóg dał niektórym z nas talent, a nie po co innego. A „czarny kruk" od bardzo wielu lat niezmiennie źle nam się kojarzy. To „czornyj woron" i już.

Ale choć z Bogiem Beksińskiemu nie było po drodze, to jednym z rekwizytów najczęściej występujących w jego pracach był krzyż. Tyle że raczej nie jako symbol chrześcijaństwa, a – jak określa go Dorota Szomko-Osękowska – „desygnat" śmierci. ©℗

★★★★★★

DOROTA SZOMKO-OSĘKOWSKA „BEKSIŃSKI. WIZJE ŻYCIA I ŚMIERCI" WYDAWNICTWO BOSZ, OLSZANICA 2021

eprasa.pl 4d36b1cd49

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Kiler i dziewczyna

Dawno nie czytałem książki Stephena Kinga, po której tak bardzo widać byłoby, jak wielką frajdę sprawiało autorowi jej pisanie. Amerykański mistrz powieści popularnej (już nie tylko horroru, bo przecież w ostatnich latach równie często pisze kryminały) bawi się w „Billym Summersie" elementami znanymi doskonale z wielu innych książek i filmów. Układa je po swojemu, układa je, śmiem twierdzić, z przymrużeniem oka. Bo jakże moglibyśmy serio traktować historię zawodowego kilera, który dla niepoznaki czyta komiksy, a w wolnych chwilach zastanawia się nad pokrewieństwem Zoli i Dickensa oraz tajnikami „Teresy Raquin"?

Zabójca na zlecenie jako figura opatrznościowa to znak charakterystyczny naszych czasów. Nowe wcielenie samotnego mściciela, współczesny rodzaj jeźdźca znikąd znanego z westernów. Znak niechybny, że uważamy system nie tylko za skorumpowany, lecz także niereformowalny. Skoro jedynym ratunkiem jest gość, który zabija za pieniądze, a w dodatku jako jeden z niewielu trafnie potrafi ocenić, kto zasługuje na to, by żyć, a kto nie…

Fabuła powieści „Billy Summers" przypomina thrillery klasy B – oto płatny zabójca bliski jest emerytury, ale bierze jeszcze jedno zlecenie. Oczywiście wiemy, że coś pójdzie nie tak, oczywiście tak się dzieje i oczywiście motywacje osobników zlecających mu robotę okażą się inne, niż bohater przypuszczał. Taka historia nie może się obyć albo bez femme fatale, albo bez damsel in distress (często obu) – w roli tej ostatniej poznajemy niejaką Alice Maxwell, której krzywdę nasz Billy srogo pomści.

W którą stronę się nie obrócić, widzimy, jak bardzo zgrane karty King tasuje w swojej talii. A mimo to wychodzi mu książka pasjonująca, książka, którą czyta się, nerwowo przewracając strony, jego najlepsza powieść od czasu „Ręki mistrza" (2008). Wspomnijmy film „Drive" z Ryanem Goslingiem – owszem, powieść Jamesa Sallisa była ciekawa, ale by zamienić ją w kinowe cacko, trzeba było wizji i umiejętności reżysera Nicolasa Windinga Refna. Oto skala talentu Kinga – bierze byle co i robi z tego zaskakująco ciekawe coś. Nie bez powodu mówi się o nim, że gdyby napisał książkę telefoniczną, to też byłaby pasjonująca.

Autor „Lśnienia" skończył miesiąc temu 74 lata. Clint Eastwood w tym wieku kręcił właśnie „Za wszelką cenę", a przed sobą miał więcej niż 10 dobrych filmów. Obstawiajmy, ile jeszcze bestsellerów napisze King? Moim zdaniem przynajmniej 20. ©℗

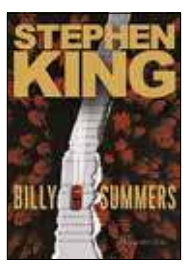

★★★★☆☆
STEPHEN KING „BILLY SUMMERS" PRÓSZYŃSKI I S-KA 2021

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Krytyka nielogicznego myślenia w wykonaniu autora „Nowego oświecenia". Dlaczego w czasach cudów nauki poddajemy się irracjonalnym odruchom? Czy to naturalna cecha człowieka, czy przyczyn szukać należy gdzie indziej?

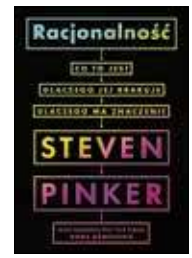

STEVEN PINKER „RACJONALNOŚĆ" ZYSK I S-KA

„Jak trudno być zadowolonym z kogoś innego!" – pokpiwał francuski moralista, który akurat z siebie miał prawo być dumny, czego dowodzi lektura jego słynnego dzieła. W nowym przekładzie Anny Tatarkiewicz.

JEAN DE LA BRUYÈRE „CHARAKTERY, CZYLI OBYCZAJE NASZYCH CZASÓW" PIW

„Chciałem napisać atrakcyjną opowieść przygodową dla młodzieży, ale bez magii" – opowiadał mi w wywiadzie dla TV Republika John Flanagan. Udało się znakomicie: to już 16. tom bestsellerowej serii „Zwiadowcy".

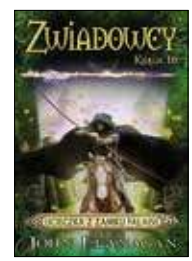

JOHN FLANAGAN „UCIECZKA Z ZAMKU FALAISE" WYDAWNICTWO JAGUAR

Prócz opowiadań znanych z „Nowej Fantastyki" i antologii nowy tom Kołodziejczaka przynosi też teksty premierowe. Uwagę fanów na pewno zwrócą „Kropki na mapie" z uniwersum „Ostatnia Rzeczpospolita". ©℗

poleca Piotr Gociek

TOMASZ KOŁODZIEJCZAK „SKAZA NA NIEBIE" FABRYKA SŁÓW

KOMIKS TYGODNIA: „DIUNA. RÓD ATRYDÓW"

Wraz z wejściem do kin nowej ekranizacji słynnej powieści Franka Herberta na półki księgarskie trafiają nie tylko wznowienia oryginału, lecz także rozmaite komiksowe adaptacje. Ta narysowana przez Deva Pramanika to rysunkowa wersja powieści dopisanej do uniwersum „Diuny" w 1999 r. Jej akcja toczy się 35 lat wcześniej, w czasach, gdy Harkonnenowie dopiero przejęli kontrolę nad pustynną planetą, a przyszły imperator Szaddam jeszcze nie objął tronu. Leto Atryda zaś, przyszły ojciec Paula Muad'Diba, dopiero zaczyna swą dorosłą edukację. ©℗

poleca Piotr Gociek

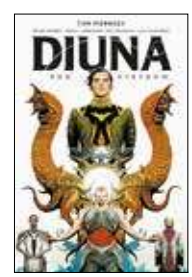

KEVIN J. ANDERSON, BRIAN HERBERT, DEV PRAMANIK „DIUNA. RÓD ATRYDÓW" NON STOP COMICS 2021

eprasa.pl 4d36b1cd49

FOT. WOJTEK DOBROGOJSKI

Eufonie romantycznie

Wiele kultur i gatunków, jeden motyw przewodni. Romantyzm będzie w tym roku wspólnym mianownikiem tegorocznej, trzeciej edycji festiwalu Eufonie.

Na dziewięć festiwalowych dni organizatorzy (Narodowe Centrum Kultury przy wsparciu Ministerstwa Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu) zaplanowali 14 wydarzeń wypełnionych muzyką najwybitniejszych kompozytorów z regionu oraz kompozycjami z obecnego i poprzedniego wieku. Warszawskie sceny opanują artyści z Polski i Europy Środkowo-Wschodniej – od Bałkanów, poprzez Rumunię i Austrię, kraje Grupy Wyszehradzkiej, Ukrainę i Białoruś, do krajów bałtyckich. Przypomnijmy bowiem, że główną ideą festiwalu Eufonie jest upowszechnianie dziedzictwa kulturowego tej części Starego Kontynentu. Tej mieszance kultur towarzyszy mieszanka stylów. Eufonie to festiwal, na którym obok muzyki klasycznej pojawiają się elektronika, jazz czy muzyka eksperymentalna. Będą też projekty interdyscyplinarne – instalacje przestrzenno-dźwiękowe autorstwa amerykańskiego kompozytora Alvina Currana i Anny Zaradny poświęcone dziedzictwu przedwojennych żydowskich kantorów.

Festiwal zainauguruje 19 listopada koncert w Filharmonii Narodowej w Warszawie. Będzie można usłyszeć dzieła Ferenca Liszta, Zoltána Kodály'ego oraz Ernsta von Dohnányi'ego w wykonaniu solistów i Chóru Filharmonii Narodowej oraz orkiestry Sinfonia Varsovia pod batutą Zsolta Nagya. Na zakończenie, 27 listopada, także w Filharmonii Narodowej – „II Symfonia »Wigilijna«" Krzysztofa Pendereckiego oraz „Koncert fortepianowy a-moll" op. 16 Edwarda Griega. Koncerty odbywać się będą także m.in. w Zamku Królewskim, Klubie Akwarium, kościele ewangelicko-augsburskim św. Trójcy oraz Centrum Kreatywności Targowa. Do 31 października trwa trzecia tura sprzedaży biletów. Od listopada bilety w cenie regularnej. ©℗

Radosław Wojtas

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Nowy żywot banana

Wielcy sceny alternatywnej składają hołd debiutanckiej płycie zespołu Velvet Underground – ze słynnym bananem Andy'ego Warhola na okładce – która zmieniła bieg rockowej historii.

Albumy w hołdzie dla danego artysty czy zespołu pojawiły się na szeroką skalę w latach 90. Największą liczbą takich płyt uhonorowano The Beatles (31) i Davida Bowiego (24). Producent Hal Willner, specjalizujący się w takich płytach, zapraszał do nietuzinkowych hołdów (m.in. dla Theloniousa Monka, Kurta Weilla czy piosenek z filmów Disneya) nietuzinkowych wykonawców. Ostatnim jego projektem (zmarł na COVID) było współczesne odczytanie płyty „Velvet Underground & Nico". Albumu, który w 1967 r. niewiele osób kupiło, z czasem stał się biblią dla wszelkich odmian muzyki alternatywnej, a łamiące wiele tabu piosenki Lou Reeda stały się klasykami.

Wystarczy wymienić goszczących na płycie wykonawców (m.in. Iggy Pop, Thurston Moore, St. Vincent, Kurt Vile), by było jasne, że ich wersje będą dalekie od oryginałów. Wprawdzie „Sunday Morning" zaśpiewana przez Michaela Stipe'a (R.E.M.) ma coś z łagodności wersji Nico, ale już druga w kolejności, „I'm Waiting for the Man", wykonana przez Matta Berningera (The National), przenosi nas w krainę dzisiejszych mroków. Kolejne covery dzięki odczuwalnemu w nich nastrojowi pandemicznego strachu sprawiają, że „szara" wersja banana robi tak piorunujące wrażenie. ©℗

★★★★★★

RÓŻNI WYKONAWCY „I'LL BE YOUR MIRROR: A TRIBUTE TO THE VELVET UNDERGROUND & NICO"
VERVE

★★★★☆☆

THE STRANGLERS „DARK MATTERS"
COURSEGOOD

Z oryginalnego składu został już tylko JJ Burnel. Na płycie zdążył jednak zagrać klawiszowiec Dave Greenfield, który zmarł na COVID. Album w dawnym duchu Dusicieli dotarł do czwartej pozycji na brytyjskiej liście – najwyższej, jaką grupa osiągnęła od 1983 r.

★★★☆☆☆

THE SPECIALS „PROTEST SONGS 1924–2012"
ISLAND

Pod koniec lat 70. doprowadzili do odrodzenia muzyki ska. Teraz nagrali rockowy album zawierający pieśni protestu m.in. Big Billa Broonzy'ego, Franka Zappy czy zespołu Talking Heads. Niestety, The Specials porzuciwszy swe korzenie, nie brzmią ani buntowniczo, ani przekonująco. ©℗

eprasa.pl 4d36b1cd49

Adam Michnik i Zbigniew Rokita, laureat Nagrody Literackiej Nike 2021 za książkę „Kajś. Opowieść o Górnym Śląsku"

FOT. MATEUSZ WŁODARCZYK/FORUM

Michnik przy nadziei

Krzysztof Masłoń

Było podniośle i uroczyście nad wyraz, a – jak można się było tego spodziewać – wszystkich przebił Adam Michnik

Powiało wysoką kulturą. Po przyznaniu literackiej nagrody Nike – co można było obejrzeć w przekazie TVN – najwięcej komentarzy wzbudziło następujące proroctwo niejakiego Grzegorza Piątka: „To całe faszystowskie gówno, w którym się znajdujemy, też się kiedyś skończy".

Można było pomyśleć, że temu kolejnemu Piątkowi zgłaszającemu akces do literatury polskiej i jej okolic (trudno zapomnieć o zasługach w tej materii Tomasza Piątka, tego od „Heroiny") chodzi o Bibliotekę Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie miała miejsce gala. Z kontekstu wynikało jednak, że miał on na myśli Polskę pod rządami Prawa i Sprawiedliwości, które to rządy „psują radość z tego, co dzieje się na tej sali".

Rzeczywiście było głośno i radośnie, niemal jak na zabawie w remizie przy dźwiękach „Balkanicy" zespołu Piersi. Najbardziej ucieszyła się prowadząca tę fetę Grażyna Torbicka, dziękując w uniesieniu: „Brawo za to, co pan powiedział i co pan napisał". Uściślijmy: powiedział „gówno", co zaś napisał?

Oto korzystając z okazji, Piątek Grzegorz orzekł, że pomysł odbudowy Pałacu Saskiego jest „bardzo zły, spóźniony i ekstrawagancki", gdyż jego zdaniem – specjalisty od architektury miejskiej – odbudowa Warszawy skończyła się wraz z odbudową Zamku. Dziwi ta wielkoduszność autora nominowanego do Nike dzieła „Najlepsze miasto świata. Warszawa w odbudowie 1944–1949". W końcu komuniści z odbudową Zamku Królewskiego zwlekali aż do lat 70., gdyż po tym, jak po postawieniu na nowo stołecznej Starówki odśpiewali, że „zaułków dawny cień z gruzu-śmy do gwiazd podnieśli", o żadnym przywracaniu dawnych symboli Rzeczypospolitej nie chcieli już słyszeć. Wystarczy tego dobrego – zadekretowali!

Nominowanemu Piątkowi trudno było w tej sytuacji dorównać, ale nie można powiedzieć, że jego rywale nie dali sobie w kaszę dmuchać. I tak Kasper Bajon (ukłony dla ojca) prosił, „żebyśmy chwilę pomyśleli o osobach, które nie mogą tutaj być z nami, bo są na granicy". I znów, pomyślałem sobie, że autor „Fuerte" pozdrawia w ten sposób naszych dzielnych pograniczników, ale za to pewnie by go na „gali" ukamieniowano, wywnioskowałem więc, że chodzi o kogoś zupełnie innego. Niewykluczone, że o dzieci, których imiona wypisane były na kartkach trzymanych przez uczestników gali. Kartki te – stwierdził następny nominowany, poeta Jacek Podsiadło – „są warte lektury tak jak książki". „Albo i bardziej" – dodał w przypływie samokrytyki.

Lipczak Aleksandra nominowana za dzieło „Lajla znaczy nic" zagrzmiała: „Nie możemy pozwolić na to, żeby w naszym kraju dzieci były wywożone na śmierć do lasu", z czym zgodzili się wszyscy, bo trudno się z tymi słowami nie zgodzić, a wiadomo, że gdzie jak gdzie, ale w lesie, a już w lesie na granicy z Białorusią, z całą pewnością grasują wilki. Jak to szło w, nomen omen, dziecięcej piosence: „Ciemny las, tak wilki zjedzą nas". No, horror.

Nawet Monika Śliwińska, która popełniła książkę o „Pannach z »Wesela«", i to wcale nie z „Wesela" Smarzowskiego, a Wyspiańskiego, kompletnie nieprzystającą do całej reszty nominacji, na fali zbiorowej euforii skonstatowała, że „łączy nas podobna wrażliwość na krzywdę drugiego człowieka". Na tym tle nie popisał się Krzysztof Fedorowicz, autor „Zaświatów", bo jedynie wyraził przekonanie, że „za rok do takich sytuacji nie będzie dochodzić", i, jak sądzę, nie miał na myśli tego, że Agora z nagrodą Nike – bywało, że prestiżową – da sobie spokój.

Jeśli chodzi o laureata Nike – Zbigniewa Rokitę, podążającego tropem Szczepana Twardocha w swojej nagrodzonej przez jurorów i czytelników „Gazety Wyborczej" książce „Kajś. Opowieść o Górnym Śląsku" – to do tematu numer jeden tegorocznej gali odniósł się dość ogólnym twierdzeniem, że „sytuacje, w których nie uznaje się dowolnych mniejszości, prowadzą do wielu cierpień". Przy czym zaakcentował prawa narodu śląskiego, którego członkiem poczuł się wprawdzie od niedawna, ale jest „irytujące, gdy ktoś ci mówi, że twój naród nie istnieje".

Do jednobrzmiącego chóru występującego w Bibliotece UW dostosował się Jan Młynarski, nie nominowany, za to czuwający nad muzyczną oprawą ceremonii. „Strasznie jest mi źle oglądać takie (?) zdjęcia – wyznał – w kraju, który tak bardzo kocham" – nieoczekiwanie uściślił.

Ogólnie rzecz biorąc, było podniośle i uroczyście nad wyraz, a – jak można się było tego spodziewać – wszystkich przebił Adam Michnik swoim wezwaniem: „Trwajmy przy nadziei", budząc jednak pewną konsternację, gdyż nie wszyscy wiedzieli o tym, że naczelny „Gazety Wyborczej" jest w stanie odmiennym. ©℗

eprasa.pl 4d36b1cd49

Papież Franciszek zobowiązał cały Kościół do wysłuchiwania głosu dosłownie każdego, kto chce mówić – niezależnie od jego związku z katolicyzmem czy jakąkolwiek inną religią FOT. VATICAN POOL/GETTY IMAGES

Synodalna droga do protestantyzacji Kościoła

Paweł Chmielewski

Kościół wkroczył na drogę synodalności. Efektem rozpoczętych procesów może być pogłębienie atomizacji katolików. Wsłuchując się w głos schizmatyków, heretyków, innowierców i apostatów, łatwo możemy zatracić tożsamość. Na horyzoncie nie widać sił zdolnych do powstrzymania tego marszu

Kościół katolicki z woli Ojca Świętego rozpoczyna podróż ku synodalności. Jest to droga w nieznane – mówią o tym zarówno papież, jak i instytucja, która organizuje najnowszy synod, Sekretariat Synodu kierowany przez kard. Mario Grecha z Malty. „Ku Kościołowi synodalnemu: komunia, uczestnictwo i misja – tak brzmi hasło procesu, który w Rzymie rozpoczął się 9 października, a w Polsce 17. Jak mamy wyobrażać sobie synodalny Kościół przyszłości? Oficjalne dokumenty Stolicy Apostolskiej przekonują, że chodzi o pierwszeństwo – uwaga, to dosłowne cytaty – „marzeń, proroctw i wizji" oraz „podążania z całą ludzką rodziną". Wierzący mają „wzajemnie się słuchać" i w ten sposób poznać wolę Bożą. Jak poucza papież, najważniejsze to iść naprzód. W przemówieniu, które wygłosił o synodalności do diecezjan Rzymu, powiedział, że Kościół jest jak woda. Jeżeli nie płynie, to gnije. Żeby zatem nie zgnić – to znowu cytaty z oficjalnych dokumentów Sekretariatu Synodu – musimy „odrzucić uprzedzenia i stereotypy", a postawić na „innowację, śmiałość, kreatywność i tworzenie wizji przyszłości".

LICZĄ SIĘ KONKRETY

Jak łatwo zauważyć, tak naprawdę nic nie wiadomo. Marzenia i wizje, kreatywność i innowacje – to wszystko słowa pozbawione znaczenia. Ostatecznie liczy się konkret. Gdzie mamy szukać sedna nowego procesu synodalnego? Swoje idee na ten temat mają biskupi i świeccy w Niemczech. Na przełomie września i października odbyło się za Odrą spotkanie Zgromadzenia Synodalnego, organu decyzyjnego Drogi Synodalnej. Wspólnymi głosami uczestników ustalono, że na kolejnych spotkaniach debatować będzie się nad takimi tematami jak: likwidacja kapłaństwa (sic!), uznanie wszystkich aktów seksualnych niezakładających przemocy za moralnie dopuszczalne, a także utworzenie świeckiego gremium, które będzie na poziomie krajowym kontrolować poczynania biskupów. Absurd i herezja? W teorii tak, ale Niemcy twierdzą, że prowadząc taką debatę, realizują wolę papieża: są przecież synodalni. Kardynał Mario Grech zapytany w niedawnym wywiadzie o ocenę niemieckich poczynań powiedział, że nie do końca je zna, ale generalnie „ufa" biskupom za Odrą.

Dopuszczanie do głosu heretyków, apostatów czy osób po prostu niewierzą-

eprasa.pl 4d36b1cd49

cych wydaje się szaleństwem, ale w tym szaleństwie jest metoda: dokumenty Sekretariatu Synodu wymagają tego od wszystkich biskupów na świecie. Franciszek i kard. Grech zobowiązali cały Kościół do wysłuchiwania głosu dosłownie każdego, kto chce mówić – niezależnie od jego związku z katolicyzmem czy jakąkolwiek inną religią. „Marzenia" i „sny" protestantów czy muzułmanów uznane zostały za przestrzeń, w której może być słyszalne wołanie Ducha Świętego. Oczywiście nikt nie może ograniczać Bogu możliwości mówienia do człowieka. Problem w tym, że proces synodalny, choć ma na sztandarach wzajemne słuchanie, w istocie niebezpiecznie przekracza granicę wzajemnego… pouczania się.

W dokumentach synodalnych i kluczowych wystąpieniach papieża niewiele słyszymy o zasadzie hierarchiczności w Kościele. Dominuje myślenie egalitarne. Już w 2015 r. w przemówieniu z okazji 50-lecia instytucji Synodu Biskupów Franciszek stwierdził, że Kościół ma strukturę „odwróconej piramidy". Jak dodawał w roku 2019 jeden z najbliższych współpracowników papieża, kard. Óscar Rodríguez Maradiaga, w tym obrazie, w którym papież nie jest już na szczycie, chodzi o to, by „decentralizować" władzę w Kościele. Nie były to czcze słowa. W cytowanym przemówieniu do diecezjan Rzymu papież Franciszek powtórzył tę myśl. „Jest tak wiele oporu, by przezwyciężyć obraz Kościoła sztywno podzielonego pomiędzy przywódców a poddanych, pomiędzy tych, którzy nauczają, a tych, którzy są uczeni. […] Kościół synodalny przywraca horyzont, z którego wschodzi Chrystus […]. Pasterze idą z ludźmi: my, pasterze, idziemy z ludźmi, czasem z przodu, czasem środkiem, czasem z tyłu" – powiedział. Jeżeli mielibyśmy potraktować te słowa poważnie – a nie widać powodu, by tego nie zrobić – to mielibyśmy do czynienia z praktycznym zaprzeczeniem samej natury Kościoła.

Dokumenty synodalne starają się uzasadnić tę rewolucyjną ideę Pismem Świętym. Spotkamy w nich odwołania do Ewangelii i Dziejów Apostolskich. Sekretariat Synodu stawia nam przed oczami trzy obrazy: Pana Jezusa i Samarytankę, Pana Jezusa i kobietę kananejską, Piotra i Korneliusza. Pan Bóg rzeczywiście posłużył się tym trojgiem nie-Żydów, by ukazać szerzej Prawdę. Rzecz jednak w tym, że we wszystkich tych scenach istnieje właśnie radykalny podział na nauczających i nauczanych. Chrystus poucza kobiety, a Korneliusz sprowadza do siebie Piotra, by to on go nauczał. Czytelnik dokumentów Sekretariatu Synodu ma wrażenie, że Pismo Święte jest pospiesznie i na siłę wciskane w nowy model Kościoła, który w istocie nijak nie przystaje do katolicyzmu.

Wszystko, do czego zachęca nas papież, ujęte jest w piękne ramy, tak miłe demokratycznemu człowiekowi: wsłuchiwanie się w głos ludu. Wyczuwamy tu jednak poważne fałszerstwo. Po pierwsze, to wysłuchiwanie musi zakończyć się w ciągu zaledwie kilku miesięcy: Stolica Apostolska dała biskupom na świecie czas od połowy października zaledwie do kwietnia, by przebadać „marzenia" i „sny" wszystkich ludzi, którzy tylko zechcą się nimi podzielić! To z góry wyklucza poważną organizację procesu. Po drugie, można mieć bardzo poważne wątpliwości, czy głos ludu w rzeczywistości dotrze do celu. Zanim trafi z parafii do Watykanu, przejdzie bowiem przez pracę redakcyjną, kolejno: delegata biskupa, biskupa, Konferencji Episkopatu, Sekretariatu Synodu, kolegium biskupów obradujących na szczeblu kontynentalnym, ponownie Sekretariatu Synodu; biskupów zgromadzonych na synodzie w Rzymie, papieża. Bardzo dużo okazji do tego, by zręczni eksperci od synodalności wydobyli z tego ludowego głosu to, co im się podoba, a ukryli to, co nie pasuje do ich wizji.

DWA MODELE

Czym zatem zakończy się globalny proces synodalny? Podczas gdy biskupi w większości krajów świata będą w najbliższych miesiącach gorączkowo organizować atrapy konsultacji synodalnych, w niektórych miejscach są już wypracowane konkrety. To nie tylko kraje niemieckojęzyczne, dysponujące wieloma obszernymi dokumentami Drogi Synodalnej. To także kraje Ameryki Łacińskiej, gdzie proces synodalny, obejmujący cały kontynent i Karaiby, ruszył już rok temu; zupełnie jakby tamtejsi decydenci dobrze wiedzieli, co szykuje papież. Podejrzewam, że w efekcie Kościół powszechny otrzyma jako wzorzec dwa modele: niemiecki – przeznaczony dla bogatszych państw Zachodu, latynoamerykański – dla uboższych krajów Ameryki Południowej, Afryki i Azji. Co istotne, w kluczowych aspektach – takich jak moralność seksualna, rola kobiet czy rozumienie kapłaństwa – oba te modele są zaskakująco zbieżne.

W ten sposób powstanie Kościół przyszłości: synodalny, to znaczy programowo bezkształtny, otwarty na wpływ współczesnych ideologii. Początkowym efektem będzie najpewniej dalsze pogłębienie atomizacji katolików. Kościół katolicki już dzisiaj przypomina coraz bardziej wspólnoty protestanckie, dzielące się co do doktryny i praktyk duszpasterskich w zależności nie tylko od regionu, lecz także nawet od wrażliwości danej grupy. Jedni odrzucają homoseksualizm, inni go popierają; jedni zwalczają aborcję, inni uznają ją za prawo człowieka. To dawniej protestancka, dzisiaj coraz częściej i katolicka norma. Wierzący w niemieckim Essen nie mają wiele wspólnego z tymi z Rzeszowa, a w Waszyngtonie w USA – z katolikami w togijskim Lomé. Proces synodalny może to silnie wzmocnić. Oczywiście – do czasu. Rewolucjoniści godzą się na istnienie takich podziałów tylko dlatego, że nie są w stanie przemocą narzucić wszystkim własnej wizji wiary. Gdy tylko czują, że są w stanie to zrobić, nie wahają się ani chwili – pokazuje to historia walki z tradycyjną Mszą Świętą, od bezwzględnych zakazów św. Pawła VI do „Traditionis custodes" Franciszka. Globalny proces synodalny może dać im po prostu dodatkowe narzędzia do wywierania presji.

SPOWOLNIĆ MARSZ

Proces synodalny będzie się toczyć także w Polsce. Nie mamy w tym momencie zdolności do zatrzymania destrukcyjnych tendencji. Jesteśmy jako Polacy pozbawieni realnych wpływów w Kurii Rzymskiej, nasz kraj nie ma odpowiedniego potencjału geopolitycznego, wreszcie Kościół nad Wisłą zmaga się po prostu z własnymi olbrzymimi problemami, od kryzysu nadużyć do coraz bardziej odczuwalnego kryzysu powołań. Możemy jednak spowalniać marsz. Polscy biskupi – bo to na nich spoczywa ciężar odpowiedzialności – muszą zamanifestować zdecydowane przywiązanie do autentycznej natury Kościoła, nie godząc się na żadne ustępstwa w stronę protestantyzacji, jaką jest w istocie synodalność. Historia Kościoła wielokrotnie pokazała, że opór i przykład niewielu, o ile rzeczywiście niezłomny, jest na wagę złota. Jesteśmy zobowiązani, by się na to zdobyć.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4d36b1cd49

Raport hańby czy atak na Kościół?

Tomasz Rowiński

Ze społeczności wiernych wydzielona została zbiorowa ofiara, a Kościół jest utrwalany w pozie zbiorowego agresora. I tak ograniczony zakres tragicznych zdarzeń ulega przekształceniu w medialnych narracjach poprzez słowa takie jak „horror" czy „potop"

Powołana w listopadzie 2018 r. przez episkopat francuski niezależna komisja mająca zbadać zasięg przemocy na tle seksualnym w Kościele katolickim w tym kraju 5 października 2021 r., po niemal trzech latach prac, ogłosiła liczący ok. 2,5 tys. stron raport. Episkopat francuski wydał na działania tej komisji ok. 4 mln euro. Komisja miała nie tylko ustalić zasięg seksualnego molestowania, lecz także przede wszystkim przyczyny ich występowania oraz sposób reakcji Kościoła na ich pojawianie się w latach 1940–2020. Nie wszystkie te zadania zostały zrealizowane w tym samym stopniu.

Zajmijmy się najpierw suchymi liczbami, które w pierwszej kolejności zostały przekazane opinii publicznej. Komisja – choć powołana przez francuskich biskupów i zgromadzenia zakonne – działała niezależnie od Kościoła. Taki był plan i zostało to zrealizowane. Składały się na nią 22 osoby o interdyscyplinarnym wykształceniu – od teologów przez socjologów i historyków do prawników i lekarzy. Zespół miał szeroki dostęp do archiwów zarówno świeckich, jak i kościelnych. Mniej więcej po roku działania uruchomiono także telefon, pod który mogły dzwonić osoby uważające się za ofiary jakiejś formy napastowania seksualnego.

ATAK? REWANŻ?

Ogólne dane przedstawione przez raport informują o 216 tys. osób molestowanych przez księży i zakonników. W raporcie umieszczono także informacje o ofiarach świeckich pracowników Kościoła. Po dodaniu tych przypadków komisja podała liczbę ok. 330 tys. przypadków napastowania. Wiele mediów, także w Polsce, sugerowało samymi nagłówkami, że jest to raport poświęcony pedofilii w Kościele. Jednak bardziej szczegółowy wgląd w dane przypomina informacje ze wcześniejszych raportów publikowanych w innych krajach. Referencyjny i pionierski raport episkopatu amerykańskiego z roku 2004, pod redakcją Johna Jaya, przygotowany przez kryminologów z Uniwersytetu Nowojorskiego, wskazywał na istniejącą w kościelnym kontekście dominację molestowania o charakterze homoseksualnej efebofilii. W 81 proc. przypadków ofiarami byli chłopcy, z czego ponad 50 proc. stanowili ci, którzy ukończyli 11 lat. W przypadku dorastających nastolatków nie mówi się już o pedofilii, co w nieunikniony sposób powinno przekierowywać dyskusję zarówno na poziomie psychopatologii zjawisk, socjologii, jak i dyscypliny kościelnej.

Francuski raport mówi, że aż 80 proc. ofiar stanowili właśnie chłopcy w wieku od 10 do 13 lat. Wynika z niego także, że ok. 60 proc. ofiar borykało się z trudnościami psychologicznymi w związku z tymi doświadczeniami. Jeśli chodzi o dynamikę przypadków napastowania, to aż 56 proc. miało miejsce w latach 1940–1969. Potem miała ona spadać razem z kurczeniem się Kościoła i dołującym uczestnictwem w jego życiu katolików francuskich. Raport mówi o zauważalnie niższej liczbie przypadków molestowania w regionach tradycyjnie katolickich, co można oczywiście tłumaczyć pozytywnie, a także w zgodzie z hermeneutyką podejrzeń. Po prostu w tych regionach zmowa milczenia musiałaby być większa. Jednak jaka jest

eprasa.pl 4d36b1cd49

FOT. ADOBE STOCK

przyczyna tych różnic, raczej nie da się już ustalić na podstawie raportu.

O charakterze opublikowanego dokumentu wiele mówią słowa szefa komisji Jeana-Marca Sauvé, które padły już po publikacji raportu. Sauvé podał, że zadeklarowane przez komisję 216 tys. przypadków obarczone jest marginesem błędu – plus minus 50 tys. To dużo. Oczywiście nie zmienia to faktu, że liczba osób, które doświadczyły jakiejś formy przemocy seksualnej w jednej z najbardziej wrażliwych sfer życia, jaką bez wątpienia stanowi religia, jest bardzo duża. Z drugiej strony trzeba dodać, że doświadczenie molestowania mogło mieć rozmaity charakter – od zbyt dociekliwych pytań o seksualność w konfesjonale do gwałtu. A jednak komisja zdecydowała się epatować opinię publiczną najwyższą z możliwych – choć opatrzoną wysokim ryzykiem błędu – wartością oddającą liczbę zebranych świadectw. Tak podana informacja – szczególnie w kontekście szczegółowych danych – musi być rozważona jako rodzaj ataku, może rewanżu na instytucji kościelnej.

Trzeba bowiem pamiętać, że raport ma charakter szacunkowy, komisja nie miała przecież możliwości poważnego zweryfikowania tak dużej liczby przypadków, których rozpoznanie musiało mieć rozmaitą metodologię. Czym innym jest sprawa zbadana przez władze kościelne czy świeckie i opisana w dokumentach, a czym innym świadectwo złożone telefonicznie po wielu dziesięcioleciach, w reakcji na pojawienie się komisji. Nie chodzi tu o podważanie ludzkiego doświadczenia, ale o świadomość nieporównywalności zarówno wiarygodności – historycznej, nie mówiąc o procesowej – świadectw, jak i rozmaitości ciężaru gatunkowego samych czynów. Na te kwestie metodologiczne wskazuje nie tylko niepewność szacunków zadeklarowana przez Sauvé, lecz także komentarze eksperckie, które pojawiły się w mediach.

W wywiadzie dla „Le Figaro" Jean-Marie Guénois, dziennikarz specjalizujący się w sprawach nadużyć seksualnych, dość jasno, choć nie wprost, podsumował metodologię raportu. Raport Sauvé można, jego zdaniem, zweryfikować, jedynie zestawiając go z raportami z innych krajów. To znaczy, że jest on przede wszystkim usystematyzowanym statystycznie zapisem nieporównywalnych danych. Guénois w pewien sposób relatywizuje znaczenie mocnego medialnego uderzenia, jakim było ogłoszenie liczby 330 tys. ofiar, nie relatywizując cierpień ludzi. Mówi on, że Francja miałaby według raportu szacunkowo ok. 4 proc. ofiar kleru w stosunku do ofiar całego społeczeństwa, podczas gdy w innych krajach według raportów było to nawet 7 proc. Guénois mówi także, że ok. 4 proc. Francuzów było ofiarami jakiejś napaści seksualnej. Zatem traumy spowodowane przez ludzi Kościoła, jak widać, miały ograniczony charakter.

Problemem Kościoła była, według raportu, obojętność biskupów na słabsze sygnały wysyłane przez ludzi. Wedle francuskich komentatorów nie da się ustalić, czy rok 1968 był rzeczywiście momentem seksualizacji życia Kościoła i rozlania się złych praktyk, natomiast Guénois uważa, że pośrednio konsekwencje rewolucji seksualnej są zauważalne w tym, co nazywa załamaniem się dyscypliny kościelnej w latach 70. i 80. Dopiero po 2000 r., gdy poprzez media dochodzi do upublicznienia przypadków przestępstw seksualnych księży, sytuacja się poprawia. We francuskich komentarzach pojawia się także hipoteza, że to już lata 50., a nie 60. były czasem wewnętrznej seksualizacji życia kościelnego, która wpłynęła na wzrost liczby różnych form napaści seksualnej.

KILKA WNIOSKÓW

Jakie jednak wnioski należy wyciągnąć z raportu?

1. Liczba podana w raporcie wygląda na wysoką, ale plasuje Francję w niższych stanach przestępczości w porównaniu z krajami, które zrobiły podobne raporty.

2. Przyczyny takiej przestępczości nie zostały bliżej wyjaśnione, być może należałoby przyjrzeć się wątkowi homoseksualnej efebofilii i infiltracji Kościoła przez grupy homoseksualne.

3. Rzeczywiście biskupi wykazywali się niską reaktywnością szczególnie na słabsze sygnały. Tu ciekawym przypadkiem jest historia dominikanina Marie-Dominique'a Philippe'a, założyciela męskiego zgromadzenia Wspólnoty św. Jana i duchowego przewodnika Jeana Vaniera, założyciela Wspólnoty Arka. M.D. Philippe został obłożony karami kościelnymi w latach 50., a w kolejnych dekadach tak jakby o nich zapomniano – być może uważano, że czasy przed Soborem Watykańskim II charakteryzował rygoryzm, który należy odrzucić.

4. Kościół w porównaniu z innymi instytucjami wykazuje się odwagą w ujawnianiu sfery nadużyć, dziś mamy coraz więcej raportów.

5. Teza o „zamiataniu pod dywan" jest anachroniczna. Dziś wiemy, jak powinno się postępować w przypadku przemocy seksualnej, kiedyś był to w znacznej mierze temat tabu.

To jeszcze nie wszystko. Kościół nie powinien godzić się na statystyczne ujednolicanie ofiar niezależne od rodzaju zdarzenia, a zdaje się, że taki obraz kształtuje raport Sauvé. Ze społeczności wiernych wydzielono część, z której uczyniono zbiorową ofiarę o jednej tożsamości. Tymczasem obraz Kościoła, tym razem jako całości, jest utrwalany w pozie zbiorowego agresora. I tak ograniczony – co widać w skali procentowej – zakres tragicznych zdarzeń ulega przekształceniu w medialnych narracjach poprzez słowa takie jak „horror" czy „potop". W konsekwencji Kościół staje się po prostu „piekłem". Według medialnych informacji raport został w Polsce przyjęty jako coś wybitnie przerażającego, podczas gdy mieści się on w smutnej przeciętnej, a nawet poniżej jej, statystyki molestowania seksualnego w kulturze zachodniej. Kościół we Francji za raport podziękował i zapewne wyciągnie z niego konsekwencje, ale obrazy medialnych „narracji grozy" pozostaną niestety w naszych głowach.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4d36b1cd49

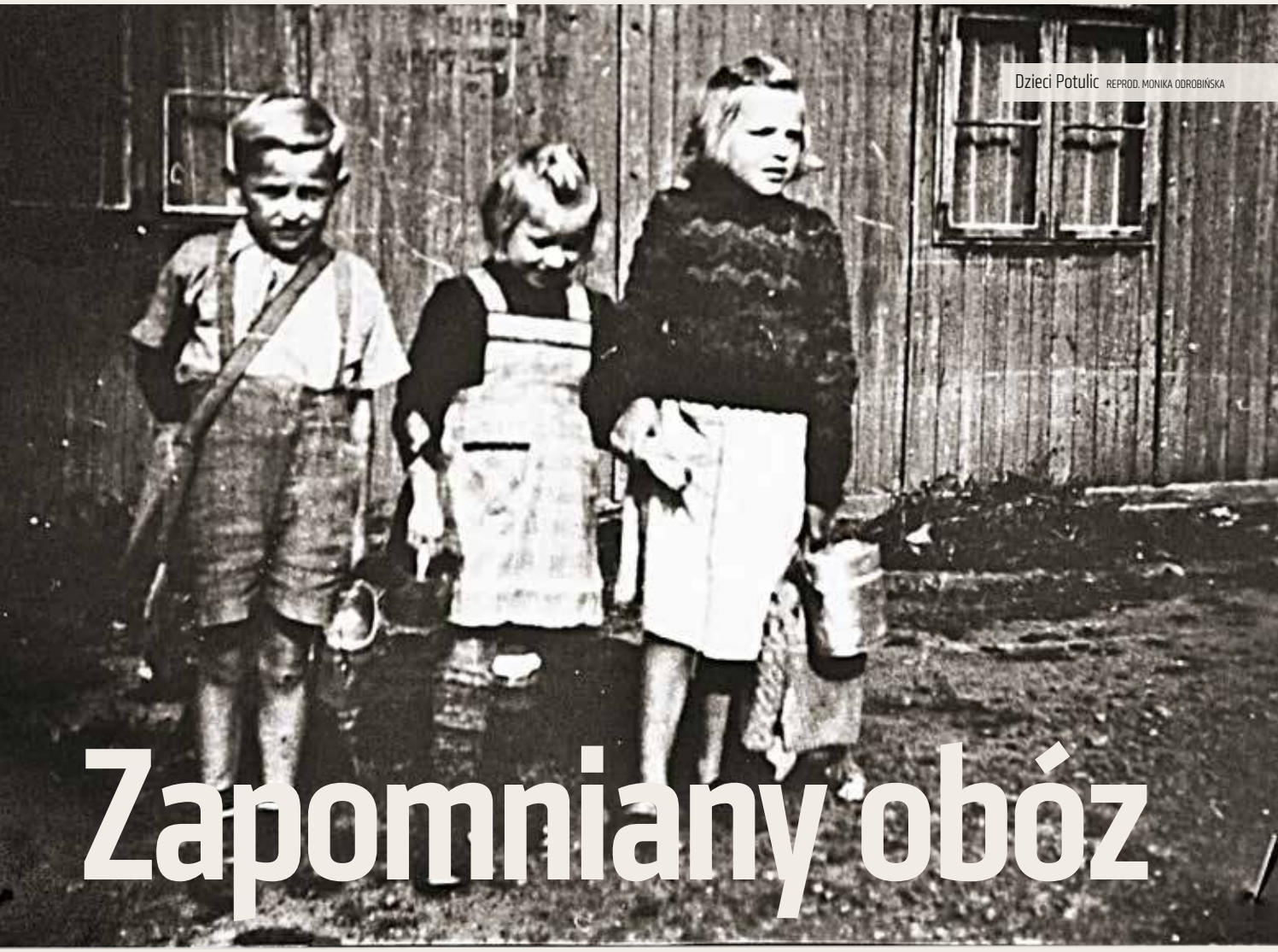

Dzieci Potulic REPROD. MONIKA ODROBIŃSKA

Zapomniany obóz

Monika Odrobińska

Więźniów obozu w Potulicach dopiero w roku 1991 zaczęto traktować jak więźniów obozów koncentracyjnych. Faktycznie od tych ostatnich różnił go jedynie brak komór gazowych i krematoriów. Dzieci bez rodziców były w nim zostawione w większości na pastwę oprawców

Po wybuchu drugiej wojny światowej niektórzy sami uciekali z domów. Najczęściej przemieszczali się w głąb kraju, ale gdy po ustaniu walk kampanii wrześniowej niektórzy wracali, ich domy były już zajęte. Hitler nie wierzył w możliwość asymilacji „członków wysokowartościowego narodu" wśród rdzennej, „mniej wartościowej" ludności. Aby uniknąć konfliktów międzypaństwowych na tym tle, chciał wszystkich Niemców skupić na jednym terenie. Znacznie przekraczał on granice Niemiec, dlatego tę „przestrzeń życiową" należało poszerzyć. Wypędzanych na początku Polaków umieszczano w rozrastającej się sieci obozów przesiedleńczych z centralami w Poznaniu, Łodzi, Gdańsku, Katowicach i Zamościu.

W czasie pierwszych kilkunastu tygodni wojny, „dzikie", czyli niezorganizowane wysiedlenia ustąpiły miejsca systemowym, wszak planowane wobec 8 mln Polaków i Żydów, czyli 80 proc. ludności zamieszkującej tereny II RP wcielonej do Niemiec, były jeszcze przed wybuchem wojny. Pozostali wykazujący proniemieckie postawy Kaszubi, Mazurzy czy Ślązacy mieli ulec zniemczeniu; ci, którzy się do tego „nie nadawali", mieli zostać niewolnikami. Młodzi i zdrowi wywożeni byli na roboty do Niemiec, a dzieci o wyglądzie aryjskim szykowane były dla niemieckich rodzin, reszta – do eksterminacji. Wypędzani mieli kilkanaście minut na zabranie niezbędnej odzieży i przedmiotów codziennego użytku oraz jedzenia na drogę. Ostatnie szacunki mówią o 2,5 mln wysiedlonej przez Niemców ludności polskiej.

TRZY PACZKI

– Tata był kuczerem, czyli woźnicą zarządcy zajętego przez Niemców

eprasa.pl 4d36b1cd49

majątku hr. Potulickiej w Potulicach – mówi Stanisław Rosada z Nakła (rocznik 1935). – Codziennie o godz. 7 czekał już powózką pod dworem i mógł obserwować ukradkiem pracujących tam więźniów z obozu. Z czasem udało mu się nawiązać z nimi kontakt. Od kiedy Niemcy ich aresztowali i wywieźli z Wejherowa i Kartuz, ich rodziny nie wiedziały, co się z nimi dzieje. Tata brał od nich potajemnie listy, by potem w miasteczku nadać do wysyłki. Korespondencja kwitła w obie strony. Niemiec, którego ojciec obwoził, nie wiedział, że pod wozem są zakazane przesyłki.

Stanisław Rosada urodził się w Potulicach. Pięcioosobowa rodzina zajmowała mieszkanie zaraz przy ulicy: pokój z kuchnią i korytarzykiem. Od lutego 1941 r. widział co jakiś czas pędzone pod oknami transporty do obozu – tłum wyczerpanych, wygłodniałych więźniów był pędzony 7 km od stacji kolejowej w Nakle nad Notecią. – Wtedy mama kromki upieczonego przez siebie chleba zawijała w gazetę „Deutsche Rundschau" i mówiła: „Rozdaj im ten chleb, a uważaj, żeby cię Niemcy nie zastrzelili". Więc rzucałem im z kucek te pakuneczki, a oni chwytali łapczywie. To samo robiła jeszcze jedna kobieta, ale dostrzegł ją Niemiec i kolbą karabinu złamał jej rękę.

Zanim wysiedleńców wsadzono do pociągów wiozących do obozu, na rynku pojawiała się grupa Niemców, głównie z Besarabii. – Brali od Polaków tabliczki z numerem gospodarstw, po czym jechali je zająć jak swoje. Wchodzili pod jeszcze ciepłą polską pierzynę – mówi historyk z Muzeum Ziemi Krajeńskiej Mariusz Gratkowski. – Proces ten trwał do czasu, gdy na tereny te wchodzili już Rosjanie. Willę Anna w Nakle zajął niemiecki lekarz, zamordowany potem w Fordonie VI. Wiele lat po wojnie przyjechała tu jego spadkobierczyni i pytała, czy Polacy mają uregulowane stosunki własnościowe nieruchomości. Wówczas właścicielka sprostowała, że to Niemcy dzierżawili willę, podobnie jak wszystkie inne gospodarstwa powierzone im przez III Rzeszę, a ich prawowitymi przedwojennymi właścicielami są Polacy. Nie ma co kłaść uszu po sobie i warto dowodzić prawdy w tym zakresie.

Nie inaczej było z pałacem i całym majątkiem hr. Potulickiej w Potulicach, który po wybuchu wojny Niemcy po prostu zasiedlili. – Na drugim piętrze urządzili szwalnię szyjącą mundury i torby na

Tablica przed niegdysiejszym wejściem do obozu, a dziś – wejściem do aresztu FOT. MONIKA ODROBIŃSKA

wyposażenie dla wojska, a na pierwszym – szkołę SS, w której żołnierze uczyli się zaprowadzania okupacji – tłumaczy Monika Schulz-Kraińska, historyk i dyrektor Szkoły Podstawowej im. Dzieci Potulic w Potulicach, gdzie prowadzi Izbę Pamięci. – W lutym 1941 r. Niemcy postanowili utworzyć w pałacu obóz dla wysiedlanych Polaków. Gdy więźniowie przestali się w nim mieścić, choć na trzypiętrowych pryczach każdy miał dla siebie ledwie metr wysokości, Niemcy zdecydowali się rozbudować obóz. Początkowo nie było nawet ogrodzenia z drutu kolczastego, tylko żołnierze chodzili z karabinami. Zbyt często jednak zdarzało się, że okoliczni mieszkańcy przerzucali paczki, i w 1942 r. powstało ogrodzenie z zasiekami.

Trzydzieści cztery baraki zbudowali sami więźniowie. – Prymitywnymi narzędziami utwardzali ziemię, tłukli tłuczeń, kładli szyny i lorki – platformy kolejowe – mówi Stanisław Rosada. – Niemiec nikomu darmo jeść nie da. Ale też nikt z nas do obozu się nie pchał.

W czerwcu 1943 r. na pocztę w Potulicach przyszły trzy paczki na nazwisko Rosada. – Placówkę obsługiwał Niemiec, który brał od nas mleko i chleb, ale nawet on nie mógł nas wybronić w czasie rewizji – mówi pan Stanisław. – Bo w jednej z tych paczek był list o treści: „Panie Rosada, proszę to dostarczyć inżynierowi, który stawiał barak". No i nas naszli. Stałem przed domem, gdy usłyszałem: „Co tu robisz, przeklęty psie?!". Odepchnęli mnie, a ja tylko pomyślałem: „Oby nie otworzyli szafoniery". Tam tata przechowywał listy przykryte niemiecką gazetą. Bóg im chyba oczy zakrył, bo ich nie zauważyli, mimo to rodziców aresztowali – za tę paczkę, od której nie dało się wyłgać. Gdy wyszli, wszystkie listy z szafoniery wrzuciłem do pieca.

Rodziców pana Rosady Niemcy trzy dni trzymali w karcerze, urządzonym w piwnicy potulickiego pałacu. – Mama znała pałac, bo przed wojną pracowała u hrabiny w kuchni. Teraz jednak siedzieli z ojcem na lichych taborecikach w wodzie po kostki, przymierali głodem i oganiali się od szczurów jedzących zwłoki i ostrzących zęby również na nich – relacjonuje ich syn Stanisław. – Niemcy ich przesłuchiwali, ale oni szli w zaparte, więc po trzech miesiącach zostali wywiezieni do Stutthofu, a potem z powrotem do Potulic.

Dzieci tymczasem zostały same. Szczęśliwie parę domów dalej mieszkały obie babcie, które do nich zaglądały. – Trzy dni po aresztowaniu rodziców Niemcy obstawili wszystkie budynki i wypędzili z nich ludzi – wspomina Stanisław Rosada. – Nasze mieszkanie od razu zajęli niemieccy wachmani, całą wioskę tymczasem stawiali w czwórki i zaczęli pędzić do obozu. Nie bałem się, bo nie wiedziałem, co nas czeka. Poza tym byłem z ludźmi ze wsi.

DYŻURNA TRUMNA

Nowym więźniom przyznano numery obozowe, które ci nosili na tabliczkach zawieszonych na szyi. Gdy ich spisali, odesłali do łaźni: starych, młodych, dzieci, kobiety, mężczyzn – wszystkich naraz. Ich rzeczy wzięli do odwszawienia. Cała potulicka wioska zajęła barak numer 18. – Na ośmiu dostawaliśmy dwukilogramowy chleb i litr wodnistej zupy, repeta na nią mówiliśmy, mleka wcale nie było, czasem dali kaszy na

eprasa.pl 4d36b1cd49

wodzie – wspomina Stanisław Rosada. A Monika Schulz-Kraińska dodaje: – Jeśli pojawiało się mięso, to psie, zdarzały się też świńskie kości. W zupie pływały robaki. Ziemniaki pojawiły się tylko raz – gdy przyjechała kontrola, ale więźniom nie wolno było ich ruszyć.

Raport dr. Leona Konkolewskiego mówi, że w pewnych momentach warunki bytowania w potulickim obozie były gorsze od warunków w obozach koncentracyjnych. Przykładowo przez cały 1943 r. zabronione było dostarczanie więźniom paczek, a w nich znajdowało się głównie jedzenie mogące uzupełnić otrzymywane z kuchni 800 kilokalorii dziennie. Dla porównania w Stutthofie więźniowie wraz z posiłkami dostawali 1,3 tys. kilokalorii. Tak głodowe racje skutkowały chorobami, głównie gruźlicą, ale przez obóz przeszły też epidemie: odry, dyfterytu, płonicy i biegunki. Na kilka tysięcy więźniów przysługiwała ilość leków, którą pomieściłaby jedna teczka. Ciężarne rodziły w barakach na słomie. Dzieci zazwyczaj krótko po narodzinach umierały.

Przez trzy miesiące rodzeństwem Rosadów zajmowała się siostra ich mamy. We wrześniu do obozu przywieziono także ich rodziców. – Mama została zatrudniona w maciarni, wyplatała kapcie i torby z mokrej słomy, a tata nadzorował grupę 30 chłopców zbierających jagody, maliny czy grzyby – wspomina Stanisław Rosada. – Wychodziliśmy, bo ja byłem w tej grupie, o godz. 7, a wracaliśmy o godz. 21. Do lasu szliśmy nawet 20 km, aż pod Bydgoszcz. Ale mnie to nie przeszkadzało, wreszcie był ze mną tata, a on znał okolicznych gospodarzy, którzy w zamian za owoce dawali nam po ziemniaku. No i byliśmy wolni, a nie za drutami.

– Dzieci w wieku od dwóch do czterech lat „pilnowały się" same – mówi Monika Schulz-Kraińska. – Dzieci między piątym a dwunastym rokiem życia zbierały leśne owoce dla Niemców. Gdy wracały ze zbiorów, przy bramie każde z nich musiało pokazać język. Jeśli nosił ślady zjedzonych owoców, to dziecko dostawało karę, a kary były dotkliwe. Szczególnie lubił je wymierzać Wojciech Jopek, volksdeutch, który z lubością topił maluchy lub roztrzaskiwał je o ściany.

Dzieci padały jak muchy – jeśli nie zakatowane przez oprawców, to z powodu horób, głodu, zimna, a najczęściej pewnie z tęsknoty za rodzicami,

Stanisław Rosada urodził się i do lat 60. mieszkał w Potulicach FOT. MONIKA ODROBIŃSKA

którym je wyrwano. Jedna z więźniarek wspominała, że gdy trafiła do obozu, miała 3,5 roku. Gdy z resztą maluchów wracała do obozu, dzieci trzymały się za ręce, by nie upaść, bo idąc… spały. Takie wycieńczenie prowadziło do licznych zgonów. Niektóre cyklicznie odwiedzały szpital, inne już z niego nie wychodziły. Najmłodsza siostrzyczka Stanisława Rosady, Zosia, trafiła do obozu w wieku trzech miesięcy. – W dziewiątym miesiącu życia dostała w buzi „betki", grzybicy, i od tych krost się udławiła – wspomina starszy brat. – Została pochowana na cmentarzu za obozem, dziś to cmentarz ofiar drugiej wojny światowej w Potulicach. Ludzi chowano wtedy nago do jednej z trzech dyżurnych trumien z otwieranym dnem. Po tym, jak więźniowie wywieźli je na cmentarz, uchylali wieko, a ciała spadały do dołu. Niepełnosprawnych, niemowy, chorych z baraku 19. wywozili z kolei do krematorium w Auschwitz-Birkenau.

CZYJ WYRZUT SUMIENIA?

Niedługo trwała „turystyka dożywiająca" do lasów i gospodarstw pod opieką ojca p. Stanisława. – Po kilku tygodniach Niemiec wezwał naszego kapo i zapytał: „Czemu wy takiego zbrodniarza na zewnątrz wypuszczacie?", i się skończyło. Kapo na szczęście załatwił tacie pracę w kuchni, skąd czasem przyniósł nam chleba. A w 1944 r. przyszło zarządzenie, by dzieci do 12. roku życia zwolnić. Mnie zabrał do siebie brat mamy. Pasłem u Niemca pięć krów, a jego żona mnie dokarmiała. W pewnym momencie Niemiec znikł. Zbliżał się front wschodni i niebawem to Niemców mieli wywozić do obozu w Potulicach. Wtedy to ja żonie i dziecku tego Niemca podrzucałem przez druty jedzenie.

– Kiedy dzieciom uwięzionym w obozie w Potulicach zaczęli umierać rodzice, Niemcy postanowili je zwalniać, podobnie jak te, na które za drutami ktoś czekał – mówi Mariusz Gratkowski. – Przy okazji prowadzili selekcję: te, po które nikt się nie zgłosił, a które pozytywnie przeszły badania rasowe, były oddawane nowym niemieckim rodzicom w ramach zasilania germańskiej demografii, nadszarpniętej stratami wojennymi. Skala uprowadzonych z Potulic dzieci nie jest do końca znana, choć w bydgoskich archiwach znajdują się dokumenty, na podstawie których można to wywnioskować.

– Przez obóz w Potulicach przeszło ok. 25 tys. osób, choć to z pewnością liczba niedoszacowana – mówi Monika Schulz-Kraińska. – Jego historia nie skończyła się jednak wraz z końcem wojny. W latach 1945–1949 znajdował się tam Centralny Obóz Pracy dla Niemców, powołany przez wydział Więziennictwa Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Zginęło w nim blisko 3,5 tys. Niemców, których zwłoki wrzucano do dołów na wyrobisku po piasku. Ostatecznie zamieniono je w wysypisko śmieci. W 1951 r. powstał tam zakład karny, w którym od 13 grudnia 1981 r. nie przetrzymywano jednak kryminalistów, lecz internowano działaczy Solidarności regionów bydgoskiego i toruńskiego. W tej chwili jest miejscem odsiadki dla odbywających karę po raz pierwszy.

– Powojenna historia obozu w Potulicach nie została dokładnie przebadana – mówi Mariusz Gratkowski. – Niektóre niemieckie doniesienia mówią o panujących tam tragicznych warunkach, polskie – wręcz przeciwnie. Były więzień wspomina, że zza ogrodzenia słychać było głosy bawiących się dzieci. On tymczasem jako dwulatek „bawił się" tam, grzebiąc łyżką w ziemi za barakiem.

– Pamiętajmy, że o powojennych granicach Polski zdecydowały Teheran, Jałta i Poczdam plus zapewne mnóstwo innych paktów, o których się nigdy nie dowiemy – kontynuuje Mariusz Gratkowski. – Zanim Niemców, którzy przybyli tu przecież, by zawładnąć Polakami i ich majątkami, zaczęto z Potulic sukcesywnie wywozić do powstającego NRD, należało ich gdzieś zgromadzić. Powstał więc obóz, by nie pozbyć się ich tak, jak to robili Rosjanie – czyli przez zsyłkę.

Niestety, wciąż słychać głosy, które z miejsca polskiej martyrologii chcą uczynić symbol polskiego wyrzutu sumienia. A on, owszem, może stanowić wyrzut sumienia, ale okupujących nas wówczas Rosjan. Bo tak potoczyła się nasza historia – spod jednej okupacji trafiliśmy pod kolejną, tymczasem z najtragiczniejszych jej wydarzeń rozlicza się nas, Polaków.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4d36b1cd49

NIKiDW
NARODOWY INSTYTUT KULTURY I DZIEDZICTWA WSI

KORZENIE I SKRZYDŁA

KONKURS NA NAJLEPSZĄ PRACĘ MAGISTERSKĄ I DOKTORSKĄ NA TEMAT KULTURY I DZIEDZICTWA OBSZARÓW WIEJSKICH

Edycja I - 2021 rok

Termin składania prac

30 listopada

na adres mail:

konkurs.mgr-dr@nikidw.edu.pl

Organizator:

NIKiDW
NARODOWY INSTYTUT KULTURY I DZIEDZICTWA WSI

Patronat Honorowy:

GRZEGORZ PUDA MINISTER ROLNICTWA I ROZWOJU WSI

Minister Edukacji i Nauki

Polski Komitet do spraw UNESCO

IOV WORLD International Organization of Folk Art

Rada ds. Niematerialnego Dziedzictwa Kulturowego przy Ministrze Kultury, Dziedzictwa Kulturowego i Sportu

Patronat:

Forum Muzyki Tradycyjnej

Komisja Folklorystyczna Komitetu Nauk Etnologicznych PAN

polskie seminarium etnomuzykologiczne

POLSKIE TOWARZYSTWO SOCJOLOGICZNE

Instytut im. Oskara Kolberga

Oddział Muzeum Narodowego we Wrocławiu

Patronat Medialny:

GAZETA POLSKA

KulturaLudowa.pl

MuzykaTradycyjna.PL

Pismo Folkowe

kalendarz ROLNIKOW.PL

eprasa.pl 4d36b1cd49

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Od Renault do Abramsa

Polski rząd zapowiedział niedawno, że kupi od Amerykanów kilkaset czołgów Abrams. Każdy taki pojazd jest prawdziwą ruchomą fortecą. Uzbrojony w armatę, która mogłaby zdmuchnąć spory budynek, i kilka karabinów maszynowych. Wyposażony w potężny silnik i nafaszerowany supernowoczesną elektroniką.

Cóż za kontrast z tym, jak wyglądały pierwsze czołgi Wojska Polskiego! Mowa o produkowanych ponad 100 lat temu Renault FT. Maszynom tym swoją nową książkę poświęcił znakomity ekspert Adam Jońca. Po zakończeniu wielkiej wojny Francja część czołgów Renault przekazała siłom zbrojnym swojej sojuszniczki w Europie Wschodniej – czyli Polski.

Czołg ten ważył mniej więcej 10 razy mniej niż Abrams. Wyposażony był w karabin maszynowy w obrotowej wieżyczce lub w armatkę Puteaux 37 mm. Napędzał go czterocylindrowy gaźnikowy silnik o mocy 39 KM. Pojazd mógł rozpędzić się maksymalnie do… 7,78 km/h. Mimo to Renault potrafił siać spustoszenie na ówczesnych polach bitew, na których ścierały się przecież do tej pory masy piechoty i konnica.

1. Polski Pułk Czołgów został sformowany we Francji i w połowie 1919 r. rozpoczął się przerzut jednostki do Polski. Chrzest bojowy maszyny przeszły 27 sierpnia pod Bobrujskiem. Przeciwnikami byli oczywiście bolszewicy, którym czołgi spuściły srogie lanie. Akcją dowodził jeszcze oficer francuski, załogi czołgów były mieszane – polsko-francuskie.

Pod koniec września czołgi zostały skierowane pod Dyneburg w Inflantach Polskich. I znowu sprawdziły się znakomicie. Ale bolszewickim artylerzystom udało się trafić i uszkodzić dwa czołgi. Polskie renault walczyły dzielnie przez całą wojnę z bolszewikami. Potem służyły w Wojsku Polskim aż do upadku Rzeczypospolitej. W kampanii 1939 r. wzięły udział trzy kompanie Renault.

★★★★★★
ADAM JOŃCA
„RENAULT FT" CZ. 1–2
VESPER

Największym atutem dwuczęściowego albumu Adama Jońcy są zdjęcia. Setki niesamowitych fotografii przedstawiających polskie czołgi i ich załogi. Do tego rysunki techniczne, niezwykle fachowy opis uzbrojenia i wyposażenia. No i barwny opis działań bojowych. Uczta dla każdego miłośnika wojskowości! ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Antoś filmowiec

Antoni Fertner, znakomity aktor komediowy, poznał rosyjskie sceny teatralne jeszcze przed wybuchem pierwszej wojny światowej. Brał udział w różnego rodzaju eskapadach artystycznych odbywających się na dawnych ziemiach Rzeczypospolitej, które jednak nie zawsze były dobrze przygotowane, a promotorzy często nie płacili aktorom. W efekcie zdarzało się, że podróżowali pociągami bez biletów i znikali z hoteli, nie płacąc za noclegi. Wiadomości o ich postępkach rozchodziły się szeroko i w Słonimiu solidarnie odmówiono im wynajęcia pokoi. Ostatecznie zlitował się nad nimi miejscowy przedsiębiorca pogrzebowy i pozwolił spać w nieużywanych trumnach w swoim zakładzie.

Sytuacja się zmieniła, gdy Fertner zaczął występować w filmach kręconych nad Wisłą. Zaczęło się od tytułowej roli w jednym z pierwszych polskich obrazów – „Antoś pierwszy raz w Warszawie" (premiera 22 października 1908 r.). Film osiągnął tak wielką popularność, że nakręcono kolejne części, które wyświetlano również w Rosji. I w ten sposób „Antosza" stał się tam znanym aktorem, co bardzo pomogło, gdy w 1915 r. przymusowo znalazł się w Moskwie.

Był jednak poważny kłopot, gdyż mężczyzn w jego wieku powoływano do służby na froncie. Na szczęście Rosja uchodziła za jedno z najbardziej skorumpowanych państw ówczesnego świata, gdzie wszystko można było załatwić za pomocą znajomości i łapówek. Wobec tego odszukał swojego znajomego z Warszawy, hr. Eugeniusza Trolla, który uznał, że aktor może pełnić funkcję jego szofera. Ubocznym skutkiem całej sprawy był jednak fakt, że Fertner faktycznie musiał uczęszczać na kurs nauki jazdy, czego szczerze nie cierpiał.

Wkrótce potem zwrócił na niego uwagę Aleksander Chanżonkow, szef Towarzystwa Akcyjnego Chanżonkow i Co. Zaproponował rolę w filmie, a po jego komercyjnym sukcesie pozwolił Fertnerowi wybrać sobie scenariusz następnej produkcji. Pan Antoni zdecydował się na tekst oparty na francuskiej sztuce „Kawiarenka" Tristana Bernarda, zdjęcia trwały dwa dni, a film okazał się kolejnym triumfem.

Szybko osiągnął wielką popularność i podobno każdy „przechodzień moskiewskich ulic witał go jak dobrego znajomego". Dzięki temu chwilami czuł się „zupełnie jak właściciel Moskwy", a prasa miejscowa uznała go za „pioniera rosyjskiej kinematografii". Łącznie zrealizował około 40 filmów i gdy po latach z wizytą w Polsce przebywała sowiecka gwiazda filmowa Lubow Orłowa („Świat się śmieje" i „Wołga, Wołga"), to na widok Fertnera zaniemówiła, po czym rzuciła mu się na szyję z okrzykiem: „Witaj Antosza"… ©℗

eprasa.pl 4d36b1cd49

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

HISTORIA CHŁOPCA SPALONEGO PRZEZ SS

Piotr Włoczyk – **Niemiecka masakra w Lasach Janowskich**
Grzegorz Janiszewski – **Polowanie na Krügera**
Sławomir Koper – **Zagadka śmierci Wieniawy**
David Krajicek – **Dlaczego zamordowano żonę Polańskiego**
Piotr Zychowicz – **Dwa ludobójstwa: Wołyń i Rwanda**
Mikołaj Iwanow – **Czekista w Warszawie**
Jacek Bartosiak – **Wyścig mocarstw w kosmosie**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 4d36b1cd49

FOT. TOMAS TKACIK/ZUMA PRESS/FORUM

Premier Fiala?

Maciej Szymanowski

Wynik październikowych wyborów do Izby Poselskiej, który utorował czeskiej prawicy pod wodzą Petra Fialy powrót do władzy, ma dla Polski szczególne znaczenie. Czechy to czwarty największy partner gospodarczy Polski i sąsiad, z którym mamy najdłuższą granicę państwową

Z czysto arytmetycznego punktu widzenia triumfatorem wyborów do Izby Poselskiej (uwaga: nie do czeskiego Senatu, który rządzi się odmienną ordynacją i kalendarzem wyborczym i gdzie prawica od dawna ma większość) został ruch ANO premiera Andreja Babiša (72 mandaty). 71 posłów w 200-osobowej izbie niższej udało się jednak umieścić koalicji SPOLU (Razem), tworzonej przez trzy prawicowe partie, które sprawowały rządy nad Wełtawą wielokrotnie już wcześniej – ostatnio w latach 2010–2013. Wspomnianemu trójpartyjnemu blokowi partii nie udało się co prawda uzyskać bezwzględnej większości, ale posiada on koalicyjnego partnera w postaci ugrupowania stworzonego przez dwie inne partie: samorządowców ze STAN oraz zielonych liberałów Piraci, którym łącznie udało się zdobyć 37 mandatów. W sytuacji, kiedy dotychczasowi sojusznicy rządzącej ANO – czyli komuniści i socjaldemokraci – nie przekroczyli pięcioprocentowego progu wyborczego, szanse na dalsze sprawowanie rządów przez obecnego premiera zmalały do zera. Co prawda, czeskie media pełne są spekulacji, że z uwagi na łączącą prezydenta Miloša Zemana z Andrejem Babišem przyjaźń ten ostatni zapewne i tak otrzyma misję stworzenia nowego rządu, ale polityczna arytmetyka jest nieubłagana. Podobnie jak gasnące w oczach zdrowie 77-letniego prezydenta, który od wielu miesięcy więcej czasu spędza w szpitalu lub w domowym lazarecie niż na Hradczanach.

Z TUROWEM W TLE

Jak to często w życiu nie tylko politycznym bywa, ostatnie wybory w Cze-

eprasa.pl 4d36b1cd49

chach potoczyły się wbrew sondażom i dość powszechnym oczekiwaniom. Rygorystyczne antycovidowe obostrzenia i idące w ślad za tym zmęczenie społeczeństwa wcale aż tak bardzo nie odbiły się na popularności partii Andreja Babiša, która straciła w wyborach w sumie zaledwie kilka mandatów, zachowując pozycję najsilniejszej czeskiej partii.

Bezkompromisowa postawa premiera w toczonym z Warszawą sporze o Turów wytrąciła z rąk zielonych Piratów nośny temat, owocując do tego upokarzającą porażką jej lidera Ivana Bartoša z premierem w Usti nad Łabą – stolicy najbardziej zanieczyszczonego czeskiego województwa, zlokalizowanego tuż przy granicy z Polską. Przy okazji los Piratów, dysponujących jeszcze wiosną 30 proc. poparcia z powszechnie typowanym na przyszłego premiera Bartošem, dobrze pokazuje srogość wyroków demokracji nad ugrupowaniami, które za główny cel obrały sobie walkę z globalnym ociepleniem i unijny Zielony Ład w sytuacji najwyższych od dekady cen benzyny w Czechach i zapowiedzianych 40 proc. podwyżki cen energii elektrycznej. Stan posiadania Piratów w 200-osobowej Izbie Poselskiej nie tylko bowiem nie wzrósł, lecz także spektakularnie zmalał z 22 do zaledwie czterech mandatów.

Z polskiego punktu widzenia najważniejsze jest to, co sobą reprezentują główne partie, które przejmą wkrótce ster rządów nad Wełtawą

Z polskiego punktu widzenia najważniejsze jest oczywiście jednak to, co sobą reprezentują główne partie, które przejmą już wkrótce ster rządów nad Wełtawą. W skład trójkoalicji SPOLU wchodzi stworzona jeszcze przez Václava Klausa konserwatywna ODS, ciesząca się największym poparciem tradycyjnie w Pradze i jej najbliższej okolicy, chadecka KDU-ČSL, na którą równie tradycyjnie głosują przede wszystkim mieszkańcy słynących z produkcji wina południowych rejonów Moraw. Najsłabszym członem SPOLU jest partia TOP 09, która ideowo lokuje się gdzieś pośrodku wspomnianych, prawdopodobnie także z tego powodu, że w jej skład wchodzi wielu byłych polityków zarówno ODS, jak i KDU-ČSL.

MIŁOŚNIK SCRUTONA, WINA I FAJKI

Niekwestionowanym liderem koalicji SPOLU jest przewodniczący ODS profesor Petr Fiala, filozof, historyk sztuki, były rektor Uniwersytetu w Brnie, najpopularniejszy minister (ds. edukacji) w ostatnim prawicowym rządzie w Czechach, który po jego upadku wstąpił w 2013 r. do ODS, aby rok później stać się przewodniczącym partii. Dość nietypowym, trzeba przyznać, idącym pod prąd istniejącym współcześnie nie tylko w Czechach modom. Miłośnik niedawno zmarłego sir Rogera Scrutona, kultury wina, fajki i… nienagannie skrojonych garniturów. Związany z konserwatywnym Centrum Studiów nad Demokracją i Kulturą CDK w Brnie – od lat nieformalnej stolicy czesko-morawskiego konserwatyzmu – dzięki niespożytym siłom i pomysłowości Františka Mikša, konesera sztuki i prężnego wydawcy

REKLAMA

eprasa.pl 4d36b1cd49

czasopism i książek (również Legutki, Wildsteina czy innych guru polskiej prawicowej myśli), Fiala aktywnie włączył się w wir wysoce intelektualnych debat dotyczących kryzysu wartości podstawowych, zachodniej cywilizacji czy Kościoła katolickiego. Przez lata wydawało się, że w kraju kultu piwa, hokeja i religijnej obojętności taka postawa jest wszystkim, tylko na pewno nie przepustką do zdobycia większej politycznej popularności i władzy. A jednak…

Po latach rządów politycznie bardzo sprawnego, ale dość cynicznego, multimilionera, którym jest Andrej Babiš – notabene posługujący się chyba najgorzej językiem czeskim ze wszystkich dziesiątek tysięcy Słowaków osiedlonych nad Wełtawą – z wyglądu i manier przypominający wyciętego nieomal jak z XIX-wiecznego żurnala dla brytyjskich dżentelmenów prof. Petr Fiala okazał się całkiem strawną ofertą dla czeskiego wyborcy. Ofertą zaakceptowaną też przez szerokie spektrum świata politycznego, o czym świadczy nie tylko to, że pełni funkcję lidera we własnej trójkoalicji SPOLU, lecz także to, że zdominował drugi partyjny blok. Z pewnością pod wrażeniem wcześniej wspomnianej klęski Piratów samorządowcy i właśnie Piraci jeszcze podczas trwania telewizyjnych transmisji z wyborczych sztabów podpisali się pod memorandum, w którym Petr Fiala został oznaczony jako lider wszystkich pięciu partii i kandydat na premiera.

Oczywiście na objęcie premierostwa przez Petra Fialę jeszcze sobie wszyscy trochę poczekamy. Najwcześniej pod koniec bieżącego miesiąca odbędzie się posiedzenie czeskiej Izby Poselskiej w nowym składzie. Dopiero na nim premier Babiš będzie mógł podać swój gabinet do dymisji. Prezydent Zeman co prawda publicznie obiecał obecnemu premierowi, że to jemu właśnie powierzy zadanie stworzenia nowego rządu, ale nic nie wskazuje na to, aby ta misja mogła skończyć się powodzeniem. Partia ANO nie dysponuje niezbędnymi do uzyskania większości koalicyjnymi partnerami. W chwili, gdy piszę ten tekst, prezydent Zeman z ciężką niewydolnością wątroby leży zresztą na oddziale intensywnej terapii w praskim Szpitalu Wojskowym, walcząc o życie. Niewykluczone więc, że oficjalną nominację na stanowisko premiera Petr Fiala otrzyma po prostu od swojego partyjnego kolegi – szefa Senatu Miloša Vystrčila. Dość prawdopodobnego zresztą kandydata w wyborach prezydenckich, które muszą odbyć się najpóźniej w marcu 2023 r., kiedy upływa koniec drugiej i ostatniej kadencji ciężko schorowanego prezydenta Zemana.

CO ZROBI NOWY RZĄD?

Niezależnie od tego, jak ostatecznie będzie wyglądała procedura konstytuowania się nowego czeskiego rządu, poza przypomnieniem faktu, że jest skrajnie nieprawdopodobne, aby na jego czele mógł stanąć ktoś inny niż Petr Fiala, można się pokusić o nakreślenie najbardziej prawdopodobnych scenariuszy działań nowego czeskiego gabinetu.

W polityce wewnętrznej będzie to złagodzenie polityki antycovidowych obostrzeń. Natychmiastowej interwencji rządu wymaga też wiele gałęzi przemysłu. Z uwagi na problemy z dostawami komponentów dla samochodów i innych pojazdów oraz maszyn produkowanych w zakładach odpowiedzialnych za ok. 5 proc. czeskiego PKB zakładów Skody jej pracownicy po raz kolejny w tym roku zostali w większości odesłani na przymusowe urlopy. Spekulacje na rynku nieruchomości, które wywindowały ceny mieszkań do wartości pozostającej poza gotówkowym i kredytowym zasięgiem 90 proc. zainteresowanych, także są faktem. Podobnie jak rosnący deficyt budżetu państwa, który, mówiąc potocznie, przestał się spinać.

Nas najbardziej oczywiście interesują ewentualne korekty w polityce zagranicznej. Republika Czeska po 1989 r. prowadziła dość konsekwentnie dualistyczną politykę zagraniczną, z rozpisanymi rolami na prezydenta i premiera/ministra spraw zagranicznych. Jeśli prezydent, jak Václav Havel, wspierał wolnościowe ruchy w byłym ZSRS, to rząd wykonywał równolegle jakieś pojednawcze gesty względem Moskwy. I odwrotnie, jak w ostatnich latach, kiedy prezydent Zeman krytykował politykę sankcji wobec Kremla czy publicznie powątpiewał w udział GRU w zamachu na skład amunicji w Vrběticach, w momencie, kiedy z Moskwy i Pragi masowo wyrzucano sobie dyplomatów.

Czas rządów premiera Babiša oznaczał w tej dualistycznej polityce dodatkowo jeszcze tę zmianę, że socjaldemokraci jako kluczowy koalicyjny partner ANO otrzymali MSZ niejako we własne władanie, z czego w pełnym zakresie zresztą skorzystali. Nie miało to dla Warszawy dobrych skutków chociażby dlatego, że premier Babiš przez lata był zasypywany z Warszawy depeszami, że upadek rządów PiS i przyspieszone wybory są nad Wisłą tuż-tuż i warto poczekać na koniec rządów „skrajnej prawicy". W przypadku konfliktu o Turów premier Babiš był z kolei do końca przekonywany, że rząd w Warszawie ugnie się pod presją TSUE, a wymuszone na Polsce pieniądze na pewno trafią w ręce Pragi.

Byłoby fatalnie, gdyby konflikt o Turów dalej pozostawał zakładnikiem wewnętrznych podziałów w Czechach. Tym bardziej że osłabia on współpracę wyszehradzką w momencie ogólnie trudnym dla borykającej się z wieloma kryzysami Unii Europejskiej z jednej, a słabością nowej administracji USA i apetytami Kremla z drugiej strony. Co gorsza, Czesi zdają się całkowicie lekceważyć rolę, którą odgrywa komisarz Věra Jourová we wzajemnych relacjach. Nie rozumieją, że Jourová doskonale ożywiła stereotyp nadgorliwie służących wiedeńskiemu dworowi tępych urzędników, których ze względu na bliskość językową z narzeczem „tubylczej ludności" masowo wysyłano do pracy w galicyjskich urzędach w XIX w. Będzie ciekawie śledzić w najbliższych latach „efekt Jourovej" w badaniach dotyczących poziomu sympatii żywionej przez Polaków do Czechów. Jeszcze ważniejsze będzie jednak baczne przypatrywanie się, jaką rolę ta była pierwsza zastępczyni premiera Babiša w partii ANO dalej będzie odgrywać w czesko-polskich relacjach oraz oczywiście w prowadzonych obecnie działaniach Brukseli mających na celu zredukowanie pozycji państw członkowskich UE wobec jej unijnych organów.

Byłoby fatalnie, gdyby konflikt o Turów dalej pozostawał zakładnikiem wewnętrznych podziałów w Czechach

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4d36b1cd49

O społeczeństwie oderwanym od rzeczywistości,
żyjącym w bańce wyimaginowanych problemów.
O władzy, która nie należy do rządów.
O świecie kłamstwa i obłudy.
O monopolu na słuszność.

STROLLOWANA REWOLUCJA

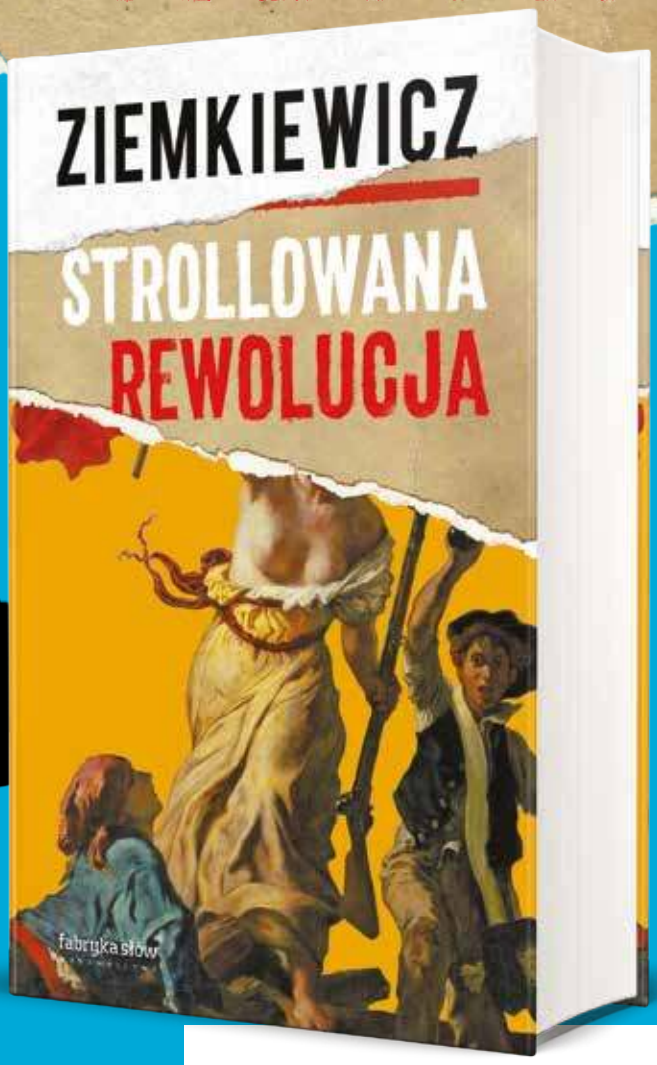

ZIEMKIEWICZ
rozkłada na czynniki pierwsze rewolucję, która dzieje się tu i teraz.
Dyskusję czas zacząć!

Patroni medialni

DO RZECZY · HISTORIA DO RZECZY · polityko.com

eprasa.pl 4d36b1cd49

Z Marion Maréchal, francuską polityk i założycielką Instytutu Nauk Społecznych, Ekonomicznych i Politycznych (ISSEP) w Lyonie
rozmawia Małgorzata Wołczyk

Francja potrzebuje Polski do obrony cywilizacji europejskiej

FOT. JOEL SAGET/AFP/EAST NEWS

MAŁGORZATA WOŁCZYK: Jest pani fundatorką i dyrektorką dwóch szkół wyższych ISSEP w Lyonie i Madrycie. Obie mają za zadanie wykształcić przyszłych liderów we Francji i w Hiszpanii, gotowych do służenia narodowi, w zgodzie z ideą klasycznego uniwersytetu. Rozpoczynacie dziś także współpracę z warszawskim Collegium Intermarium. O jaką współpracę chodzi konkretnie?

MARION MARÉCHAL: Mówimy o bardzo konkretnym wymiarze współpracy, czyli o wymianie studentów między uczelniami, o współpracy na niwie akademickiej, czyli prowadzeniu wspólnych badań i publikacji. Także o możliwości wspólnego organizowania konferencji, wymiany profesorów, w tym wymiany dobrych praktyk pedagogicznych, bo istniejemy już od czterech lat, więc mamy większe doświadczenie, którym chcemy się podzielić.

W dobie „cancel culture" jest potrzeba tworzenia miejsc wolnych od ideologii i przywracania klasycznej idei uniwersytetu. To jakby powrót do mroków średniowiecza, w których Kościół fundował szkoły. Czy oferta Collegium Intermarium pokrywa się z misją i ofertą szkoleniową instytutu w Lyonie i Madrycie?

Tak, oczywiście, rozmawiałam z rektorem, czytałam ofertę i odnalazłam tę samą inspirację z ducha, który przyświecał także nam w tworzeniu placówek. Chodzi więc o obronę pluralizmu i wolności debaty, która wydaje się zagrożona zarówno w Polsce, jak i we Francji. Odnalazłam te same idee poszukiwania piękna, prawdy i dobra, które są nieustannie kwestionowane w czasach relatywizmu. Ale chodzi też o obronę kultury w szerokim sensie, w tym kultury klasycznej. Odkryłam na nowo ideę kompetencji multidyscyplinarnych, aby otworzyć umysły studentów, także powrót do tej idei klasycznego uniwersytetu, jaką była dbałość o integralny rozwój osoby, o te trzy wymiary: czyli duszę, serce i intelekt. Edukacja musi brać pod uwagę całościowy rozwój młodego człowieka. To dlatego zdecydowaliśmy się skontaktować z Collegium, aby połączyć siły w kreowaniu nowych elit zakorzenionych w kulturze, świadomych lekcji płynących z przeszłości. Elit, które nie wstydzą się patriotyzmu, ale też świetnie „uzbrojonych" intelektualnie, wyposażonych w umysł krytyczny, by móc oprzeć się niebezpiecznym ideologiom płynącym z „cancel culture", wokizmu, nowoczesnego feminizmu i ruchu LGBT, które dzisiaj zwyczajnie nie tolerują myślących inaczej.

Na polskich uczelniach nie ma jeszcze tego intelektualnego terroryzmu zwanego u was islamolewicowością, ale mamy za to znów komisarzy ludowych, którzy pilnują poprawności politycznej. Czy jest jeszcze nadzieja na uniknięcie indoktrynacji na uczelniach państwowych, przynajmniej jeśli chodzi o Francję?

Jak wspominał przed chwilą na konferencji nasz prof. Édouard Husson, kiedy zaczynają palić książki, kończy się to paleniem ludzi. I dziś widzimy, zwłaszcza w USA, stosy palonych książek, stąd możemy sobie wyobrazić, że w ciągu kilku lat dyskurs i postawa ulegną radykalizacji i dlatego trzeba na to reagować już teraz. Myślę, że historia jest pisana przez aktywne mniejszości, więc to ważne, aby zaoferować studentom alternatywę, aby po prostu istnieć dla tych, którzy nie chcą być zakładnikami ideologii na uniwersytecie. Jestem przekonana, że to właśnie nasz przykład przez doskonałą formację i obronę wolności sprawi, iż jutro przybędzie nowe pokolenie, które będzie bardziej zaangażowane, odważniejsze i bardziej kompetentne niż obecne. Jestem optymistką, bo rozwijamy sieć szkół w Europie.

Czyli nadchodzi nowa międzynarodówka, ale tym razem ze strony konserwatystów?

Tak bym tego jeszcze nie nazwała. Na początek to sieć ośrodków-kuźni kadr, w Lyonie, w Madrycie, ale też partnerstwo z placówkami takimi jak MCC na Węgrzech, Uniwersytet w Sankt Petersburgu, Uniwersytet św. Józefa w Bejrucie i od dziś też współpraca z Collegium Intermarium. Ale mamy też sieć powiązań z konserwatywnymi uniwersytetami w USA. Czyli na całym świecie zaczyna kiełkować ta potrzeba łączenia sił i stawiania oporu.

eprasa.pl 4d36b1cd49

A jako reprezentantka zachodniej Europy, pochodząca z modelowego kraju UE, nie podziela pani obaw KE i międzynarodowej prasy, to znaczy nie czuje pani dyskomfortu wchodzenia we współpracę z Polakami, którzy nie rozumieją, a co gorsza – nie praktykują tzw. wartości europejskich?

(Śmiech) Wręcz przeciwnie, biorąc pod uwagę, że to opinia KE, czuję się wyśmienicie, współpracując z wami. Sama przywiązana jestem do Europy narodów w ich różnorodności. Każdy kraj ma swoją kulturową osobliwość, przywiązanie do zasad czy religii, które powinien pielęgnować, bo dziedzictwo dobrze przyjęte daje siłę. Cały czas się debatuje o winach rządu polskiego, a przecież został wybrany demokratycznie, jest odzwierciedleniem woli suwerena, więc w ogóle nie mnie go oceniać. Ani też Komisji, która o ile dobrze pamiętam, nie ma żadnej demokratycznej legitymacji ku temu.

Tandem francusko-niemiecki wydaje się dobrze naoliwioną machiną postępu...

Myślę inaczej, to Francja w nadchodzących latach ma żywotny interes, aby nie zamykać się w tej iluzji równoprawnego duetu francusko-niemieckiego, ale poszerzać swoje partnerstwo na wschód. Jestem przekonana, że Polska, a właściwie cała Grupa Wyszehradzka jest niezbędnym sojusznikiem w obronie tej cywilizacyjnej wizji Europy, o której rozmawiamy.

Marzy mi się wspólna praca nad tym tematem, bo obserwujemy, jaka mutacja zaszła w UE, która przecież była projektem chrześcijańsko-demokratycznym, a dziś jest radykalnie postępową realizacją wytycznych lewicy. Nie ma już nawet szacunku dla traktatów, nie ma wspólnoty, jest za to stosowany permanentny szantaż w propagowaniu i rozszerzaniu ideologii. A Unia powinna chronić naszą suwerenność, naszą europejską autonomię, granice, a tymczasem nie chroni nawet naszej cyfrowej suwerenności. Poza tym przyznam, że niewiele mnie interesuje opinia KE.

A czemu UE, tak zajęta prawami podstawowymi człowieka, nie martwi się tym, co dzieje się we Francji: łamaniem podstawowego prawa obywateli do bezpieczeństwa? Nie chce zapobiec możliwości wybuchu wojny domowej, o której coraz częściej się słyszy?

Cóż, po prostu dlatego, że elity europejskie, a nawet elity francuskie zgadzają się na to, aby Francja stała się krajem pełnym przemocy, zżeranym przez agresję, niepewność. Bo taki był lansowany dogmat lewicy, że wielokulturowość jest szansą, jest sposobem na odrodzenie się Francji, na zapobieżenie demograficznym problemom. Nikt więc nie przyzna, że przyczynił się do klęski, skoro karmiono nas tą iluzją 30 lat i za tym szły wybory polityczne. Co do wizji wojny domowej, to już przestał być temat tabu we Francji, o tym się mówi...

Tabu przestało obowiązywać dzięki Éricowi Zemmourowi?

Owszem, Éric ma wielkie zasługi, bo był pierwszy, ale nie tylko on. We Francji wystarczy skrytykować politykę migracyjną rządu i już dostaje się etykietkę ksenofoba, rasisty. Na dłuższą metę jest czymś nie do pogodzenia utrzymać projekt państwa, w którym obok siebie goszczą mniejszości seksualne, mniejszości etniczne i potężna imigracja z krajów islamskich. W rzeczywistości wszyscy oni mają wspólnego wroga, a jest nim biały, heteroseksualny człowiek o chrześcijańskich korzeniach, uosobiony przez francuskie społeczeństwo. Te grupy jednoczą się przeciwko wspólnemu wrogowi i tak powstało to, co nazywamy islamolewicowością panującą w mediach, kulturze, edukacji.

Kto patronował temu straceńczemu projektowi? Kandydat na prezydenta Jean-Luc Mélenchon?

Owszem, on też, jako reprezentant postkomunistycznej lewicy, ale nawet centrolewica, w pewien sposób także Emmanuel Macron. To on powiedział podczas kampanii, że „konieczne jest zdekonstruowanie historii, że nie ma żadnej kultury francuskiej". Przystał na ideę istnienia przywileju białych (zgodnie z tym fermentem, który przyszedł z USA), przyznał, że istniał strukturalnie rasistowski system dominacji w Europie. Więc nawet liberałowie tacy jak on, a nie tylko skrajna lewica, lansują tę ideologię.

Pamiętam, jak 20 lat temu spędzałam wakacje w pani rodzinnym mieście i zachwycona dziedzictwem historycznym Lyonu kupiłam młodzieżowe wydanie historii miasta. Byłam wtedy wstrząśnięta, że można w sposób tak haniebny kpić z męczenników chrześcijańskich torturowanych w lyońskim amfiteatrze, ale drwiną objęto też całą historię miasta. Ten sam trend przyszedł po latach do Polski. Jak bronić historii przed pseudohistorykami pracującymi nad rozbiciem wspólnoty i wyszydzaniem postaw heroicznych?

To prawda, przez bardzo długi czas, i dziś zresztą też, organizujemy w szkołach amnezję historyczną, bo obowiązywała pokuta. To też zrodziło ogromny problem w asymilacji imigrantów, skoro przedstawialiśmy Francję jako okrutne kolonialne państwo rasistów. Trwało permanentne mea culpa za naszą przeszłość. A to złamało dumę Francuzów, ale też zwykłe poczucie patriotyzmu. Bo skoro dziedzictwo Francji było tak haniebne, to po co go bronić? To oczywiście pomogło zatriumfować „cancel culture". A przecież rolą instytucji państwowych jest zaakceptować fakty przeszłości w ich złożoności, nie ukrywając żadnego momentu historii i akceptując to, co zaszło. Nie jesteśmy narodem bardziej nikczemnym od innych, mamy blaski i cienie w naszej historii. Okazuje się, że to częściej cudzoziemcy są zainteresowani naszą kulturą i dziedzictwem niż my sami z powodu tej polityki zawstydzania.

Śledząc politykę i sieci społecznościowe we Francji, mam wrażenie, że są tysiące Francuzów, którzy czekają, aż wejdzie pani do polityki i wywróci szachownicę, tzn. scenę polityczną. I odnoszę wrażenie, że prowadzenie szkoły liderów nie wyczerpuje pani ambicji służenia Francji.

Byłam w polityce przez pięć lat, zdecydowałem się zawiesić tę aktywność, ponieważ chciałam prowadzić kulturową i edukacyjną walkę, która moim zdaniem jest komplementarna, a nawet dziś konieczna. Nie wykluczam powrotu do aktywnej polityki, ale ponieważ ten wybór pociągałby za sobą radykalny zwrot w moim życiu, daję sobie czas. Oczywiście, że kocham mój kraj i zrobię, co w mojej mocy, aby mu służyć, ale na razie skupiam się na rozwoju mojego projektu edukacyjnego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Rozmowa odbyła się w Collegium Intermarium 30 września 2021 r.

Marion Maréchal (ur. 10 grudnia 1989 r.)
– francuska polityk i założycielka Instytutu Nauk Społecznych, Ekonomicznych i Politycznych (ISSEP) w Lyonie. W 2008 r. weszła do polityki i została członkiem Frontu Narodowego (FN), którego współzałożycielem i pierwszym prezesem był Jean-Marie Le Pen, jej dziadek, a kolejną przewodniczącą, Marine Le Pen, jej ciotka. W 2018 r., w wieku 22 lat, została najmłodszą francuską deputowaną w historii francuskiego parlamentaryzmu. W 2017 r. nie ubiegała się o reelekcję, zrezygnowała z funkcji, aby w 2018 r. otworzyć swój think tank i uczelnię ISSEP w Lyonie, a następnie w Madrycie.

eprasa.pl 4d36b1cd49

FOT. ADOBE STOCK

MUEZIN WEZWIE W KOLONII

Władze niemieckiej Kolonii zgodziły się na postulat muzułmańskiej społeczności. Od teraz muezin będzie wzywał wiernych Allahowi do modlitwy. Wezwanie będzie emitowane przez głośniki w piątkowe popołudnie. „Zgoda na wezwanie na modlitwę muezinów jest dla mnie wyrazem szacunku" – napisała na Twitterze burmistrz Kolonii Henriette Reker.

OBOWIĄZKOWE ZABAWKI NEUTRALNE PŁCIOWO

W Kalifornii kuriozalne nowe prawo. Wielkie sklepy będą musiały stworzyć oddzielne miejsca z zabawkami dla dzieci. Ustawa podpisana niedawno przez gubernatora Gavina Newsoma narzuca bowiem utrzymywanie w takich sklepach sekcji z zabawkami dla dzieci, która będzie „neutralna płciowo". Obowiązkowe będą więc absurdalne półki, na których znajdą się zabawki, których nie sposób określić, dla kogo są.

POBUDKA Z METEORYTEM

Niejaka Ruth Hamilton z Kolumbii Brytyjskiej w Kanadzie obudziła się z dziurą w dachu nad sypialnią i gruzem we włosach. Spanikowana zadzwoniła pod 911 i gdy operator próbował z nią powoli ustalić, co się stało, pod jedną z poduszek na łóżku obok głowy odkryła skałę. Eksperci z Western University w Ontario potwierdzili potem, że skała to meteoryt, który spadł tuż obok głowy śpiącej kobiety. Zespół naukowców będzie go teraz badał.

KRÓL MOŻE POŚLUBIĆ KRÓLA

Premier Holandii Mark Rutte odpowiadał ostatnio na pytania parlamentarzystów z własnej Partii Ludowej na rzecz Wolności i Demokracji. Stwierdził m.in., że „każda holenderska królowa i każdy holenderski król może poślubić partnera tej samej płci". Dodał od razu, że jego wypowiedź dotyczy sytuacji „czysto teoretycznej". Potem miał trudniej, bo musiał też odpowiadać na pytania o dziedziczenie w rodzinie królewskiej, gdyby para była jednopłciowa i miała dziecko dzięki dawcy nasienia.

NIE WPUŚCILI PREZYDENTA

Prezydent Brazylii Jair Bolsonaro nie został wpuszczony na stadion piłkarski klubu Santos FC na mecz z Gremio Porto Alegre. Wpuszczano jedynie kibiców, którzy mogą wylegitymować się negatywnym wynikiem testu na COVID-19 bądź posiadają dowód przyjęcia szczepionki. Bolsonaro się nie zaszczepił, bowiem przechorował koronawirusa. ©℗

Łukasz Zboralski

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Superman i Kapitano Ameryko

JACEK PRZYBYLSKI

Producenci nowego Bonda zawiedli pokładane w nich przez postęp nadzieje. Nie dość, że agent 007 ciągle nie jest lesbijką, to nie jest nawet kobietą. Produkcja jest tym bardziej przestarzała, że Bond – wstrętny, heteroseksualny samiec, który jest do tego zatrważająco biały – nadal brzydko bawi się bronią palną. Trzeba więc go szybko obejrzeć – tylko po to, aby wiedzieć, jak film nie powinien wyglądać – zanim trafi na listę produkcji zakazanych.

Tęczowy postęp wreszcie na dobre trafił za to do komiksów. Superman zawsze miał trudne misje: musiał uratować Ziemię przed zagrożeniem z kosmosu, walczyć ze skorumpowanymi policjantami, politykami i biznesmenami czy szalonymi naukowcami.

W XXI w. poprawny politycznie Superman ma inne trudne zadanie: aby móc godnie symbolizować amerykańską nadzieję, prawdę i sprawiedliwość, musi… całować się z facetem.

Zresztą to niejedyny bohater LGBTQ+ (jeśli pominąłem którąkolwiek literkę lub znaczek i jokokolwiek istoto poczuło się urażono, to z góry przepraszam, ale to wina moich staroświeckich szefów, wymuszających na słabo opłacanych autorach stosowanie prawicowej autocenzury). Już wcześniej Batwoman została ukarana za związek z kobietą.

Prawdziwego superbohatera LGBTQ+ jednak jeszcze nie było. W nowej rzeczywistości twórcy komiksów mogą wreszcie odejść od sztampowej walki dobra ze złem i skupić się na prawdziwym wrogu: białych heteroseksualnych samcach wciąż rządzących światem i stawianiu ich przed obliczem Tęczowej Ligi, składającej się z czarnoskórego geja Jokera, biseksualnego Batmana i transseksualnego Kapitano Ameryko. ©℗

eprasa.pl 4d36b1cd49

„Noblesse oblige”

Remontowanie nieruchomości z „duszą” czy wznoszenie biurowców i apartamentowców w prestiżowych lokalizacjach – to tylko część działalności prowadzonej przez jeden z najznamienitszych polskich rodów. Lubomirscy przez setki lat fundowali klasztory, kościoły czy teatry. Dziś potomek rodu, Jan Lubomirski-Lanckoroński, kontynuuje rodzinną tradycję, prowadząc zakrojoną na szeroką skalę działalność społeczną i charytatywną

Ród Lubomirskich nierozerwalnie łączy się z historią Polski. Jednocześnie spokrewniony jest niemal ze wszystkimi dynastiami panującymi w Europie, m.in. z Burbonami, Kapetyngami, Ludolfingami, Wittelsbachami, Hohenzollernami czy Rurykowiczami. Pierwsze wzmianki o rodzinie sięgają jeszcze X w. Jednak ród zapisał się również w bardziej współczesnej historii. Książę Eugeniusz Lubomirski, który po drugiej wojnie światowej osiadł w Wielkiej Brytanii, był nawet kandydatem na prezydenta Polski na uchodźstwie.

RÓD KSIĄŻĘCY W BRANŻY NIERUCHOMOŚCI

Tymczasem potomek rodu, Jan Lubomirski-Lanckoroński, wybrał karierę w biznesie i od 2008 r. prowadzi działającą w branży nieruchomości Grupę Landeskrone. Firma działa w największych miastach Polski, koncentrując swą działalność inwestycyjną w Warszawie. Efektem prac zespołu Landeskrone jest przebudowa i rewitalizacja wielu zabytkowych obiektów na nowoczesne i stylowe nieruchomości, które nie tylko cechują się innowacyjną formą, lecz także szacunkiem do historii. Każdy projekt to perełka o niepowtarzalnym klimacie.

Do takich niezwykłych inwestycji bez wątpienia należy Mazurska Oaza – działki rekreacyjne w Kamieńcu w okolicach Iławy. Rozległe tereny Mazurskiej Oazy podzielone są na 100 działek o powierzchni od ok. 1000 mkw. do nawet i pół hektara. Część nieruchomości posiada bezpośredni dostęp do lasów bądź terenów wodnych.

Ale możliwość bliskiego obcowania z przyrodą możemy mieć także w dużym mieście. Kolejna inwestycja Landeskrone – Villa Botanica w Krakowie – jest tego najlepszym przykładem. Ma się wyróżniać oryginalną, nowoczesną bryłą i zastosowaniem wielu zielonych technologii, takich jak baterie słoneczne czy system odzyskiwania wody deszczowej. Jej największą zaletą ma być położenie w bezpośrednim sąsiedztwie Ogrodu Botanicznego.

Osoby ceniące elegancję i oryginalność z pewnością nie przejdą obojętnie obok Puławskiej/Merliniego, restaurowanej kamienicy znajdującej się w części Starego Mokotowa w Warszawie. Budynek powstał w latach 1936–1938 i obecnie jest modernizowany. To tylko kilka z inwestycji, nad którymi pracuje zespół Landeskrone. Na nich nie kończy się jednak działalność Jana Lubomirskiego-Lanckorońskiego.

NIE TYLKO BIZNES SIĘ LICZY

Potomek rodu od 2010 r. prowadzi również Fundację Książąt Lubomirskich, która finansuje i współfinansuje wiele przedsięwzięć mających za przedmiot kulturę i sztukę, oświatę oraz wychowanie, a także objęła główny patronat nad wieloma wydarzeniami kulturalnymi.

Jednym z nich jest współorganizowany i wspierany finansowo przez Fundację Festiwal Muzyczny im. ks. Władysława Lubomirskiego. Niedawno rozpoczęła się kolejna, czwarta już edycja, która będzie trwać do 26 października.

Fundacja od lat wspiera akcje charytatywne WOŚP, przekazując dary na licytacje. Władze organizacji ufundowały defibrylatory dla Ochotniczej Straży Pożarnej w Łące i zebrały środki finansowe na rzecz Lubelskiego Hospicjum dla Dzieci. W zamku w Wiśniczu Fundacja organizowała doroczne bale charytatywne. Pieniądze zebrane podczas nich pozwoliły na wybudowanie szpitala dla dzieci z porażeniem mózgowym czy zakup karetki ratunkowej dla szpitala powiatowego w Bochni. W czasie pandemii Fundacja udzieliła pomocy humanitarnej dzieciom w Kazachstanie, przekazując im maseczki ochronne oraz laptopy umożliwiające e-learning.

Także polscy uczniowie od lat korzystają z pomocy Fundacji, która funduje komputery dla szkół podstawowych czy stypendia zarówno dla uczniów szkoły podstawowej w Kamieńcu, jak i dla studentów Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie pochodzących z dawnych Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej.

Rodzina Lubomirskich zajmuje się też ochroną zabytków i renowacją dzieł sztuki. Na przykład w Sanoku ufundowała renowację cennego epitafium, w Przeworsku renowację kościelnych dzwonów, w Wiśniczu odnowienie zamku, a w Kamieńcu koło Iławy wsparła remont kościoła.

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl 4d36b1cd49

Abdul Kadir Khan był kochany przez naród

FOT. FAISAL MAHMOOD/REUTERS/FORUM

Bomba i półksiężyc

Piotr Włoczyk

Dla milionów Pakistańczyków był niekwestionowanym bohaterem, dzięki któremu ich państwo stało się pierwszym islamskim mocarstwem atomowym. Dla zachodnich wywiadów był jednym z najniebezpieczniejszych ludzi na świecie. Człowiekiem, który stał w centrum siatki międzynarodowych przemytników nuklearnych tajemnic

Był kochany przez nasz naród, ponieważ jego praca była niezbędna, abyśmy mogli się stać państwem atomowym. To z kolei zapewniło nam bezpieczeństwo przed agresywnym, dużo większym atomowym sąsiadem. Dla pakistańskiego społeczeństwa był narodową ikoną" – tymi słowami pakistański premier (i były krykiecista) Imran Khan pożegnał Abdula Kadira Khana, który zmarł 10 października w wieku 85 lat w wyniku komplikacji po COVID-19. W sprawie pochówku nie było żadnych wątpliwości. Ciało człowieka, który dał Pakistanowi tak potężny oręż przeciw znienawidzonym Indiom, spoczęło w meczecie Króla Fajsala w Islamabadzie, największej islamskiej świątyni w kraju.

Zupełnie inaczej musieli patrzeć na wielkie uroczystości pogrzebowe Khana emerytowani przywódcy zachodnich państw, którzy na początku XXI w. z niepokojem wysłuchiwali kolejnych raportów swoich służb wywiadowczych na temat działalności siatki Khana. Dzięki kierowanej przez niego grupie Libia, Iran i Korea Północna weszły w posiadanie materiałów umożliwiających zbudowanie bomb atomowych.

UFNY JAK HOLENDER

Historia Khana szpiega rozpoczyna się w latach 70., gdy ten dobijający wówczas do czterdziestki naukowiec z Pakistanu podjął pracę w anglo-holendersko-niemieckim konsorcjum Urenco, zajmującym się m.in. wzbogacaniem uranu. Khan był cenionym specjalistą w dziedzinie metalurgii.

Pracując w holenderskich zakładach wzbogacania uranu, zajmował się udoskonalaniem konstrukcji wirówek. Jak później wykazali holenderscy śledczy, Pakistańczyk wielokrotnie łamał firmowy regulamin, przemieszczając się między działami, co jednak wówczas nie wzbudziło alarmu przełożonych. Podejrzane nie wydało się nikomu również to, że Khan zasypywał pytaniami inżynierów, którzy nie mieli nic wspólnego z jego zakresem obowiązków.

Równolegle ojczyzna Khana ścigała się na zbrojenia z potężnymi Indiami. 18 maja 1974 r. znienawidzony sąsiad

eprasa.pl 4d36b1cd49

Pakistanu dokonał pierwszej eksplozji jądrowej. Reakcja zza miedzy była natychmiastowa. – Zostaniemy potęgą nuklearną, nawet jeśli będziemy musieli jeść trawę – zapowiedział ówczesny premier Pakistanu Zulfikar Ali Bhutto (pełnił ten urząd w latach 1973–1977).

Test dokonany przez Indie był w oczach Khana kolejnym potwierdzeniem, że wielki sąsiad chce unicestwić jego ojczyznę. Trzy lata wcześniej Indie wsparły bowiem Bangladesz (wówczas Pakistan Wschodni) w jego wojnie o niepodległość od Pakistanu (wówczas Pakistanu Zachodniego). Jak wyjaśniał Khan w 2010 r. na antenie pakistańskiej telewizji, wsparcie przez Indie bengalskich powstańców było dla niego przełomowym momentem.

„Celem moich starań o bombę atomową było zapewnienie Pakistanowi bezpieczeństwa. Chciałem, żeby to, co stało się w 1971 r., nigdy już nie zostało powtórzone" – podkreślał Khan. Jeszcze podczas pracy w Europie naukowiec kontaktował się z pakistańskimi władzami i obiecywał, że dysponuje wiedzą i materiałami, które pozwolą w niedługim czasie na zbudowanie bomby atomowej. W ten sposób zaopatrzony w przemycone z Zachodu materiały niezbędne do uruchomienia programu atomowego Khan wrócił w 1975 r. do Pakistanu. Jak się później okazało, zrobił to niemal w ostatniej chwili, ponieważ holenderskie służby – zaalarmowane przez Amerykanów – zwróciły w końcu uwagę na wyjątkowo ciekawskiego naukowca z południowej Azji.

Khan został postawiony przez pakistańskie władze na czele głównego laboratorium atomowego. W niedługim czasie Sowieci zaatakowali Afganistan, co znacząco ułatwiło Pakistanowi prace nad upragnioną bronią. Kraj ten stał się bardzo cennym zapleczem dla wspierania afgańskiego oporu.

Pakistański program atomowy nie był tajemnicą dla amerykańskiego Kongresu i deputowani z obu partii wymogli na Białym Domu monitorowanie sytuacji, ale kolejni amerykańscy prezydenci przymykali oczy na działalność laboratorium Khana. Sytuacja zmieniła się po wycofaniu Sowietów z Afganistanu. Bill Clinton coraz mocniej naciskał na Islamabad, by ten przestał wzbogacać uran. W końcu pojawiły się sankcje, ale Pakistańczycy nie zamierzali zejść z drogi prowadzącej do upragnionej bomby.

28 maja 1998 r. armia pakistańska odpaliła w górach w zachodniej części kraju pięć ładunków nuklearnych. Cały kraj świętował to wydarzenie przez kilka dni. Khan stał się niekwestionowanym bohaterem. Ta demonstracja miała jednak swoje konsekwencje dla relacji z Zachodem. Zaostrzono sankcje, jednak Pakistan nie zamierzał porzucić wzbogacania uranu i produkcji kolejnych bomb atomowych. Ówczesny premier Nawaz Sharif zapowiedział, że społeczeństwo musi się przygotować na bardzo ciężkie lata, ale ten koszt trzeba będzie ponieść. Aby samemu dać przykład, Sharif zrezygnował z korzystania z nowo wybudowanej, luksusowej posiadłości przysługującej szefowi rządu.

BOMBY W VANACH

Problemy Khana zaczęły się na dobre na samym początku obecnego wieku, gdy zachodnie służby wywiadowcze wpadły na trop siatki przemytników technologii nuklearnych, w której centralną postacią był właśnie legendarny „ojciec pakistańskiej bomby atomowej". Okazało się, że stworzył on międzynarodowe „konsorcjum" przemytnicze, które zaopatrywało Iran, Libię i Koreę Północną w materiały i wiedzę niezbędne do budowy broni nuklearnej. W materiałach CIA mowa jest o walizkach wypełnionych dolarami i kamieniami szlachetnymi, które północnokoreańscy kurierzy przywozili dla ludzi Khana.

George Tenet, szef CIA w latach 1996–2004, napisał w swoich wspomnieniach, że „Khan dzielił się swoją wiedzą ekspercką z podmiotami znajdującymi się poza granicami Pakistanu. […] Sprzedawał wiedzę na temat atomu i sam materiał nuklearny w zamian za inny sprzęt wojskowy. Przykładowo wspierał Koreę Północną we wzbogacaniu uranu w zamian za technologię rakiet balistycznych".

Coraz bardziej realne było zagrożenie, że przy tak rozwiniętym atomowym przemycie niebezpieczne materiały trafią w ręce talibów lub Al-Kaidy.

W końcu Amerykanie zmusili Pakistańczyków do okiełznania ich nuklearnego bohatera. W 2004 r. Khan wydał publiczne oświadczenie, w którym przyznał się do przemytu tajnych informacji i materiałów nuklearnych. „Chciałbym powiedzieć publicznie, że wszyscy moi podwładni, którzy brali udział w tej sprawie, działali w dobrej wierze, tak jak ja. Chciałbym też podkreślić, że nigdy nie zezwolił na to rząd [pakistański – przyp. red]. Biorę pełną odpowiedzialność za moje czyny i proszę o wybaczenie" – powiedział w 2004 r. przed kamerami. Ówczesny prezydent Pakistanu Pervez Musharraf ułaskawił Khana, ale zamknął go w (luksusowym) areszcie domowym. Ten do końca życia dawał w rozmowach z dziennikarzami do zrozumienia, że został przez władze swojej ojczyzny potraktowany wyjątkowo niesprawiedliwie, zważywszy na swoje zasługi.

„Pierwszy raz uratowałem mój kraj, gdy uczyniłem Pakistan potęgą atomową. Po raz kolejny uratowałem go, gdy przyznałem się i wziąłem całą winę na siebie" – powiedział Khan w 2008 r. w wywiadzie z Agence France-Presse, potwierdzając tym samym to, co nie było żadną tajemnicą dla zachodnich wywiadów: władze Pakistanu doskonale wiedziały, jak dorabia sobie ich genialny naukowiec-przemytnik, i czerpały z tego profity (np. uzyskały od Koreańczyków z północy pomoc w budowie rakiet balistycznych).

W 2009 r. Khan został zwolniony z aresztu domowego, ale do końca życia musiał meldować władzom o miejscu swojego pobytu i nie wolno było mu wyjeżdżać za granicę.

Pakistański arsenał, który pomógł zbudować Khan, to wciąż wielki problem dla Amerykanów. Nie jest tajemnicą, że Waszyngton przygotował specjalne plany na wypadek destabilizacji sytuacji w Pakistanie, w wyniku której władze centralne straciłyby kontrolę nad bombami atomowymi.

Jeffrey Goldberg z magazynu „The Atlantic", dziennikarz świetnie znający się na pakistańskiej armii, opowiadał na antenie CNN, że bomby atomowe (szacuje się, że jest ich ok. 100–120) przewożone są po Pakistanie w sposób, który doprowadza kierownictwo CIA do rozpaczy.

„Pakistańska armia i służby specjalne są zinfiltrowane przez ludzi sympatyzujących z talibami lub wprost będących członkami ich organizacji. Kiedy więc Pakistańczycy przewożą broń atomową z jednego miejsca do drugiego – w ten sposób zabezpieczają swój arsenał przed uderzeniem prewencyjnym – wystarczy »cynk« od kogoś z wewnątrz i mamy duży problem. Pakistańczycy nie wykorzystują do tego profesjonalnych konwojów ze specjalnymi pojazdami, ponieważ uważają, że za bardzo się to rzuca w oczy. Taktyczną broń nuklearną przewożą więc w zwykłych vanach" – mówił Goldberg w CNN.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4d36b1cd49

Inflacja kontra Polska

FOT. ADOBE STOCK

Łukasz Warzecha

Rada Polityki Pieniężnej podwyższyła stopy bazowe – jej członkowie w końcu przestraszyli się coraz poważniejszych sygnałów ostrzegawczych

Inflacja to szczwana bestia. Zakrada się do naszych portfeli, ale nikt dokładnie nie potrafi powiedzieć, skąd się pierwotnie bierze. Widzimy natomiast, gdy już zacznie rosnąć, czym się żywi. Jeśli wejdzie w odpowiedni rytm, to jest w stanie napsuć nam krwi, tworząc coś w rodzaju błędnego koła. Zwłaszcza gdy władza kontrolująca emisję pieniądza nie dostrzega problemu i nie odcina inflacji od źródła zasilania. Może nawet widzi w niej jakąś doraźną ekonomiczną korzyść.

Czym jest inflacja? Najprościej mówiąc – jest to wzrost cen połączony z utratą wartości pieniądza. Mierzy się ją w odniesieniu do koszyka dóbr i jeśli cena tego koszyka jest nominalnie rok do roku wyższa o 5 proc., to mówimy o pięcioprocentowej inflacji. W tym czasie mogły również wzrosnąć wynagrodzenia, żeby dogonić ceny, ale faktycznie oznacza to, że realna wartość pieniądza spadła.

Inflacja dotyka nas w różnym stopniu w zależności od tego, co jest w naszym osobistym koszyku. Jeśli jest w nim mniej składników, których ceny szybko rosną, to odczuwamy ją słabiej. Na przykład ktoś nieposiadający samochodu albo jeżdżący bardzo niewiele w mniejszym stopniu odczuwa inflację niż ktoś jeżdżący dużo i tankujący kilka razy w miesiącu.

Cena paliwa należy akurat do najbardziej inflacjogennych czynników – z prostego powodu: transport drogowy jest składnikiem ceny niemal każdego towaru, i to na wielu etapach, a także wielu usług. Inny taki czynnik to cena energii elektrycznej. Tutaj inflacja w całej zresztą Europie napędzana jest potężnie spekulacją uprawnieniami do emisji CO_2, których koszt uderza jednak przede wszystkim w te państwa, gdzie największa część przemysłu i wytwarzanej energii pochodzi ze źródeł wydzielających dwutlenek węgla. Polska jest tutaj na czele.

W gospodarce wszystko łączy się ze wszystkim. Te sieci czasem niewidocznych zależności pokazywali klasycy ekonomii liberalnej: Adam Smith, Frédéric Bastiat czy Henry Hazlitt. Ten ostatni, autor słynnej „Ekonomii w jednej lekcji", napisał również w latach 80. książkę właśnie o inflacji, wydanej po polsku jako „Inflacja. Wróg publiczny nr 1" (tytuł oryginalny: „The Inflation Crisis and How to Resolve It"; darmową wersję po angielsku można ściągnąć ze strony amerykańskiego Instytutu Misesa – mises.org).

Hazlitt we wstępie do książki pisał tak: „Politycy w Waszyngtonie mówią o inflacji tak, jakby było to jakieś koszmarne zjawisko znikąd, nad którym nie mają żadnej kontroli – jak powódź, zewnętrzny najazd albo zaraza. […] Jednak tak naprawdę inflację sprowadzili nasi przywódcy polityczni swoją polityką monetarną i fiskalną. Obiecują walczyć prawą ręką z czymś, co wspierali lewą. To, co nazywają inflacją, jest zawsze i wszędzie spowodowane przede wszystkim przez zwiększoną podaż pieniądza i kredytu. W istocie inflacja jest zwiększeniem podaży pieniądza i kredytu".

Jak to więc jest? Czy inflacja to więcej pieniądza na rynku czy wyższe ceny? Hazlitt argumentuje, że pierwotnie pojęcie inflacji było rozumiane wyłącznie w ten pierwszy sposób, a to drugie znaczenie pojawiło się później i tym samym wymieszano przyczynę ze skutkiem. Zostańmy jednak przy przyjmowanej dzisiaj definicji – co ostatecznie akceptuje sam Hazlitt – bo w ten właśnie sposób liczona jest inflacja w poszczególnych państwach i zgodnie z tym wskaźnikiem jesteśmy w stanie pokazać, jak sytuacja wygląda w Polsce na tle innych.

POLSKA W CZOŁÓWCE

Już w 2020 r. byliśmy w czołówce. Sumaryczna inflacja w naszym kraju była zdecydowanie najwyższa w UE (według danych Eurostatu) i wyniosła 3,7 proc. Za nami były Węgry z inflacją na poziomie 3,4 proc. Czechy odnotowały 3,3 proc. Dla porównania inflacja w państwach strefy euro była znacznie niższa. W Niemczech wyniosła 0,4 proc., we Francji – 0,5 proc., Hiszpania zaś odnotowała nawet deflację (przeciwieństwo inflacji) na poziomie –0,3 proc., a Grecja aż –1,3 proc. Ekonomiści zgadzają się co do tego, że niewielka i kontrolowana inflacja jest dla gospodarki

eprasa.pl 4d36b1cd49

korzystna, deflacja zaś jest zjawiskiem raczej szkodliwym i zwykle wiąże się z recesją, choć oczywiście żelaznej reguły tutaj nie ma, wiele zależy od okoliczności.

Ale to zeszły rok. W tym roku jest jeszcze gorzej. Przewidywania mówią, że wrześniowa inflacja w Polsce może wynieść nawet 5,8 proc., a do końca roku może przebić 6, może nawet 7 proc. To już naprawdę bardzo wysoka wartość.

Pamiętać trzeba, że stopy procentowe dla strefy euro ustala jeden bank – Europejski Bank Centralny z siedzibą we Frankfurcie nad Menem – nie ma więc mowy o tym, żeby dopasowywać je do sytuacji każdego z państw używających wspólnej waluty. I był to zawsze jeden z najmocniejszych argumentów przeciwko przyjmowaniu euro. Tyle że polski bank centralny uparcie ignorował ostrzeżenia o rozpędzającej się inflacji, a Rada Polityki Pieniężnej stóp procentowych nie tylko nie podwyższała, lecz także nawet je obniżała. W tym czasie węgierski bank centralny podniósł stopy już czterokrotnie, uznając inflację za zjawisko zagrażające stabilności.

Dlaczego stopy procentowe są ważne w kontekście inflacji? Tu wracamy do Hazlitta. Stopy procentowe określają dwa parametry naraz i nie da się tego rozdzielić: oprocentowanie, czyli cenę kredytu, oraz oprocentowanie depozytów w bankach. Niskie stopy procentowe oznaczają, że pieniędzy w banku nie opłaca się trzymać, bo nie daje to żadnego zysku, a często realnie tracą one na wartości wobec wzrostu cen. Taka jest w tej chwili sytuacja w Polsce. Jednocześnie kredyt jest bardzo tani, co sprzyja wprowadzaniu do systemu większej ilości pieniądza.

Ludzie chcą posiadane pieniądze wydać, zanim stracą na wartości, czasem inwestując w coś trwałego, jak nieruchomości, i tym samym windują ceny dóbr. To właśnie widzimy w Polsce. Niektórzy wspomagają się wyjątkowo obecnie tanim kredytem.

Działa tutaj klasyczny mechanizm ekonomiczny: więcej pieniądza na rynku to większy popyt, a większy popyt to impuls do podwyższania cen. Na to nakładają się problemy z podażą, wynikające z zaległości pandemicznych. A zatem znów czynnik sprzyjający wyższym cenom.

REDYSTRYBUCJA I TANIEJĄCY DŁUG

Ale to niejedyne czynniki. Rząd, który prowadzi tak intensywną redystrybucję jak gabinet najpierw Beaty Szydło, a teraz Mateusza Morawieckiego, wpuszcza do systemu jeszcze więcej pieniędzy, i to na dwa sposoby. Po pierwsze – poprzez podatki odbiera pieniądze tym, którzy by je prawdopodobnie zaoszczędzili, a rozdaje tym, którzy je natychmiast wydadzą. Po drugie – ponieważ środków z podatków mu nie wystarcza, mówiąc potocznie – „drukuje" pieniądze, czyli po prostu zapożycza się u przyszłych pokoleń. To jeszcze groźniejsze, bo jest to autentycznie pusty pieniądz. Państwo emituje wieloletnie obligacje, które następnie skupuje bank centralny – choć tego absolutnie nie powinien robić – a płaci za nie świeżo emitowanym pieniądzem.

W komunikacie, towarzyszącym decyzji o podwyższeniu stóp procentowych, RPP dość jasno wskazała na przyczyny inflacji. Czytamy w nim: „Podwyższona inflacja wynika w głównej mierze z oddziaływania czynników niezależnych od krajowej polityki pieniężnej, w tym wyższych niż przed rokiem cen surowców energetycznych i żywnościowych na rynkach światowych, wcześniejszych podwyżek cen energii elektrycznej i opłat za wywóz śmieci oraz globalnych zaburzeń w transporcie i funkcjonowaniu łańcuchów dostaw. Dodatnio na dynamikę cen oddziałuje także trwające ożywienie gospodarcze, w tym wzrost dochodów gospodarstw domowych".

Decyzja o podniesieniu stóp o 40 punktów bazowych (z 0,1 do 0,5 proc.) była zaskakująca, bo eksperci nie spodziewali się takiego ruchu przed końcem roku. Jak przebiegało posiedzenie rady – nie wiadomo, ale huczy od plotek, że prezes NBP Adam Glapiński, który konsekwentnie inflację lekceważył, został przegłosowany, pozostali członkowie RPP, których jest dziewięcioro, przestraszyli się zaś coraz poważniejszych sygnałów ostrzegawczych. Glapiński podaje inną wersję.

Tymczasem rządzący wypłacają „czternastkę" emerytom (kolejna grupa, która pieniądze wyda natychmiast), a prezes Kaczyński zapowiada w Przysusze hojne rozdawnictwo dla rolników. Wygląda to tak, jakby rząd cieszył się z inflacji, choć staje się ona coraz poważniejszym argumentem w sporze politycznym. Tak może być faktycznie, bo inflacja to – jako się rzekło – również spadek realnej wartości pieniądza, a co za tym idzie – także realnej wartości zadłużenia oraz pieniędzy wydawanych na socjal. Ponieważ zaś rząd PiS zadłużył Polskę bardzo silnie, w dużej mierze zresztą z powodu pandemii, może mu odpowiadać to, że wartość tego długu spada. Dodatkowo w gospodarce o mocnym skrzydle socjalnym inflacja jest korzystna politycznie dla rządzących: sprzyja uzależnieniu ogromnej grupy obywateli od rozdawnictwa, które w miarę wzrostu cen staje się coraz istotniejszym składnikiem domowych budżetów.

Jakby tego było mało, rządzący nieustannie podnoszą minimalne wynagrodzenie i stawkę godzinową, nie uwzględniając przy tym uwag partnerów ze strony pracodawców zasiadających w Radzie Dialogu Społecznego. To też jest czynnik sprzyjający inflacji.

To wszystko droga donikąd. Wbrew temu, co twierdzą zwolennicy tzw. nowej ekonomii – do których wydaje się zaliczać również premier Morawiecki – gospodarka nie może funkcjonować jak perpetuum mobile, w nieustającej karuzeli kolejnych długów i inflacji. Jak słusznie powiedziała Margaret Thatcher podczas konwencji torysów w 1983 r. – rząd nie ma do dyspozycji pieniędzy innych niż te, które zarabiają ludzie. A jeśli będzie próbował tę regułę obejść, to skończy się to katastrofą.

BLISKO KATASTROFY?

Ta katastrofa być może majaczy na horyzoncie. Może przybrać wymiary głębokiej „korekty", czyli krachu, oraz stagflacji. Krach – który na pewno miałby wymiar globalny – może przypominać kryzys z lat 20. XX w. albo ten z roku 2008. Stagflacja natomiast to skrajnie groźne połączenie dwóch tendencji, które na ogół nie występują łącznie: światowej stagnacji ze wzrostem inflacji. To diabelska kombinacja, bo bardzo utrudnia wydobycie się z dołka. Ekonomiści wskazują, że jej źródłem bywa radykalny wzrost cen surowców, który zresztą przyczynia się już teraz do polskiej inflacji.

Do tego dochodzi jeszcze jeden składnik: ludzkie działania podejmowane w oparciu o własne przewidywania. W ekonomii nierzadko występuje zjawisko samospełniających się prognoz. Tak może być i tutaj: gdy eksperci zaczynają wskazywać na możliwość zaistnienia stagflacji, przedsiębiorcy zaczynają ją uwzględniać w swoich planach, co może z kolei przyspieszyć realizację tego właśnie wariantu wydarzeń.

W tym wszystkim jedno uderza szczególnie: polski rząd zachowuje się tak, jakby czarne scenariusze nie istniały i jakbyśmy mieli przed sobą wyłącznie świetlaną przyszłość. Tymczasem grzmoty nadchodzącej burzy rozlegają się coraz bliżej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4d36b1cd49

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Śmiertelnie groźne tabu

Polską debatą o służbie zdrowia – o sposobie jej organizacji i finansowania – od kilku lat rządzi tabu. Tabu narzucone przez PiS, któremu prawie wszystkie partie się poddały. Dobrze było to widać, gdy po tym, jak Tomasz Grodzki – marszałek Senatu, a z zawodu lekarz – ośmielił się oznajmić, że jego zdaniem w Polsce jest stanowczo za dużo szpitali, rzucili się na niego solidarnie politycy z większości ugrupowań. Jeśli bowiem dziś w Polsce publicznie mówi się o służbie zdrowia, to głównie o tym, że „jest ona mocno niedofinansowana i trzeba to czym prędzej naprawić". A przecież w ciągu sześciu lat rządów PiS wpływy do Narodowego Funduszu Zdrowia wzrosły niebotycznie – z niemal 70 do niemal 110 mld zł. A czy w ślad za tym choć odrobinę poprawił się los opłacających ten wzrost pacjentów?

A zatem dziś politycy nie debatują publicznie, czy 950 szpitali, które mamy w Polsce, to jednak zdecydowanie za dużo, a z kolei 130 szpitali, które powinno – według Grodzkiego – pozostać po reformie, to w sam raz lub za mało (w przywołanym przezeń, wysoko ocenianym systemie ochrony zdrowia Danii po reformie ze 132 szpitali zostało – na 5,8 mln obywateli – 16). Politycy nie rozważają, czy łożenie kroci na zakup i utrzymanie prawie tysiąca szpitali – tyluż budynków i kompletów aparatury medycznej – to na pewno najlepszy sposób wydawania pieniędzy podatników na ochronę ich zdrowia? Nie spierają się, czy nie mądrzej byłoby choć część tych pieniędzy przeznaczać na wyższe pensje lekarzy i pielęgniarek – bo tych mamy niemal najmniej w całej UE w przeliczeniu na liczbę obywateli – i w ten sposób zachęcić do powrotu część tych medyków, którzy wyemigrowali, i odwieść od emigracji następnych?

W Polsce nie dyskutuje się też od dziś publicznie o tym, czy nawet podwojenie wpływów NFZ na pewno poprawi los pacjentów, jeśli wcześniej nie zostanie naprawiony sam system ochrony zdrowia. Nie deliberuje się, czy należy znieść dyktat NFZ i odbudować system skasowanych przez SLD konkurujących ze sobą kas chorych. Nie debatuje się, czy system powinny tworzyć tylko lecznice państwowe czy także prywatne. Nie roztrząsa się, czy warto odtworzyć zlikwidowane przez PiS prywatne pogotowie ratunkowe ani czy naprawie systemu służyłoby wprowadzenie obowiązku choćby symbolicznego współpłacenia za wizyty przez pacjentów itp., itd.

Z jakichś tajemniczych powodów – w ramach narzuconego tabu? – dziś w Polsce publicznie się o tym nie dyskutuje, nie spiera się o to. Służba zdrowia ma być bowiem państwowa i koniec, szpitalik w każdym powiecie albo i w każdej gminie, żadnego współpłacenia, a limity przyjęć oficjalnie zniesione. Tabu rządzi – tabu śmiertelnie groźne w skutkach, czego rekordowa liczba nadmiarowych zgonów w Polsce w latach 2020 i 2021 jest aż nadto widomym znakiem. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Klocki ministerialne

Czy wiedzą państwo, że połączenie resortów, ich podzielenie, zamknięcie jakiegoś ministerstwa albo jego powołanie nie są darmowe? Zmienia się przyporządkowanie pracowników, zmieniają się pieczęcie, papiery firmowe, trzeba tworzyć nową stronę internetową, zamawiane są nowe tablice na budynki, przydzielane samochody i kierowcy. To kosztowna zabawa, która jednakowoż może mieć uzasadnienie. Czasami powstaje potrzeba takiej zmiany, bo jakaś dziedzina staje się szczególnie ważna albo odwrotnie – traci na wadze i nie ma sensu utrzymywać odrębnego resortu do jej obsługi. Generalnie zasada powinna być taka, aby ministerstw nie mnożyć bez potrzeby, bo ich duża liczba wzmacnia patologiczne zjawisko znane jako „Polska resortowa".

Ministerstwo Sportu to resort tworzony na ogół tylko dla zaspokojenia czyichś ambicji i potrzeb koalicyjnych

Czy odrębne Ministerstwo Sportu jest nam potrzebne – a przypominam, że w tej chwili sport mieści się w kompetencjach ministra kultury i dziedzictwa narodowego? Oczywiście – nie. To resort tworzony na ogół tylko dla zaspokojenia czyichś ambicji i potrzeb koalicyjnych. Dostaliśmy właśnie lekcję poglądową na ten temat. Najpierw ludzie Adama Bielana nie wzięli udziału w dwóch głosowaniach, zamiast wspierać PiS, a dosłownie chwilę później ogłoszono, że nowym ministrem sportu zostanie Kamil Bortniczuk, człowiek z Bielanowej partyjki, satelickiej wobec PiS.

Miałbym taką koncepcję, żeby za każdym razem premier, zmieniając organizację rządu (trzeba jeszcze nowelizować ustawę o działach administracji, określającą kompetencje ministerstw), był zobligowany do przedstawienia opinii publicznej wyczerpującego uzasadnienia takiej zmiany oraz dokładnego wyliczenia jej kosztów. Jeśli zaś chodzi jedynie o to, żeby zaspokoić postulaty tego czy innego koalicjanta, tak jak to jest w tym wypadku, to całość operacji, a może nawet i wynagrodzenia związane z powstaniem nowego resortu powinny być finansowane z pieniędzy partyjnych – niby też publicznych, ale jednak uszczuplałoby to fundusze, którymi dysponuje rządzące ugrupowanie.

Wiem, postulat utopijny, ale trudno pogodzić się z traktowaniem resortów jak klocków, które można sobie przestawiać całkowicie niezależnie od faktycznego zapotrzebowania, oczywiście za nasze pieniądze. ©℗

eprasa.pl 4d36b1cd49

Nowa ustawa deweloperska jako źródło niepotrzebnych sporów sądowych

Urszula Hofman

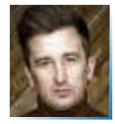

Przemysław Dzięg

W dniu 1 lipca 2022 r. wejdzie w życie Ustawa z dnia 20 maja 2021 r. o ochronie praw nabywcy lokalu mieszkalnego lub domu jednorodzinnego oraz Deweloperskim Funduszu Gwarancyjnym (dalej jako „Ustawa"), która zastąpi treść dotychczasowej ustawy z dnia z 16 września 2011 r.

Jak wskazał UOKiK w uzasadnieniu do zmian: „Celem proponowanych rozwiązań nie jest osłabienie branży deweloperskiej, a podniesienie bezpieczeństwa środków nabywców […]. Skutkiem wzrostu poziomu ochrony nabywcy jest bowiem zwiększenie bezpieczeństwa obrotu prawnego, które z kolei ma wpływ na konkurencyjność gospodarki. Należy też mieć na uwadze, że przejrzystość rozwiązań i precyzja przepisów prawnych, zwłaszcza tych nakładających określone obowiązki, wpływają na zwiększenie poziomu ich akceptacji społecznej […]".

I właśnie o precyzję i przejrzystość przepisów się rozchodzi. W toku procesu legislacyjnego UOKiK nie reagował na krytyczne zarzuty, które pod adresem niektórych rozwiązań były wobec niego kierowane m.in. przez Polski Związek Firm Deweloperskich. Przy czym nie chodzi tutaj o fakt, że były one źródłem nieuzasadnionej nadregulacji, ale o to, że wobec wprowadzanych przepisów podnoszono wiele wątpliwości natury prawno-legislacyjnej. Przepisy te ponad wszelką wątpliwość wprowadzą chaos interpretacyjny, który doprowadzi do licznych sporów sądowych między nabywcami a deweloperami.

Obecna ustawa w wielu miejscach narusza bowiem zasady prawidłowej i tzw. przyzwoitej legislacji, które wskazują na wymóg, aby przepisy redagowane były w sposób jasny, poprawny oraz oczywisty, który pozwala na ich pełne egzekwowanie.

Warto przyjrzeć się w tym miejscu kilku postanowieniom Ustawy, by przeanalizować rzeczywistą skalę jej nieścisłości i wątpliwości legislacyjnych. Nowa ustawa deweloperska wprowadza np. przy procedurze odbioru lokalu rozróżnienie na wady nieistotne i wady istotne, które mają osobne procedury usuwania. Nie mniej jednak żadne z tych pojęć nie ma swojej definicji w ustawie. Jak wyjaśnił UOKiK w stanowisku do zgłoszonych w toku konsultacji uwag: „Jest to celowy zabieg, który w przypadku ewentualnych wątpliwości interpretacyjnych pozwoli wykorzystać istniejące bogate i ugruntowane orzecznictwo lub doktrynę – wprost albo na zasadzie a contrario". Zatem już w założeniu projektowanych przepisów Urząd ma świadomość, że będą one powodować spory interpretacyjne, co kłóci się tym samym z ww. zasadą przejrzystości i określoności prawa.

Z uwagi na brak definicji wady istotnej klient może uznać najbardziej nawet błahy mankament budynku lub mieszkania za posiadający taką wadę. W przypadku braku uznania wady przez dewelopera klient ma możliwość usunięcia wady w ramach wykonawstwa zastępczego, co powoduje, że prace w budynku może wykonywać wiele ekip, które nie będą weryfikowane przez generalnego wykonawcę czy inwestora. Branża deweloperska zastanawia się nad gwarancją i rękojmią budynku w przypadku tzw. wykonawstwa zastępczego.

Druga wątpliwość, jakiej UOKiK nie wyjaśnił, wskazując, że nie jest organem, który może udzielać wiążących wykładni przepisów prawa, które sam stworzył, dotyczy przepisów przejściowych.

Otóż, zgodnie z przepisami przejściowymi (art. 76, ust. 1), jeżeli przed dniem wejścia w życie ustawy, czyli przed 1 lipca 2022 r., deweloper rozpocznie sprzedaż i zawrze przynajmniej jedną umowę deweloperską na „starych zasadach", to wówczas jeszcze przez dwa lata może realizować tak rozpoczęte przedsięwzięcie deweloperskie według przepisów starej ustawy, czyli do 1 lipca 2024 r. W ust. 2 art. 76 wskazano z kolei, że wszystkie umowy deweloperskie takiego przedsięwzięcia, zawarte w okresie 1 lipca 2022 r.–1 lipca 2024 r., można skończyć na starych zasadach, czyli powiedzmy nawet w 2026 r. można przenieść własność takiego lokalu. Co jednak z umowami zawartymi przed 1 lipca 2022 r.? Literalnie brzmienie art. 76, ust. 1 wskazuje, że mamy czas na ich sfinalizowanie, ale tylko do 1 lipca 2024 r. Jeśli tego nie zrobimy, to po tej dacie zastosowanie znajdzie nowa ustawa.

Czy jeśliby przyjąć, że wszystkie umowy deweloperskie zawarte w okresie przed 1 lipca 2022 r. (czyli przed wejściem w życie ustawy) mogą zostać zakończone według przepisów starej ustawy, ale przeniesienie własności lokalu ma mieć miejsce tylko do 1 lipca 2024 r., to co w sytuacji, gdy np. na skutek kolejnych fal epidemii COVID-19 (niezależnie od woli stron) umowa taka nie zostanie w tym terminie sfinalizowana i np. w grudniu 2024 r. (czyli już po dwóch latach) nabywca miałby zapłacić ostatnią transzę płatności? W dniu, kiedy rozpoczynano sprzedaż w ramach tej inwestycji, nie istniało rozporządzenie określające wysokość stawki wpłat na Deweloperski Fundusz Gwarancyjny. W związku z tym w jakiej wysokości deweloper miałby uiścić składkę? Zgodnie z rozporządzeniem aktualnym na jaki dzień?

PZFD zwrócił się z tym pytaniem do UOKiK – autora przepisów. Niestety, w odpowiedzi przyszła informacja, że UOKiK nie jest powołany do wydawania wykładni i wyjaśniania przepisów prawa. Tym samym po 1 lipca 2022 r. należy się spodziewać, że ciężar interpretacji i braku precyzyjności stworzonych przez UOKiK przepisów zostanie przerzucony na sądy, które w sporach między nabywcami a deweloperami będą rozstrzygać, co miał na myśli UOKiK, projektując dane przepisy.

A jak podkreślono w orzeczeniu Trybunału Konstytucyjnego z dnia 15 kwietnia 2003 r. (SK 4/02): „Niejasność przepisów jest wyrazem niedostatecznej troski ustawodawcy o podmiotowe traktowanie adresatów prawa, co odbiera [im] […] poczucie bezpieczeństwa prawnego i skutkuje utratą zaufania do państwa".

Artykuł powstał przy współpracy Grupa Inwest i PZFD.

MATERIAŁ PARTNERA

eprasa.pl 4d36b1cd49

Niesamowicie spokojny człowiek

Łukasz Majchrzyk

Łukasz Fabiański to jeden z najbardziej lubianych polskich piłkarzy. Na każdym kroku udowadnia, że sława i wielkie pieniądze nie muszą oznaczać oderwania się od rzeczywistości

Schodził z boiska w 57. minucie spotkania z San Marino. Moment nie był przypadkowy. Dokładnie tyle razy Fabiański występował w koszulce z białym orzełkiem. Kibice na Stadionie Narodowym żegnali go brawami i transparentami, a koledzy z reprezentacji oraz rywale utworzyli szpaler. W ten sposób żegna się największych zawodników i jednocześnie takich, którzy swoją postawą zasłużyli na szacunek oraz sympatię.

Nie chodzi jedynie o klasę sportową, która w przypadku bramkarza reprezentacji Polski jest niepodważalna. Liczy się też jego stosunek do kolegów z drużyny i kibiców. Czasami trzeba dla dobra drużyny milczeć i pogodzić się z tym, że ktoś inny jest lepszy, a przynajmniej tak jest postrzegany. Bramkarze mają pod tym względem wyjątkowo trudną sytuację. W meczu może wystąpić tylko jeden, a rezerwowy musi czekać na swoją szansę do kolejnego spotkania, zagryzać zęby i na treningu próbować udowodnić, że to jednak on jest lepszy. Właśnie tak potrafił się zachowywać przez wiele lat bramkarz West Ham United.

Fabiański podczas pożegnania z reprezentacją sam uronił kilka łez i całował narodowe godło. Nie ma się czemu dziwić, bo grze w biało-czerwonych barwach poświęcił kilkanaście lat. To były zaszczyt, przyjemność, gratyfikacje finansowe i możliwość gry na największych turniejach. To była też jednak ciężka praca i wielotygodniowa rozłąka z rodziną.

ZAWSZE COŚ NA PRZESZKODZIE

Był dla reprezentacji na każde zawołanie i wtedy najlepiej pokazywał, że potrafi schować ego do kieszeni. Wiele razy mógł się czuć rozczarowany, kiedy w najważniejszych momentach selekcjonerzy

FOT. KACPER PEMPEL/REUTERS/FORUM

eprasa.pl 4d36b1cd49

stawiali na kogoś innego – najpierw na Artura Boruca, a później na Wojciecha Szczęsnego. Czasami sporo paliwa do uczucia frustracji mogli dolać dziennikarze piszący, że to właśnie on bardziej zasłużył na bluzę z numerem 1.

To ciekawe i wiele mówiące o Fabiańskim, że jego drogi z oboma rywalami do miejsca w bramce reprezentacji Polski wielokrotnie się przecinały i nigdy nie było słychać o jakichkolwiek konfliktach. Spotkali się w Legii, gdzie Fabiański najpierw uczył się od Boruca i był jego zmiennikiem, a potem następcą, gdy starszy kolega odszedł do Celticu Glasgow. Szczęsny grał w tym czasie w drużynach juniorskich.

Fabiański zastąpił Boruca godnie i razem z nim oraz z Jerzym Dudkiem zapoczątkował modę na polskich bramkarzy w Europie. Kiedy jeszcze polscy kibice nie mogli marzyć, że pojawi się gracz kalibru Roberta Lewandowskiego, pocieszali się, że chociaż na pozycji bramkarza mamy nad Wisłą gwiazdy, a Polska potęgą jest i basta.

Najpierw wielkie sukcesy święcił Dudek, który wygrał Ligę Mistrzów z Liverpoolem. Potem w bramce reprezentacji stanął najbardziej szalony z nich wszystkich Boruc, a Fabiański cały czas był gdzieś w cieniu. Czekał na swoją szansę, kilka razy wydawało się, że ona jest na wyciągnięcie ręki i puka do drzwi, ale potem po cichutku odchodziła. A kibice wiedzieli, że mając go w drużynie, można się było czuć bezpiecznie i pewnie.

Można usłyszeć opinie, że jest doskonale wyszkolony i jeśli chodzi o umiejętności, trudno znaleźć lepszego. Do tego trzeba dodać u Fabiańskiego znakomite warunki fizyczne. Może mógłby zostać najlepszym zawodnikiem na świecie na swojej pozycji? Coś jednak zawsze stawało na przeszkodzie.

Można wskazać na kontuzje, które wyhamowały rozwój jego kariery, ale Fabiański w rozmowie z Michałem Kołodziejczykiem przed mundialem w Rosji w 2018 r. nie zrzucał winy na pecha, był szczery wobec siebie i raczej w swojej postawie szukał przyczyn tego, że się nie udało osiągnąć jeszcze więcej. Kiedy już stawał na dobre między słupkami bramki Arsenalu, to przychodziły urazy. Fabiański po kilku latach był w stanie przyznać, że gdyby inaczej pracował na treningach, to tych nieszczęśliwych zdarzeń by uniknął, podobnie jak błędów, dzięki którym na pewien czas zyskał przydomek Flappyhandski.

Polscy piłkarze lubią w takich sytuacjach opowiadać, że trener ich nie lubi i się na nich uwziął, a w ogóle to nie rozumieją tej sytuacji. W przypadku Fabiańskiego próżno szukać takich wywiadów. Nie narzekał nigdy nawet na Szczęsnego, który przy okazji jednej kontuzji „zabrał" mu miejsce w bramce Arsenalu, a później to samo zrobił także w reprezentacji Polski. Fabiański przyznał, że dzięki tym urazom bardziej się rozwinął, dojrzał i później mógł lepiej zbudować swoją karierę, chociaż w mniej medialnych drużynach. Kontuzja zabrała mu też szansę występu w mistrzostwach Europy w Polsce rozgrywanych w 2012 r.

BOHATER MISTRZOSTW EUROPY

Cztery lata później los oddał mu to, co wcześniej zabrał, chociaż w bardzo przewrotny sposób. Fabiański do tego czasu stał się ulubieńcem kibiców Swansea i pewnym punktem reprezentacji Polski, prowadzonej przez Adama Nawałkę. Nie zawodził w czasie trudnych eliminacji do mistrzostw Europy. Mógł się czuć pewnie, był w formie, ale przed turniejem i tak usłyszał, że usiądzie na ławce rezerwowych, a w bramce stanie Szczęsny. Pewnie tydzień wcześniej pomyślałby, że to mało śmieszny żart. Na szczęście nie rzucił rękawicami i się nie obraził. Dostał swoją szansę szybciej, niż się wszyscy spodziewali. Już w pierwszym meczu Szczęsny doznał kontuzji, a Fabiański zajął jego miejsce. Nie zawiódł w spotkaniu z Niemcami ani w starciu z Ukrainą. W kolejnej rundzie był bohaterem, kiedy w najważniejszych momentach zatrzymywał Szwajcarów.

Polacy awansowali do ćwierćfinału w dużej mierze dzięki Fabiańskiemu, a jednak ten turniej jest też dla niego zadrą. W ćwierćfinale Portugalia pokonała Biało-Czerwonych po serii rzutów karnych, a nasz bramkarz ma do siebie pretensje o to, że nie złapał decydującego uderzenia. Co cię nie zabije, to cię wzmocni – już to przecież przerabiał. Zaczął mocniej trenować bronienie strzałów z 11 metrów i potem w lidze angielskiej zbierał tego efekty.

Mimo wszystko po tym turnieju stał się jeszcze bardziej popularny – do tego stopnia, że portale plotkarskie zaczęły wyjaśniać swoim czytelnikom, kim w ogóle jest. Musiały to zrobić, bo o zawodniku i jego rodzinie jest wyjątkowo cicho (ożenił się ze swoją licealną miłością).

Fabiański nie lubi rozgłosu, nie widać go w dyskotekach, najlepiej odpoczywa w gronie najbliższych. Jest raczej introwertykiem, który rzadko podnosi głos, choć zdarza mu się popłakać. Łzy popłynęły mu z oczu nie tylko w trakcie ostatniego meczu w reprezentacji Polski, lecz także po przegranym ćwierćfinale Euro 2016 z Portugalią czy wtedy, kiedy Swansea spadało z Premier League.

Polak był najlepszym zawodnikiem swojej drużyny w całym sezonie. Obronił trzy rzuty karne, kibice go uwielbiali i do niego nikt nie miał pretensji o słabe wyniki drużyny. Jednak kiedy skończył się ostatni mecz, widać było na twarzy Fabiańskiego wzruszenie. Kończył mu się kontrakt i wszyscy wiedzieli, że w Walii nie zostanie. Może i dobrze się tam czuł, ale wiedział, że ciągle może grać na najwyższym poziomie. Jednak na pewno będą go w Swansea dobrze wspominać nie tylko za formę sportową, lecz także za to, jakim jest człowiekiem. Przykłady? Kiedy zobaczył, że członkowie sztabu mają problem z zabraniem na trening wszystkich potrzebnych sprzętów, kupił im mały samochód elektryczny. Nikomu się tym nie chwalił, a kiedy sprawa wypłynęła, tylko powściągliwie to potwierdził.

W londyńskim West Ham, dokąd trafił przed MŚ 2018 w Rosji, też zyskał opinię skromnego. Tamtego lata los znowu się na niego uwziął. Zagrał niemal we wszystkich meczach eliminacyjnych do turnieju, a kiedy przyszło do pierwszego meczu, powtórzyła się historia z turnieju we Francji: Szczęsny na boisko, Fabiański na ławkę. Kibice, tak jak dwa lata wcześniej, podzielili się na dwa obozy. Każdy z bramkarzy miał swoich zwolenników, ale ostateczne słowo należało przecież do selekcjonera.

Nie jest skoncentrowany tylko na futbolu. Interesuje się kinem i jest pasjonatem koszykówki. Opowiadał, że kiedy w Chicago oglądał rzeczy związane z Michaelem Jordanem, czuł się jak dziecko w sklepie z zabawkami. Sam też nieźle gra. W Internecie można znaleźć filmiki, jak dla żartu rywalizuje z byłą gwiazdą NBA Jasonem Kiddem i… wygrywa.

Po zakończeniu reprezentacyjnej kariery będzie miał trochę więcej czasu na oglądanie meczów najlepszej koszykarskiej ligi świata. Kończyć gry w klubie na szczęście nie zamierza. Zapowiada, że jeśli zdrowie pozwoli, to chce grać do 40. roku życia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4d36b1cd49

FOT. ADOBESTOCK

Dobrze leczmy choroby przewlekłe

Katarzyna Pinkosz

Polska jest jednym z krajów UE, które najmocniej odczuły skutki pandemii COVID-19. To ostatni dzwonek, by przygotować się do czwartej fali, by nie powtórzyła się sytuacja z poprzednich miesięcy

Skutki epidemii COVID-19 w Polsce najlepiej widać po twardych danych w postaci liczby zgonów. W samym 2020 r. zmarło o ponad 67 tys. osób więcej niż rok wcześniej, pierwszy raz skróciła się też oczekiwana długość życia Polaków. Na pełne dane za 2021 rok jeszcze poczekamy, jednak liczba nadmiarowych zgonów znów będzie wysoka, choć jest jeszcze czas, by zrobić wszystko, by ją ograniczyć.

UWAGA NA CHOROBY WSPÓŁISTNIEJĄCE

Podczas epidemii ucierpieli nie tylko chorzy na COVID-19, lecz także szczególnie osoby z chorobami współistniejącymi. Jak bardzo zagrożona jest to grupa, pokazywał już raport opublikowany przez Ministerstwo Zdrowia w lutym 2021 r. Wynikało z niego, że skutki pandemii najbardziej odczuwali pacjenci z chorobami układu krążenia (śmiertelność wzrosła niemal o 17 proc.). – Szpitale, szczególnie w okresie nasilenia fal epidemii, były nastawione przede wszystkim na leczenie pacjentów zakażonych COVID-19, ograniczały więc liczbę przyjęć do planowych procedur kardiologicznych, spadła również liczba leczonych ostrych zawałów serca, co również musiało odbić się na wzroście śmiertelności, a także na wzroście liczby osób z niewydolnością serca – tłumaczy prof. Adam Witkowski, past prezes Polskiego Towarzystwa Kardiologicznego. Na pewno dużą rolę odgrywał też lęk pacjentów w pierwszych miesiącach pandemii przed pójściem do szpitala z powodu ryzyka zakażenia.

Na drugim miejscu na czarnej liście znaleźli się chorzy na cukrzycę, wśród których liczba zgonów wzrosła

eprasa.pl 4d36b1cd49

o 15,9 proc. Mocno ucierpieli także pacjenci z chorobami neurologicznymi, przewodu pokarmowego, schorzeniami psychiatrycznymi, chorobami płuc. – Choroby współistniejące, przewlekłe, takie jak niewydolność serca, cukrzyca, mają niebagatelny wpływ na przebieg każdej innej choroby, czy to jest grypa czy zapalenie płuc, czy COVID-19, który obciąża wszystkie narządy, a są one już obciążone powikłaniami choroby przewlekłej – mówi prof. Jarosław Fedorowski, prezes Polskiej Federacji Szpitali.

Wydaje się, że w czwartej fali najbardziej zagrożone są dwie grupy pacjentów. Pierwsza to osoby niezaszczepione. – Liczba zajętych łóżek w szpitalach z powodu COVID-19 już rośnie, choć nie aż tak bardzo jak w październiku ubiegłego roku czy na przełomie marca i kwietnia. Są to głównie osoby niezaszczepione, często młode, bez chorób przewlekłych. Wiele z nich ma pełnoobjawowy przebieg COVID-19 z zajęciem płuc, których obraz w tomografii komputerowej przypomina „mleczną szybę". Ci chorzy mają duże ryzyko powikłań i kilkuprocentowe ryzyko zgonu – dodaje prof. Fedorowski.

Drugą grupą zagrożoną w czasie czwartej fali są osoby chorujące na choroby przewlekłe, jeśli nie są leczone optymalnie.

CZERWONA LAMPKA W CUKRZYCY

– Dane wskazują, że jedna trzecia zmarłych z powodu COVID-19 to osoby z cukrzycą. Dużo było też nadliczbowych zgonów z powodu cukrzycy. Pandemia bardzo źle wpłynęła na tych pacjentów, szczególnie mających powikłania sercowo-naczyniowe i niewyrównany poziom glukozy – mówi Anna Śliwińska, prezes Zarządu Głównego Polskiego Stowarzyszenia Diabetyków.

Czynnikiem ryzyka jest nie tyle sama cukrzyca, ile jej nieoptymalne wyrównanie [tj. poziom HbA1c >7 proc.; HbA1c to hemoglobina glikowana – przyp. red.] i powikłania, to znaczy: choroba sercowo-naczyniowa, wysokie ryzyko sercowo-naczyniowe, niewydolność serca, nerek, otyłość. – Zawsze trzeba dbać o dobre wyrównanie cukrzycy, jest to jednak szczególnie ważne w sytuacji takiego zagrożenia, w jakim dziś się znajdujemy, związanego z epidemią COVID-19 – potwierdza prof. Dorota Zozulińska-Ziółkiewicz, prezes Polskiego Towarzystwa Diabetologicznego.

Wyrównanie cukrzycy, czyli taki poziom glukozy we krwi, który nie niszczy naczyń krwionośnych i nie zwiększa ryzyka zgonu, nie jest jednak proste. Konieczne są właściwe monitorowanie, polegające na częstym mierzeniu poziomu cukru, i optymalne leczenie. – Populacja pediatryczna w Polsce, która ma możliwość korzystania z systemów do ciągłego monitorowania glikemii i nowoczesnych insulin, jest niemal najlepiej wyrównaną glikemicznie populacją chorych na cukrzycę na świecie – przyznaje prof. Zozulińska-Ziółkiewicz. Dlatego diabetolodzy apelują, by te systemy były dostępne dla większej grupy chorych, także dla dorosłych stosujących insulinę, szczególnie z cukrzycą typu 1.

W przypadku cukrzycy typu 2 ważna jest możliwość stosowania nowoczesnych leków, które nie tylko ułatwiają utrzymywanie poziomu cukru na optymalnym poziomie, lecz także zmniejszają ryzyko powikłań sercowo-naczyniowych, które są najczęstszą przyczyną przedwczesnych zgonów. – Dobre wyrównanie cukrzycy typu 2 nie jest proste, to podstępna choroba, często trudna do opanowania, nawet jeśli codziennie robimy to samo i jemy to samo, to poziomy cukru mogą być różne. W wyrównaniu cukrzycy i zapobieganiu powikłaniom bardzo pomaga nowoczesna farmakoterapia, która dziś jest wręcz rewolucyjna i jako jedyna przeznaczona właśnie dla pacjentów z licznymi powikłaniami, niestety dostępna w Polsce tylko dla małej grupy pacjentów – dodaje Anna Śliwińska.

Nowoczesna farmakoterapia to dwie grupy leków: flozyny (inhibitory SGLT-2) oraz leki inkretynowe (analogi GLP-1). W Polsce są one refundowane tylko dla bardzo wąskiej grupy pacjentów z powikłaniami, z bardzo źle monitorowaną cukrzycą (hemoglobina glikowana powyżej 8 proc). – Apelujemy, by poszerzyć kryteria refundacyjne dla tych leków. Idealnie byłoby, gdybyśmy mogli być spójni z rekomendacjami zawartymi w zaleceniach Polskiego Towarzystw Diabetologicznego. Jeśli musielibyśmy wskazać grupę najbardziej potrzebujących pacjentów, to byłyby to osoby z powikłaniami cukrzycy i hemoglobiną glikowaną powyżej 7 proc., a nie 8 proc. Stosowanie tych leków przekłada się nie tylko na obniżenie poziomu glikemii, lecz także na zmniejszone ryzyko sercowo-naczyniowe i szansę na dłuższe życie. W przypadku zachorowania na COVID-19 źle wyrównana cukrzyca to jeden z najpoważniejszych czynników ryzyka – przypomina prof. Zozulińska-Ziółkiewicz.

POMOC DLA SERCA

Na flozyny – o których szersze udostępnienie chorym apelują diabetolodzy – czekają też od dwóch lat kardiolodzy, a przede wszystkim pacjenci z niewydolnością serca, również bardzo mocno narażeni na zgon w przypadku zachorowania na COVID-19. Dwa leki spośród flozyn uzyskały już rejestrację w leczeniu niewydolności serca, a od września 2021 r. ich stosowanie znajduje się w rekomendacjach Europejskiego Towarzystwa Kardiologicznego. Badania kliniczne udowodniły, że zmniejszają one ryzyko hospitalizacji (co ważne szczególnie w okresie COVID-19), a także wydłużają życie. W Polsce nie są dostępne dla chorych w ramach refundacji, choć nikt nie ma wątpliwości, że to skuteczne i bezpieczne leki. – Według najnowszych wytycznych flozyny to leki podstawowe i błędem w sztuce jest nie zaproponować ich choremu. Mamy nadzieję, że nasi pacjenci, chociaż ci najbardziej potrzebujący, będą mieli do nich dostęp. Pozwoliłyby zapewnić pacjentom lepsze funkcjonowanie i uchronić ich przed hospitalizacją, czego tak bardzo chcemy, szczególnie w dobie pandemii COVID-19. Z nadzieją czekamy na listopadową listę refundacyjną, gdyż nie zrealizowały się dotychczasowe deklaracje Ministerstwa Zdrowia refundacji flozyny w niewydolności serca w maju lub lipcu tego roku – mówi dr Marta Oleksy-Kałużna, kardiolog, prezes Polskiego Stowarzyszenia Osób z Niewydolnością Serca.

– Przez ostatnie pięć lat zwiększyły się o 125 proc. wydatki na hospitalizacje chorych z niewydolnością serca, przy jednoczesnym systematycznym wzroście liczby zgonów tych chorych. Hospitalizacje powinny być ograniczane, bo są świadectwem nieoptymalnego leczenia. Te środki powinny być skierowane na optymalną farmakoterapię, zgodną z wytycznymi, i koordynowaną opiekę nad tymi pacjentami. Czekamy na nowoczesne terapie dla pacjentów z niewydolnością serca, poprawiłyby one efektywność leczenia. Konieczna jest też poprawa opieki nad chorymi, którzy powinni mieć systematyczne kontrole, plan leczenia, by nie pojawiały się zaostrzenia choroby – dodaje prof. Adam Witkowski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4d36b1cd49

Z prof. dr. hab. n. med. Grzegorzem Dzidą, kierującym Kliniką Chorób Wewnętrznych UM w Lublinie
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Chrońmy chorych na cukrzycę

KATARZYNA PINKOSZ: Czy z pana doświadczeń widać, że chorzy na cukrzycę są szczególnie zagrożeni ciężkim przebiegiem COVID-19?

PROF. DR HAB. N. MED. GRZEGORZ DZIDA: Niestety, tak. Źle wyrównana cukrzyca (HbA1c >7 proc.) zwiększa ryzyko ciężkiego przebiegu COVID-19, hospitalizacji, pobytu na oddziale intensywnej terapii, zgonu. Obniża mechanizmy obronne organizmu. Wszyscy powinniśmy zaszczepić się przeciw COVID-19, ale dla chorych na cukrzycę to bezwzględna konieczność. Jako Polskie Towarzystwo Diabetologiczne zawsze zalecaliśmy pacjentom szczepienia, teraz też, nie tylko przeciw COVID-19, lecz także przeciw grypie oraz przeciw pneumokokom. Szczyt czwartej fali pokryje się ze szczytem zachorowań na grypę oraz infekcji grypopodobnych, a bardzo często nakłada się na nie pneumokokowe zapalenie płuc, które jest przyczyną hospitalizacji i zgonów.

Chorzy zdają sobie z tego sprawę? Szczepią się?

Pacjenci dbający o siebie i mający świadomość zagrożenia – tak. Niestety, wiele osób ma sceptyczne podejście do sprawy szczepień, również chorzy na cukrzycę. Widzę to na terenie Lubelszczyzny, gdzie w tej chwili jest tak dużo zachorowań na COVID-19. Czwarta fala na Lubelszczyźnie już się rozhulała. Podkreślamy, że jeszcze nie jest za późno, namawiamy, żeby jeszcze to zrobili. Wśród chorych na cukrzycę nie widzę specjalnie antyszczepionkowców, są jednak sceptycy; tych mamy jeszcze szansę namówić, dużą siłę przekonywania mają najbliżsi, rodzina. W mojej praktyce lekarskiej prawie wszyscy pacjenci są zaszczepieni, ale widzę, że nie zawsze tak jest.

Rokowanie w COVID-19 pogarsza źle wyrównana cukrzyca. Ale co to znaczy „źle wyrównana"?

Granicą, gdy rokowanie gwałtownie się pogarsza, jest stężenie cukru we krwi powyżej 200 mg/dl. To prosta droga do ciężkiego przebiegu COVID-19 i powikłań. Szczególnie w okresie pandemii trzeba wyjątkową wagę przywiązywać do dobrego wyrównania cukrzycy. Zapewnia to lepszą obronę organizmu.

W listopadzie mijają dwa lata od przełomowej decyzji, którą była refundacja nowoczesnych leków w cukrzycy typu 2, jakimi są flozyny. Dostęp do nowoczesnych terapii ułatwia wyrównanie cukrzycy?

Tak, bardzo się cieszymy z możliwości ich stosowania. Problemem jest jednak to, że te nowoczesne leki są refundowane zbyt wąsko, dla małej grupy chorych. Obecnie w sytuacji epidemii kryteria refundacyjne są szczególnie nieuzasadnione. Prawo do refundacji nabywa chory na cukrzycę typu 2, który co najmniej przez pół roku był źle leczony, to znaczy miał hemoglobinę glikowaną powyżej 8 proc. Oznacza to, że musiał mieć poziomy cukru znacznie powyżej 200 mg/dl. Po to, by dostać refundowane nowoczesne leczenie, chory musi przez co najmniej pół roku przyjmować dwa leki doustne i mieć mimo to tak wysokie poziomy cukru. Muszę go przez pół roku źle leczyć!

To absurdalne, szczególnie w okresie epidemii COVID-19, gdy tak złe wyrównanie cukrzycy wręcz naraża chorego na ciężki przebieg infekcji, a nawet zgon.

Tak. Te nowoczesne leki nie tylko obniżają poziom cukru we krwi, czyli prowadzą do dobrego wyrównania cukrzycy, lecz także – co jest udowodnione – zmniejszają śmiertelność ogólną; mają tak dobre działanie na układ krążenia. Zmniejszają ryzyko hospitalizacji, także z jakiejkolwiek przyczyny, czyli pacjenci rzadziej trafiają do szpitala, co w obecnej sytuacji jest niesłychanie ważne. Zmniejszają ryzyko powikłań sercowo-naczyniowych, progresję choroby nerek, czyli osoby przyjmujące nowoczesne leki będą rzadziej wymagały dializ czy przeszczepienia nerek. A patrząc farmakoekonomicznie, bo mamy takie wyliczenia, w długoletniej perspektywie to dobra inwestycja w zdrowie oraz ograniczenie wydatków na leczenie powikłań.

Sukcesem jest, że te leki są dostępne w Polsce, jednak problemem jest ograniczona dostępność. W wielu krajach naszej części Europy, np. w Czechach, na Słowacji, Węgrzech, te leki są refundowane o wiele wcześniej, pacjenci mają do nich większą dostępność. W Polsce warunki refundacji są bardzo zawężone. Odsuwamy w czasie dobroczynne działania tych leków, gdy chory ma już powikłania, których nie można cofnąć.

Widzi pan pacjentów, dla których te leki byłyby wskazane, a nie można ich wypisać na receptę ze zniżką?

Codziennie. To pacjenci z cukrzycą, ale też z chorobami współistniejącymi, takimi jak choroba niedokrwienna serca, po udarze mózgu, z otyłością, z upośledzeniem funkcji nerek. Te osoby często są pacjentami w gabinetach diabetologicznych, gdyż cukrzyca powoduje tak poważne powikłania. Zwykle mówię o tych lekach, uprzedzam, jaka jest ich cena. Niestety, wielu nie może sobie na to pozwolić i często są to ci najbardziej chorzy, którzy najwięcej by na nich skorzystali. To jedne z wielu leków, które powinni przyjmować; rachunki, które płacą w aptekach, często są kolosalne. Dołożenie miesięcznie 200 zł w przypadku flozyn czy ponad 300 zł w przypadku analogów GLP-1 dla wielu pacjentów jest ciężarem nie do udźwignięcia.

Ważne, żeby zaczęli się optymalnie leczyć już dziś, gdy zaczyna się czwarta fala?

Tak, bo tracą zdrowie. Powinni być jak najszybciej leczeni nowoczesnymi lekami, które mają wyraźnie korzystny wpływ na ich zdrowie i życie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4d36b1cd49

Wywiad z Panem Józefem Kubicą, p.o. Dyrektorem Generalnym Lasów Państwowych

Lasy Państwowe na rzecz ochrony rynku surowca drzewnego

Panie dyrektorze, podobno Lasy Państwowe drastycznie podniosły ceny drewna?

Nic podobnego. Wciąż sprzedajemy je po stawkach ustalonych jeszcze w końcu ubiegłego roku, nim koniunktura na rynku amerykańskim wywindowała je na niespotykany poziom. I nawet kiedy w maju organizowaliśmy aukcje na 10 proc. rocznego wolumenu, nasza cena wyjściowa była zdecydowanie niższa, ustalona na podstawie długookresowej sprzedaży. Na aukcjach ceny poszybowały, ale przecież licytowali sami kupujący. Mam wrażenie, że winą za własną politykę zakupów próbują przerzucić na Lasy.

Może te ceny były wysokie, bo wcześniej Lasy za dużo wyeksportowały za granicę? Drewna zaczęło brakować i stąd cenowa gorączka.

Rzecz w tym, że Lasy nie eksportują. Nie szukamy klientów poza krajem, nie organizujemy spedycji. Cała oferta trafia do absolutnie bezstronnych elektronicznych procedur sprzedaży. Nabywcy rejestrują się w tym systemie i z naszej strony nie ma tu miejsca na absolutnie żadną stronniczość.

To może w ten sposób, nawet o tym nie wiedząc, wpuściliście na rynek Chińczyków?

W zeszłym roku firmy z regonem spoza Unii Europejskiej kupiły dokładnie… promil naszej oferty.

Kto więc wysyła polskie drewno do Chin?

Pośrednicy. Wyrosła nam grupa firm, które zrezygnowały z przerobu, i jedyne, czym się zajmują, to wyszukiwanie zagranicznych klientów i ładowanie surowego drewna w kontenery.

Typowa spekulacja, możliwa tylko wówczas, gdy istnieje różnica cen, a polskie drewno jest tanie w stosunku do cen światowych. To obnaża absurd narracji na temat polityki Lasów Państwowych, która jednocześnie napędza i ceny, i eksport. To czysty populizm.

Jednak drewno z Polski wyjeżdża. Nasze przedsiębiorstwa mogą czuć się zaniepokojone.

Sektor gospodarki związany z leśnictwem – głównie przemysł tartaczny, meblarski i papierniczy – to nawet 400 tys. miejsc pracy. Jesteśmy kołem zamachowym tego gospodarczego łańcucha. Gdy nieprzerobione drewno wyjeżdża z kraju, znikają etaty. Słabną nasi stali partnerzy. Dostrzegamy ten problem i postanowiliśmy zdecydowanie zadziałać, formułując zabezpieczenia w zasadach sprzedaży na kolejne dwa lata. Dodatkowe, bo cały system sprzedaży jest tak skonstruowany, że promuje stałych klientów.

Teraz każda firma, które chce kupować drewno w Lasach Państwowych, składa oświadczenie, jaką część drewna przerabia i czy robi to na terenie Unii Europejskiej. Będą za to dodatkowe punkty, a w efekcie większy przydział i niższa cena drewna. Spekulantów czeka podwyżka.

W oświadczeniu można napisać cokolwiek.

Zdecydowanie odradzam. Tak skonstruowaliśmy umowę, że podanie nieprawdy skutkuje jej rozwiązaniem. Do tego wiarołomny biznesmen zapłaci karę w wysokości 15 proc. wartości umowy. Dla przeciętnego tartaku to setki tysięcy złotych i brak dostępu do surowca w danym roku i w kolejnych latach, bo nieuczciwy pośrednik robi sobie lukę w premiowanej historii zakupów.

Dlaczego w ogóle nie zamkną państwo dostępu do drewna zagranicznym firmom?

Proszę pamiętać, że Lasy Państwowe nie są regulatorem rynku. Dla Urzędu Ochrony Konkurencji nie ma „handlarzy" czy „spekulantów". Są klienci, których należy równo traktować. Nie wszystkim się to musi podobać, tak jak tegoroczna zamiana ceny maksymalnej na wskaźnikową, również wyegzekwowana przez UOKiK.

Lasy Państwowe robią wszystko, by zgodnie z prawem chronić rodzimy przemysł drzewny. Stabilność firm tego sektora to także nasza stabilność i stabilny rynek dla klientów detalicznych. Czyli dla polskich rodzin, które potrzebują nowych mebli, drewna na remont domu czy książek i zeszytów dla dzieci, bo one też są z drewna.

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl 4d36b1cd49

JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Indie w Krakowie

Jedną z najstarszych polskich gospód była Piwnica Świdnicka zwana po prostu Indiami lub Indią. Jak podają Jan Kracik i Michał Rożek, niestrudzeni badacze ciemnych miejsc dawnej stolicy Polski w swoich „Hultajach, złoczyńcach, wszetecznicach w dawnym Krakowie", mieściła się ona w północno-zachodniej części piwnic nieistniejącego dziś ratusza miejskiego koło Sukiennic. Cóż to było za miejsce! Działało prawie 400 lat, oferując nie tylko wyszynk dobrego piwa i gorzałki, lecz także tańce, hulanki, nierząd i swawole. W roku 1717 nazwano je „jaskinią łotrowską", ponieważ można było tutaj nie tylko zażyć zabawy i pozbyć się wypchanego mieszka, lecz także przenocować, przechować się wraz z łupami, jak w złodziejskiej dziupli. Tak uczynił np. w 1757 r. niejaki Maciej Głogowski, który oskarżony o kradzież wyznał, że mieszkał w Piwnicy Świdnickiej przez pięć niedziel. Gospoda była też miejscem uprawiania nierządu. „Tu niecne białogłowy wiedząc, że mężczyźni podochoceni z piwnicy wychodzą, sidła na nich zastawiały przy wejściu, które Indiami zowią" – pisał w XIX w. J. Louis. Andrzej Frycz Modrzewski biadał zaś: „Ludzie próżnujący cały dzień tam przeleżą, a żywią się z nierządnicami bardzo rozpustnie; dzieweczek i niewiast uczciwych pod zasłoną tańca albo jakiej innej gry do siebie proszą, a w ten czas o ich stateczność pilnie starają".

Uważne studiowanie dawnych planów ratusza rozebranego w 1820 r. pokazuje, że Indie sąsiadowały przez ścianę z więzieniem miejskim – kabatami, gdzie wsadzano dłużników i pomniejszych przestępców, a także męczennicą, czyli salą tortur. W istocie trudno wyobrazić sobie lepsze miejsce do ukrywania się, gdyż wszem wobec jest wiadomo, że najciemniej jest

FOT. DOMENA PUBLICZNA

pod latarnią. Na piętrze, nad piwnicą, mieściły się spichlerze miejskie, a na południe od niej – reprezentacyjne sale krakowskiego ratusza.

Piwnica miała od zachodu cztery, a od północy – trzy okna, wchodziło się do niej po schodach, z których jedne prowadziły od strony dzisiejszej ul. Szewskiej, a drugie – od północy, wprost z Rynku Głównego. Ambroży Grabowski pozostawił nam zresztą obraz Piwnicy, którą pamiętał z wczesnych lat młodości, z przełomu XVIII i XIX w. „Była to izba podziemna, właściwiej piwnica z większymi oknami, które były równo z poziomem Rynku krakowskiego pod gmachem dawnego ratusza krakowskiego, zburzonego już za istnienia Rzeczypospolitej krakowskiej. W tej izbie był szynk wódek i piwa wielce odwiedzany, bo na dobrym miejscu wśród Rynku, gdzie stek ludzi. Zwykle w niedzielę i święta grywała tam muzyka i odbywały się tańce, gdzie hulało pospólstwo, parobki, dziewki, lokaje, kucharki i tym podobna hołota. Zabawnie to było, przechodząc około ratusza tą stroną od szewskich jatek, słyszeć głos skrzypców, cymbałów i basów, wychodzący jak spod ziemi, i widzieć, jak wesołe i wódką ożywione biesiadników pary kręcąc się, wybijały hołupce. Nieraz w porze lata, przechodząc wieczorem, stawałem nad oknem i nachyliwszy się, słuchałem rubasznych śpiewek, krakowiaków i przypatrywałem się wesołej drużynie. Lud prosty mówił zwykle: »Pójdźmy do Indyi na wódkę, na piwo«, »Tańcowałem w Indyi« i tak dalej, a położenie podziemne tego miejsca dało początek nazwaniu; do Indyi wchodziło się po schodkach z rynku krakowskiego".

Skąd wzięła się jednak pierwotna nazwa „Piwnica Świdnicka"? Od podawanego tutaj piwa ze Świdnicy, które już w XV w. stało się takim rarytasem, że przyćmiło rodzime produkty krakowskich piwowarów. W 1456 r. Kazimierz Jagiellończyk, strzegąc interesów miejskich, zakazał zresztą sprowadzania konkurencyjnego trunku ze Śląska. Już jednak w 1501 r., jak podają Kracik i Rożek, Jan Olbracht pozwolił na sprowadzanie tego trunku i piwnica odżyła, działając nieprzerwanie do 1820 r. pod nadzorem rady miejskiej. Zlikwidowano ją, kiedy wyburzono stare spichlerze miejskie i okazało się, że równocześnie z ich zniszczeniem zaczyna walić się sam ratusz. Dziś tradycje piwnicy podtrzymuje działająca pod wieżą kawiarnia, jednak należy pamiętać, że Piwnica Świdnicka znajdowała się w innym miejscu podziemi.

Historycznie wspomniana gospoda może być uznana za jedną z najstarszych na ziemiach polskich, bo sięgającą swą historią początku XV w. Znacznie starsza i także podająca wspomniane piwo ze Świdnicy jest Piwnica Świdnicka we Wrocławiu, która prawdopodobnie działała już od 1273 r. ©℗

eprasa.pl 4d36b1cd49

KIELECCZYZNA NA TALERZU

Co się jadało na Kielecczyźnie przed wiekami? A to różnie, w zależności od tego, czy było się w ubogiej większości czy miało się szczęście zasiadać przy pańskim stole. O jednej i drugiej kuchni opowiedzieć postanowiła Biblioteka Publiczna im. Witolda Gombrowicza w Kielcach, a wszystko w ramach tegorocznych, organizowanych pod hasłem „Smaki dziedzictwa" Europejskich Dni Dziedzictwa. Od września, kiedy trwały EDD, do 15 października na Facebooku biblioteki publikowano, także w formie dźwiękowej, posty pod wiele mówiącym hasłem „Kielecczyzna – kulinarne dziedzictwo regionu".

„Kuchnia naszej świętokrzyskiej ziemi to nie tylko stoły chłopskie, lecz także szlacheckie. Przecież dworów i dworków u nas nie brakuje" – czytamy w jednym z tych postów, prezentujących „przepis nie byle jaki, bo pochodzący z najstarszej polskiej książki kucharskiej, mający już prawie 340 lat". Książka ta to „Compendium Ferculorum albo zebranie potraw", książka kucharska z 1682 r. z ponad 300 przepisami na potrawy mięsne, rybne i mleczne. W tym dania, którymi raczyli się mieszkańcy ziem, na których dziś żyją czytelnicy odwiedzający BP im. W. Gombrowicza.

A jeśli już przyrządzać karpia wedle tej instrukcji sprzed wieków, to koniecznie złowionego w jednym ze stawów (a zajmują one powierzchnię 300 ha) Rudy Malenieckiej. Dlaczego? To wyjaśnia się w innym wpisie z opisywanej serii. „[...] na początku XX w. w Rudzie Malenieckiej roiło się od naukowców, studentów, badaczy. Jeśli dodać, że miasteczko wyposażone było w nowoczesne laboratorium, a wszystkim nadzorował brat słynnego poety Leopolda Staffa. Mowa tu o Franciszku Staffie pionierze ichtiologii w Polsce, rektorze Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie. Czemu tak wybitny naukowiec za miejsce do badań wybrał Rudę Maleniecką? Wszystko zaczęło się w 1910 r., za namową Felicjana Jankowskiego, właściciela dóbr nad rzeką Czarną. Sprowadzając profesora Staffa do owej miejscowości, oddał do jego dyspozycji budynki i otaczające tereny, a profesor stworzył w powierzonym mu miejscu Doświadczalną Stację Rybacką. Był to pionierski pomysł, jedyna stacja w Polsce i jedna z pierwszych w Europie. [...] Stacja postawiła sobie ambitne zadanie: wprowadzenie, wyhodowanie nowej odmiany karpia. Tak właśnie powstał słynny karp królewski, z małą ilością łusek. Od tej pory iście królewski karp stał się wizytówką Rudy Malenieckiej. Od 2009 r. jest on wpisany na listę produktów tradycyjnych Ministerstwa Rolnictwa i Rozwoju Wsi".

FOT. ADOBE STOCK

Kto chce więcej, niechaj szuka pod tym adresem: facebook.com/wbp.kielce. ©℗

oprac. raw

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Bio na zdrowie!

Najpierw, minąwszy barierkę i elektroniczną bramkę, która wpuszcza, odczytując numer rejestracyjny bez pobierania kwitu, wjeżdżamy na parking podziemny. Parking na kilkaset samochodów bardzo designerski, o ile takie miejsce może być designerskie. Potem przebrnąwszy przez dwa zestawy ruchomych schodów, niepewni, czy jechać w górę czy w dół, pokonawszy ze 200 metrów korytarzy z nieotwartymi jeszcze sklepami, znajdujemy się naprzeciw straganu z burakami, pietruszką i kartoflami.

Bingo! Dotarliśmy na Bio Bazar Norblin, ostatnio najmodniejsze miejsce w Warszawie, i już możemy kupić jajko od najszczęśliwszej kurki na świecie. Mówię ostatnio, bo Bio Bazar istnieje od dawna, ale teraz ma nową oprawę – w postaci właśnie owego parkingu i schodów ruchomych. Przedtem funkcjonował bardziej siermiężnie, ale przecież to pasowało do buraków. Czyż nie? Teraz jest nowocześnie, elegancko i już możemy ruszyć w gąszcz stoisk.

Czegoż tu nie ma?! Odpowiedzmy: nie ma czegoś, czego tu nie ma. Tu jest wszystko. Sery, pieczywo, warzywa, oliwy, octy, wina. Same tylko kiszonki (bez nich nie przeżyjecie zimy) mają licznych ambasadorów: Zakwasownię, Żywe Kultury, Kalwaryjskie Przetwory, Gospodarstwo Ekologiczne Powielin, Ekologiczne Grzyby z Dąbrówki... EKO Piekarnia Kiełtyka oferuje ciepłe, wypiekane na miejscu proziaki, cokolwiek to jest. Włoskie wina, jesienne wianki z Lawendowej Spiżarni pod Wiatrakiem. Gospodarstwo Ekologiczne Państwa Hipszów zaprasza na warzywa.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Atmosfera jest światowa, publiczność także. Tu nie przybywają gospodynie, które szukają materiału na ogórkową. Tanio tu nie kupisz. Sery nie schodzą poniżej stówy, za bagietkę (która potem okazuje się co najmniej średnia) płacimy 9 zł, za mały pęczek ziół 10 zł. Bawełniane siatki na warzywa, które w Auchan kosztują 4 zł, tu są za 35 zł. Za to każdy z sympatycznych sprzedawców ma do zaoferowania nie tylko swój towar bio, lecz także teoretyczną pogadankę, która ma przedstawiać jego zalety oraz (poniekąd) uzasadnić cenę. Pogadanki, przyznaję, bywają czasami nużące.

Pełno tu 30-latków, singli i w parach, dobrze ubranych. Młodzi panowie z łysiną i brodą talibów prowadzą dzieci w ładnych wózkach. Ogólnie atmosfera zrelaksowanej soboty, spędzonej z miłą świadomością, że jesteśmy młodzi, zdrowi i bogaci. A dzięki bio będziemy jeszcze zdrowsi. Strefa wolna od problemów i braku pieniędzy. ©℗

eprasa.pl 4d36b1cd49

TEST „DO RZECZY": CZAJNIK XIAOMI MI SMART KETTLE PRO

Nowoczesny, minimalistyczny design, łączność Bluetooth, możliwość ustawienia temperatury potrzebnej do zaparzenia różnego rodzaju napojów, świetny stosunek ceny do jakości – to największe zalety elektrycznego czajnika chińskiej firmy Xiaomi.

Xiaomi Mi Smart Kettle Pro dzięki minimalistycznemu wzornictwu i dominującej bieli wygląda nowocześnie i elegancko. Według producenta we wnętrzu urządzenia zastosowano stal nierdzewną jakości 304 POSCO GB4806, czyli metalu, który jest stosowany w przemyśle medycznym i spożywczym. Fajne jest też to, że zastosowano zewnętrzną obudowę z matowego plastiku, która dobrze izoluje termicznie, dzięki czemu czajnik z wrzącą wodą w środku w dotyku na zewnątrz ma jedynie 40 st. C.

Na wykonanie swojej podstawowej funkcji, czyli gotowanie wody, potrzebuje tyle samo czasu co zwykły czajnik elektryczny o mocy 1800 W. Zagotowanie 1,5 l wody trwa więc niecałe pięć minut. Wrzenie wody czajnik sygnalizuje dźwiękiem, co jest przydatne dla tych, którzy włączają czajnik, a potem zaczynają oglądać telewizję, pisać recenzję etc. i zapominają o zrobieniu sobie herbaty.

Największą zaletą testowanego modelu jest możliwość sparowania czajnika z darmową aplikacją za pośrednictwem modułu Bluetooth. Dzięki temu w smartfonie można wybrać temperaturę wody, którą chcemy uzyskać, aby przygotować konkretny napój. Bo chociaż czarną herbatę najlepiej parzyć wrzątkiem, to już zielona smakuje najlepiej po zalaniu wodą o temperaturze 80–90 st. C. Wyboru można dokonać, naciskając jedną z ikon, np. zielonej herbaty lub kawy, albo samodzielnie ustawić temperaturę. Szkoda jednak, że zwykłego gotowania wody nie da się jednak włączyć poprzez aplikację.

Funkcje kontroli temperatury w inteligentnym czajniku docenią również nie tylko miłośnicy różnych rodzajów herbat, lecz także rodziny z małymi dziećmi. Bez trudu można bowiem ustawić temperaturę wody idealną do zalewania mleka w proszku (ok. 50 st. C). Drugą przydatną funkcją testowanego urządzenia jest możliwość utrzymywania ciepłej wody z dokładnością do jednego stopnia Celsjusza. I rzeczywiście to zadanie czajnik wyposażony w japońskie czujniki temperatury wykonuje zaskakująco dobrze. Xiaomi chwali się nawet, że w badaniach laboratoryjnych Mi Smart Kettle Pro zdołał utrzymać temperaturę 90 st. przez 12 godzin, pobierając tylko 0,532 kWh. Spodziewając się gości, można np. ustawić, że czajnik ma utrzymywać temperaturę 90 st. C przez najbliższą godzinę, aby później szybko móc zaparzyć herbatę.

Wady? Poza wspomnianym już brakiem możliwości zdalnego włączenia gotowania wody (co przydałoby się zwłaszcza w senne jesienno-zimowe poranki) brakuje również możliwości sprawdzenia, ile wody jest już w czajniku. Nie tylko zdalnie, lecz także nawet w tradycyjny, nieinteligentny sposób – czajnik nie ma bowiem nawet minimalnej widocznej na zewnątrz miarki.

Na szczęście producent zapewnia, że gdy tylko system rozpozna, że w czajniku nie ma już wody, następuje jego automatyczne wyłączenie. Poza tym nazywanie tego urządzenia inteligentnym jest wciąż pewną przesadą.

Xiaomi Mi Smart Kettle Pro to po prostu dobry, ładny czajnik za niezbyt wygórowaną cenę. Za testowany model trzeba zapłacić 164 zł. ©℗

Jacek Przybylski

CZYTNIK I NOTATNIK W JEDNYM

Kobo Sage to nowy flagowy czytnik wyposażony w dotykowy wyświetlacz w e-papierowej technologii E Ink Carta 1200 o przekątnej ośmiu cali. Rozdzielczość wynosi 1440 na 1920 pikseli, liczba pikseli na cal wynosi 300, a dla wygody czytania dołożono doświetlenie ComfortLight oraz możliwość horyzontalnego trzymania urządzenia. Połączenie Bluetooth umożliwia sparowanie bezprzewodowych słuchawek i słuchanie audiobooków. Pamięć wewnętrzna wynosi 32 GB, co wystarczy na pokaźną bibliotekę książek. Model Kobo może być również wyposażony w cyfrowy rysik, który umożliwia robienie odręcznych notatek na e-papierze (trzeba go dokupić osobno za 40 dol.). Czytnik bez rysika kosztuje 260 dol., czyli 1033 zł.

INTELIGENTNE UKULELE

Populele 2 Pro Smart Ukulele to najnowsza edycja urządzenia, którego producent obiecuje w prosty i szybki sposób nauczyć użytkowników grania swych ulubionych melodii. Specjalne LED-owe wskaźniki ukazujące, gdzie i jak układać palce, umożliwiają ponoć nauczenie się jednego utworu w ciągu zaledwie 15 minut. Baza zawiera 100 piosenek, a producent oferuje też interaktywne lekcje wideo na różnych poziomach zaawansowania. Gadżet dostępny jest na jednym z portali crowdfundingowych za 159 dol. (równowartość 633 zł). Producent obiecuje wysyłkę jeszcze w październiku. ©℗

Jacek Przybylski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 4d36b1cd49

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Wirus podatkowy

Koronawirus jest katalizatorem zmian. Pewne procesy, które czaiły się pod powierzchnią zjawisk, wyszły „dzięki" niemu na powierzchnię, te powolne zaś przyspieszyły. Dla wielu krajów pandemia, która zawiesiła w znacznym stopniu przepływ woli suwerena do jego reprezentantów, była okazją do wprowadzenia głębokich zmian, z pominięciem szerszego procesu konsultacyjnego. Tak było i z podatkami.

System podatkowy Polski jest od zarania III RP mocno zdegenerowany i to w stopniu postępującym. To on, plus opieszałe sądy, jest głównym generatorem słabej pozycji Polski w rankingach krajów przyjaznych biznesowo. Władze jednak przeprowadziły reformę podatków przy okazji Polskiego Ładu, czyli w wyniku programu będącego reakcją na koronawirusowe turbulencje. Jest to moim zdaniem zmarnowana okazja naprawy całego systemu, całe przedsięwzięcie zaś można ocenić nie jako naprawę kulejącego systemu, ale działania stricte fiskalne, z pewną sporą dozą elementu politycznego. Projekt zmian ma ponad 600 stron z uzasadnieniem, ale za to procedowany jest w tempie ekspresowym, tak by oponenci nie zdołali się ogarnąć. Jeśli ma wejść w życie od 2022 r., to cały proces musi się skończyć w październiku. To jest pierwsza słabość, bo jak – bez pewności kształtu systemu fiskalnego – przedsiębiorcy mają planować przyszły rok?

Dziwne jest to, że Polska ma dostać setki miliardów złotych z funduszy pomocowych Unii, a tu okazuje się, że będziemy walczyć o ściągnięcie kilkunastu miliardów więcej od przedsiębiorców. Bo to oni, głównie ci z podatku liniowego, zapłacą te dodatkowe podatki. A ten „uzysk" ma otrzymać od klasy średniej klasa niższa. W ten sposób potwierdza się realny cel tych zmian: nie jest nim poprawa funkcjonowania systemu, ale redystrybucja od jednych grup społecznych do drugich. Cel jest więc polityczny.

Niestety – znowu – zapłaci za to klasa średnia, co do której istnienia można po takich reformach mieć spore wątpliwości. Łupimy średniaka, by dostał biedniak. Ale co z kułakami, czyli dużymi korporacjami? Właśnie w ramach akcji ZPP ujawniono listę największych zagranicznych tuzów, którzy na polskim rynku mają potężne obroty, podatków zaś nie płacą. Płaci rodzima klasa średnia. Duzi zaś się migają, na co – jak widać po niezałatwieniu tej sprawy w ramach tej „reformy" – władza przymyka oko.

Dajemy się więc łupić jak kolonia. Kraje przyjazne biznesowi nie polegają na przyciąganiu go do siebie miganiem się od płacenia podatków. Jak widać, „atrakcyjność" naszej gospodarki jest mylnie stymulowana pobłażaniem wobec płacenia podatków, które są de facto daniną za dostęp do rynku. Ten bonus duzi i zagraniczni dostają za darmo. Za wszystko zapłaci zdychająca klasa średnia. Ale od kogo będziemy brać na programy socjalne, gdy jej zabraknie? ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Jan Paweł II – znak sprzeciwu

Fundacja Dzieło Nowego Tysiąclecia już po raz 21. przyznała nagrody Totus Tuus. W kategorii „Propagowanie nauczania Jana Pawła" laureatem został mieszkający w Rzymie prof. Stanisław Grygiel, przyjaciel Karola Wojtyły, współtwórca i długoletni wykładowca Papieskiego Instytutu dla Studiów nad Małżeństwem i Rodziną. Będąc świadkiem tej uroczystości, pomyślałem z wdzięcznością o biskupach, którzy ponad dwie dekady temu wpadli na pomysł, żeby z pieniędzy, które pozostały z darowizn przekazanych na organizację wizyty Jana Pawła II w 1999 r. (wbrew temu, co niektórzy myślą o biskupach, środkami gospodarowano oszczędnie i nie wszystkie wydano), utworzyć fundusz stypendialny. Biskupi postanowili wtedy obchodzić co roku Dzień Papieski jako dzień dziękczynienia za papieża Polaka i dzień publicznej kwesty zasilającej fundusz. Z tych pieniędzy właśnie finansowane są również nagrody Totus Tuus.

Instytucja nagrody Totus Tuus ma już swoją rangę, a prestiż wyznaczają nazwiska znamienitych laureatów, m.in. Wojciecha Kilara, Zygmunta Kubiaka, Jerzego Nowosielskiego, Krzysztofa Pendereckiego, Stanisława Niemczyka, Jana Budziaszka. Przypominam to, ponieważ nagroda jest też instrumentem honorowania wybitnych, a i mniej popularnych postaci.

Taką właśnie osobą jest tegoroczny laureat, zasłużony prof. Grygiel. Jego przypadek jest szczególny. W 2017 r., mocą motu proprio papieża Franciszka, instytut został radykalnie przebudowany, nazwa zmieniona, a profesora oraz kilku znaczących wykładowców usunięto. Kanclerzem uczelni został abp Vincenzo Paglia (ten sam, który był inicjatorem namalowania homoseksualnego muralu na ścianach katedry w Narni-Terni). Ale istotą zmian nie była tylko rewolucja kadrowa. Decyzją papieża Franciszka z instytutu usunięto teologię moralną, a także antropologię adekwatną wykładaną według Karola Wojtyły.

Od tego czasu do instytutu zaczynają przenikać modne, relatywistyczne i genderowe idee. W tym kluczu odczytałem więc poruszające wystąpienie prof. Grygiela wygłoszone podczas ceremonii. Profesor powiedział, że „Jan Paweł II pozostał wśród nas jako znak sprzeciwu wobec tego, z czym dziś mamy do czynienia. […] Negowanie prawdy o małżeństwie i rodzinie to odrzucenie Boga i jego dzieła stworzenia – wszechświata i człowieka. Liberalizm i sprzężona z nim marksistowska zasada, że to praxis decyduje o tym, co dobre, a co złe, wszczynają na ulicach ordynarny wrzask, którym obrażają godność człowieka oraz zagłuszają jego rozum, wiarę i głos sumienia".

Wymownym zbiegiem okoliczności był fakt, że laureatowi nagrodę wręczył nuncjusz apostolski w Polsce abp Pennacchio – przedstawiciel tych sił, które stały za wyrzuceniem profesora z rzymskiej uczelni. Ciekaw jestem, czy watykański dyplomata zna język polski. ©℗

eprasa.pl 4d36b1cd49

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Niemiec Roku, czyli o nagrodach

Mam zaszczyt poinformować Państwa, że tytuł Niemca Roku w tym roku otrzymuje Niemiec. GKJ (Gigantyczna Kapituła Jastrzębia) przyznała tytuł po raz pierwszy i jeśli nie zapomnę, to nie ostatni. Zobaczymy. Teraz fanfary, reflektory, werble i oto w strumieniu światła on! Prezes Trybunału Konstytucyjnego w Niemczech, Stephan Harbarth! Brawa!

Nasz Stefan (pozwalam sobie na poufałość, bo przecież dostał ode mnie nagrodę) w rozmowie z niemiecką gazetą rzekł: „Wolność bez niezależnych sądów jest nie do pomyślenia". Rzekł tak, ponieważ wielce niepokoją go wydarzenia w Polsce. Na Twitterze ludzie nie mili, acz wykształceni zasugerowali panu Stefanowi, że może by się jednak powstrzymał od pisania o niezależności sądów, gdyż był przez lata politykiem CDU. Był też posłem do Bundestagu do 2018 r. Co więcej, Cezary Gmyz, znawca spraw germańskich, okrutnie uściślił: „Stephan Harbarth nie jest byłym politykiem. Niemieccy sędziowie, w odróżnieniu od polskich, nie mają obowiązku zrzekania się członkostwa w partii politycznej". Cóż, przyznają Państwo, że Niemiec będący prezesem swojego TK i jednocześnie członkiem rządzącej partii, nauczając nas o niezależności sądów, robi z siebie kuriozum, osobliwość, cudaczność albo… Albo to wyraz jego umiejętności stand-uperskich. Nawet wyobrażam go sobie na scenie, jak kieruje do nas słowa niby o niezależności. Wystarczy, że dołożyłby w paru miejscach wyrazy na „k", „ch" i „w" (stand-uperzy muszą przeklinać, bo inaczej nie jest śmiesznie) i publika będzie polegiwać na wykładzinie.

Nagrody – delikatna sprawa. Najbardziej aktualna powstańczyni (tak się podobno teraz mówi) warszawska pani Wanda Traczyk-Stawska, niestroniąca od komentowania bieżących wydarzeń politycznych, przejęta przyszłością Polski wystąpiła obok Donalda Tuska. Po czym na TT pojawiła się lista nagród, które otrzymała wcześniej, i otworzył się przedsionek piekła. Okazuje się, że samo przypomnienie, jakie kto dostał nagrody, może być odbierane jako wyraz niechęci do osoby nagrodzonej. Pani Wanda została uhonorowana m.in. Krzyżem Walecznych i… Krzyżem Zasługi na Wstędze Orderu Zasługi Republiki Federalnej Niemiec. Dostała również Koronę Równości w plebiscycie Kampanii przeciw Homofobii za walkę o równe prawa dla społeczności LGBT. Wspaniała sprawa, niemniej z jakiegoś psychologicznego powodu wspomnienie o tych nagrodach pani Wandy wywołuje u części twitterowiczów jakby amok. No i teraz nie wiem, czy Stefan przyjmie nagrodę Niemca Roku czy może nie... ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

MAŁGORZATA WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Po prawej stronie Europy…

Małgośka – mówią mi – a ty znowu do Hiszpanii jedziesz montować tę waszą prawacką międzynarodówkę? Aż takich mocy to ja nie mam, ale hiszpański VOX może sporo namieszać w polityce, dlatego nie mogło mnie zabraknąć na ich wielotysięcznym wydarzeniu z udziałem konserwatywnych liderów Europy. Owszem, oznacza to sporo bieganiny, a nawet ryzyko walki wręcz o dobre miejsce na małym podeście dla dziennikarzy. No ale przynajmniej człowiek ma zagwarantowaną dawkę adrenaliny. Po pyskówce z rosłym kamerzystą (na oko z Afryki Subsaharyjskiej), który bezczelnie zaiwanił mi krzesło, przyjęłam do wiadomości, że jednak prawa dżungli wciąż obowiązują.

Poza spotkaniami z odmiennymi kulturami miałam mnóstwo ciekawych rozmów, a przede wszystkim upewniłam się, że nikt lepiej nie reanimuje Europy, o której marzyliśmy i do której wstępowaliśmy, niż charyzmatyczny Abascal i jego ekipa. Jaka to przyjemność móc znów uścisnąć jego rękę i zamienić parę słów z liderami! Ciekawostką zaś jest to, że chyba trzeba wyjechać z Polski, aby usłyszeć rzęsiste oklaski dla premiera Morawieckiego i prezesa Kaczyńskiego pozdrawiających uczestników spotkania z wielkiego telebimu.

W ciągu minionych pięciu dni ze zdumieniem odkryłam, że dzięki orzeczeniu Trybunału Konstytucyjnego otrzymuję gratulacje, jakbym reprezentowała naród, który zwyciężył w jakimś pomniejszym Lepanto albo przynajmniej w Copa Mundial. Zwykli Hiszpanie po prostu marzą o rządzie, który przestanie realizować posłusznie agendę globalistów, a zadba wreszcie o swoich obywateli.

Histeria wokół Polski udziela się nawet tu, na antypodach. Włączam telewizor i na kanałach podporządkowanych socjalistyczno-komunistycznemu rządowi niestety widzę Tuska. A przecież po to m.in. płacę za bilet lotniczy, żeby przynajmniej przez tydzień w Hiszpanii nie oglądać gęby tego podżegacza do wojny domowej. Mało tego, okazuje się, że w poniedziałek rano lewackie dzienniki wolą otwierać wydanie relacjami z marszu UE-filów w Warszawie, niż raportować o dwudniowym spotkaniu prawicy pod auspicjami VOX w Madrycie. No ale nie zapominajmy – pół Polski cierpi, bo wynoszą ją nogami do przodu z Europy.

Odkładam gazety, wyłączam telewizor, patrzę przez okno na pomnik ku czci ostatnich z Filipin. Skoro 33 żołnierzy hiszpańskich wytrzymało oblężenie filipińskich rebeliantów przez 337 dni w małym kościele, to i my wytrzymamy napór anarchistów. Przynajmniej dopóki, dopóty nie odchodzimy od ołtarza. Europa katedr kontra Europa neototalitaryzmu light. Zobaczymy, kto wytrzyma oblężenie… ©℗

eprasa.pl 4d36b1cd49

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Modernizacja i niepodległość

ANDRZEJ NOWAK

Niepodległość albo modernizacja – przed takim dylematem stawiają nas ci, którzy nie przepadają za jednym z członów tej alternatywy. W ogóle chyba nikt nie zauważył, a w każdym razie nie zauważyłem, żeby dostrzegło tę rocznicę państwo polskie, 200-lecia, jakie również przypada w tym roku, dwóch ważnych w naszej historii wydarzeń, które doskonale symbolizują ów dylemat. W maju 1821 r. mjr Walerian Łukasiński utworzył konspiracyjne Towarzystwo Patriotyczne, którego celem było przygotowanie walki o pełną niepodległość i całość Polski. W październiku tegoż roku w Warszawie tekę ministra przychodów i skarbu objął książę Franciszek Ksawery Drucki-Lubecki.

Działo się to w Królestwie Polskim, kadłubowym kraiku, utworzonym w roku 1815 po końcu wojen napoleońskich, z łaski cara Aleksandra I, który został zarazem królem owego Królestwa. Zajmowało ono ok. 16 proc. obszaru przedrozbiorowej Rzeczypospolitej. Nie było w nim Poznania, Krakowa czy Lwowa, a także 66 proc. wspomnianego obszaru, który zagarnęła Rosja w pierwszych trzech rozbiorach. Nie było niepodległości. Ale była przecież jednak szansa kultywowania własnego języka, osobnego parlamentu, nawet armii, rozwijania instytucji, podnoszenia poziomu gospodarczego i kulturalnego – przynajmniej w tej, centralnej części dawnej Rzeczypospolitej.

Nikt lepiej nie symbolizuje korzyści z posiadania choćby takiej, ograniczonej formy państwowości niż książę Drucki-Lubecki. Dzięki poparciu dwóch kolejnych carów (Aleksandra I oraz Mikołaja I) zrównoważył budżet Królestwa, stworzył nowoczesny aparat fiskalny, skonstruował system zachęt dla osadników, którzy mieli rozwinąć przemysł włókienniczy, dając początek wielkim później ośrodkom tego przemysłu w Łodzi, Pabianicach, Zgierzu. Eksport produkcji z Królestwa, wspieranej już przez nowoczesne maszyny parowe, ruszył do Rosji, a nawet do Chin. Lubecki skoncentrował inwestycje państwowe w przemysł ciężki na terenie tzw. Zagłębia Staropolskiego oraz w nowym ośrodku – Zagłębiu Dąbrowskim. Prowadziły do szybkiego wzrostu wydobycia węgla kamiennego oraz powstania sieci kombinatów łączących wydobycie rud żelaza z budową wielkich pieców i walcowni. Także z inicjatywy księcia-ministra powstało Towarzystwo Kredytowe Ziemskie, które pozwoliło na oddłużenie i wprowadzanie nowych maszyn w gospodarstwach szlacheckich. System Lubeckiego uzupełniło wreszcie powołanie w roku 1828 Banku Polskiego, który miał za zadanie emisję banknotów wymienialnych na srebro, a także obsługę długu publicznego, udzielanie kredytów, finansowanie inwestycji państwowych, jak również nadzór nad powołaną już w 1817 r. giełdą w Warszawie. Program Lubeckiego oznaczał – najkrócej mówiąc – modernizację gospodarki i struktury społecznej w małym Królestwie. Administracja ministra skarbu potrzebowała więcej urzędników, gospodarka – inżynierów i wykwalifikowanej siły roboczej. Powstające szkoły wyższe i zawodowe zaczynały ich dostarczać. Rosły szeregi inteligencji, a także liczba robotników w zakładach przemysłowych. Taka była droga modernizacji.

Królestwo pozostawało jednak – tylko – kontrolowaną ściśle cząstką wielkiego imperium, a ostatecznie od władcy imperium zależał los każdej reformy. Dlatego właśnie tworzyły się w Warszawie (i gdzie indziej) konspiracje, które za cel stawiały sobie odzyskanie niepodległości. Towarzystwo Patriotyczne było ich pierwszym dojrzałym przejawem. Za nim pójdą następne, poprzez powstania – listopadowe, styczniowe, aż do zwycięstwa, które w 1918 r. będzie świętował świadomy kontynuator tej linii: Piłsudski. Sam Łukasiński, przypomnijmy, wykryty przez policję polityczną wielkiego księcia Konstantego, aresztowany 25 października 1822 r., wywieziony do najsroższej w całym Imperium Rosyjskim twierdzy szlisselburskiej, spędził w niej resztę życia. Zmarł w 1868 r. – po 46 latach najsurowszego więzienia. „Sto razy orężem Polaki mogą być zmuszeni do posłuszeństwa i sto razy powstawszy, walczyć będą z powiększonym zapałem za swoją niepodległość, dopóki nie zostaną wolnymi" – ten cytat z majora zdobi jego mały pomnik na warszawskim Nowym Mieście.

Jedno i drugie jest Polsce potrzebne: i niepodległość, i modernizacja. Obaj, Łukasiński i Lubecki, zasługują na naszą wdzięczną pamięć. Dzisiaj, paradoksalnie, ci, którzy manifestują pod hasłem „Precz z niepodległością!" (niech żyje podległość Strasburgowi i Brukseli, Berlinowi czy jakiejkolwiek innej centrali, byle nie władzom Rzeczypospolitej), nie proponują w zamian żadnej pożytecznej dla ludzi modernizacji. Nie chcą ani centralnego portu komunikacyjnego (bo jest już lotnisko w Berlinie), ani elektrowni w Turoszowie (bo tako rzecze Strasburg), ani przemysłu stoczniowego, ani elektrowni atomowej w Żarnowcu. Generalnie chcą urzeczywistnienia największej w historii demodernizacji, znanej jako „Fit for 55", która ma zniszczyć w pierwszej kolejności polski przemysł. Pozostaniemy z hubką i krzesiwem, ale najważniejsze, że będą to krzesiwo i hubka z Europy. ©℗

eprasa.pl 4d36b1cd49

MANIFEST KOMUNISTYCZNY

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski korespondencja z USA

Widmo komunizmu krąży po Europie. To pierwsze słowa „Manifestu komunistycznego" ogłoszonego przez Marksa z Engelsem w roku 1848. Od tamtego czasu widmo komunizmu krąży po Europie, a obecnie także po Ameryce. Krąży, a my, nieostrożni, nie reagujemy, nie zwalczamy tej groźnej ideologii.

Gdy widzimy inne groźne ideologie, od razu włączamy systemy ostrzegawcze. Ku Klux Klan jest be, faszyści są be, a na marksistów/komunistów nie ma reakcji. Powinna być!

***

Marksizm czy – jak kto woli – komunizm (jedno i to samo) to najbardziej zbrodnicza ideologia w historii świata i określenie „zbrodnicza" to chłodne, matematyczne stwierdzenie faktu. Żadna inna ideologia nie wymordowała większej liczby ludzi. Marksiści mordują nie tylko dużo, lecz także szybko i wydajnie. Ponadto marksizm zawsze i wszędzie prowadzi do rządów dyktatora-tyrana. Taką ma wewnętrzną dynamikę rozwoju.

Inne systemy różnie, a marksizm zawsze nieubłaganie prowadzi do tyranii. Proszę przelecieć wszystkie państwa odwołujące się do tej ideologii, które istnieją lub istniały.

***

„Manifest komunistyczny" nadal inspiruje masowych morderców: w komunistycznych Chinach wciąż pracują obozy śmierci, podobnie w Korei Północnej.

Hitler w porównaniu ze Stalinem był niegroźnym pudelkiem, ale w świadomości powszechnej za największego mordercę uważamy Hitlera. Z kolei Stalin był niegroźnym pudelkiem, gdy jego ludobójcze wyniki porównać z Mao.

„Manifestem komunistycznym" posługiwali się też komuniści pomniejsi – koreańska dynastia Kim i prawdziwy sprinter mordowania na masową skalę – Pol Pot z Kambodży. Występował pod pseudonimem Brat Numer Jeden, zamienił swój kraj w obóz koncentracyjny i w ciągu pięciu lat (1975–1979) wymordował jedną trzecią rodaków; ok. 2–3 MILIONÓW ludzi. Jego pola śmierci brukowane czaszkami to tereny podmokłe, więc trudno dokładnie policzyć. Kształcił się we Francji, gdzie działała prężnie i… LEGALNIE Francuska Partia Komunistyczna.

Dziś jako organizacje marksistowskie deklarują się dumnie Antifa i BLM. Oto akapit końcowy „Manifestu komunistycznego":

„Komuniści uważają za niegodne ukrywanie swych poglądów i zamiarów. Oświadczają otwarcie, że cele ich mogą być osiągnięte jedynie przez obalenie przemocą całego dotychczasowego ustroju społecznego. Niechaj drżą panujące klasy przed rewolucją komunistyczną! Proletariusze nie mają w niej nic do stracenia prócz swych kajdan. Do zdobycia mają cały świat.

Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!".

***

A co dalej? Co, gdy już zdobędą władzę? „Manifest komunistyczny" zawiera 10 postulatów. Wszystkie skierowane przeciwko ludziom, przeciwko obywatelom, przeciwko jednostce, przeciwko wolności osobistej. Te postulaty są wdrażane lub już wdrożone także w krajach, o których nie myślimy, że to kraje komunistyczne (np. Polska).

Oto, co postuluje „Manifest komunistyczny":

– wywłaszczenie własności ziemskiej; wysoki podatek progresywny; zniesienie prawa dziedziczenia; konfiskata własności wszystkich emigrantów i buntowników; centralizacja kredytów w rękach państwa za pomocą banku narodowego o kapitale państwowym i o wyłącznym monopolu; centralizacja środków transportu w rękach państwa; zwiększenie liczby fabryk państwowych; przymus pracy dla wszystkich; zespolenie rolnictwa z przemysłem; społeczne bezpłatne wychowanie wszystkich dzieci.

***

Zacznijmy od dzieci – to, co postulował Marks, już się stało. Rodzicom zabrano wychowanie dzieci na rzecz „bezpłatnej edukacji". Pozakładano ministerstwa edukacji (w USA Departament Edukacji powołano dopiero w roku 1979 – wcześniej nie był nikomu potrzebny, a szkolnictwo było na wyższym poziomie niż dziś).

Zespolenie rolnictwa z przemysłem odbywa się na naszych oczach. Ziemia z rąk indywidualnych przechodzi w ręce ogromnych przedsiębiorstw, produktami rolnymi handlują agencje, a państwo kontroluje rolników za pomocą dotacji.

Przymus pracy dla wszystkich rozpoczął się od „emancypacji kobiet" i wpychania ich na rynek pracy. W latach 50. w USA pensja jednej osoby wystarczała na utrzymanie rodziny. Teraz to niewykonalne – pracować muszą oboje, mąż i żona, i to jest marksistowski przymus pracy.

„Zwiększenie liczby fabryk państwowych" zrealizowano za pomocą korporacji. Małe biznesy są tępione, bo indywidualny przedsiębiorca marksistom przeszkadza. Natomiast wielka korporacja się z rządem dogada i współpracuje.

Centralizacja środków transportu w rękach państwa odbywa się teraz – za pomocą dyktatury klimatycznej – władza nam mówi, czym wolno jeździć, że trzeba likwidować tanie linie lotnicze i ogólnie ograniczyć wszystko, co emituje CO_2, a zamiast tego… UE wybuduje elektryczne systemy przemieszczania się zbiorowego.

Centralizacja kredytów w rękach państwa – gdy Marks pisał te słowa, nie istniały jeszcze takie instytucje jak Bank Światowy, Międzynarodowy Fundusz Walutowy, ale powstały i podniosły marksistowską ideę z poziomu jednego państwa na poziom ogólnoświatowy. W Polsce stopy procentowe ustala władza centralna, a banki się grzecznie stosują.

Konfiskata własności odbywa się stale i dlatego buntownicy uciekają do rajów podatkowych. Prawo dziedziczenia jest ograniczane za pomocą podatku od spadku – w USA tam, gdzie taki podatek obowiązuje (Trump z nim walczył), rodziny tracą farmy i rancha na rzecz państwa, bo syn spadkobierca nie jest w stanie zapłacić podatku spadkowego za ziemię po ojcu, na której się urodził i wychował.

Zapisany w „Manifeście komunistycznym" wysoki podatek progresywny udało się wprowadzić we wszystkich „krajach cywilizowanych". A wywłaszczenie własności ziemskiej… zastanów się, czy jesteś rzeczywistym właścicielem swojej ziemi, skoro nie wolno ci bez zezwolenia państwa ani nic wyburzyć, ani zbudować, ani wykopać węgla, ani nawet wyciąć drzewa. Na „twojej" działce wolno ci tylko tyle, na ile zezwoli ci prawdziwy właściciel, czyli marksistowskie państwo.

To wszystko widmo komunizmu. Precz z komuną! ©℗

eprasa.pl 4d36b1cd49

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

Uwaga: nowe ceny!

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY"

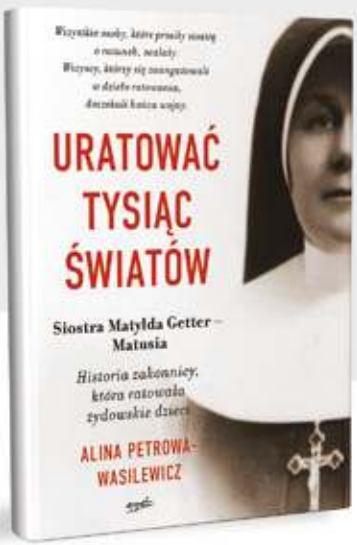

W PREZENCIE KSIĄŻKA

ALINA PETROWA-WASILEWICZ
„URATOWAĆ TYSIĄC ŚWIATÓW"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~711 ZŁ~~

311,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 400 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 4d36b1cd49

KOLEJNE 100 TON ZŁOTA JUŻ W 2022 R.

NBP dba o bezpieczeństwo finansowe Polaków. W zasobach banku jest ponad 230 ton złota. To gwarancja wiarygodności i bezpieczeństwa finansowego naszego kraju. Prezes NBP zapowiada zakup 100 ton złota już w przyszłym roku.

Zwiększenie zasobów złota to realizacja naszego konstytucyjnego, ustawowego i po prostu patriotycznego zobowiązania. W ten sposób budujemy siłę gospodarczą państwa polskiego oraz tworzymy rezerwy, które będą strzegły jego bezpieczeństwa finansowego.

NARODOWY BANK POLSKI

Prof. Adam Glapiński
Prezes Narodowego Banku Polskiego

Dbamy o wartość polskiego pieniądza

eprasa.pl 4d36b1cd49